

Artykuły i korespondencje, przeznaczono dla „Kraju”, powinny być pisane czysto i po jednej stronie papieru. Rękopisy i fotografie można przesyłać pod opaską rekomendowaną. Drobnych rękopisów Redakcja nie swraca; większe po upływie roku bywają niszczone. Rachunki honorarjów regulowane są przez Administrację kwartalnie.

KRAJ

Biuro Redakcji otwarte (z wyjątkiem niedziel i świąt) od godz. 11 rano do 3 pop.; Biuro Informacyjne od godz. 5 do 6 pop. Administracja od g. 11 r. do 5 pop. Wszystkie trzy biura mieszczą się w Petersburgu, w domu № 82, kanał Jekateryński. Adres dla telegramów: Petersburg, „Kraj”, Warszawski Oddział „Kraju”, Marszałkowska 119.

Og. zb. № 1021

Petersburg, 25 stycznia (7 lutego) 1902 r.

Rok XXI. № 4

TREŚĆ N-ru 4 „KRAJU”

ZIAŁ GŁÓWNY:

Artykuł wstępny: Hasła wojenne, przez *Vigilax'a*.

Artykuły bieżące: Pod berłem pruskim. (W parlamencie Rzeszy, p. *Gordona*. Trochę statystyki pruskiej. Z Poznania. We Wrześni. W Środzie. Na Mazurach. Na Szlązku. W Westfalji). Z rozmów i wrażeń. (O niedźwiedzia skórę), p. *Z*.

Listy korespondentów „Kraju”: (Echa zachodnie): Z Paryża, p. *Nemo*. Ze Lwowa, p. *Sz*. Z nad Warty, p. *Bart*. i t. d. (Z miast i wsi). Z Poniewieża, p. *S. M.* Z pow. sokólskiego, p. *S. Z.* Z Kijowa, p. *Sama*. Z Moskwy, p. *Nomenclatora* i t. d. (Z Królestwa Polskiego). Z nad Wisły, p. *B.* i t. d.

Uwagi redakcyjne w sprawach bieżących. Przegląd prasy. Władomości bieżące: Dworskie, Urzędowe, Ogólne i Petersburskie.

Polityka zagraniczna. Przegląd, przez *J. Mzurę*. Tydzień polityczny.

Kronika: Kościół i duchowieństwo. Prawo i sądy. Szkoły i młodzież. Osobiste. Ruch kobiecy. Statystyka. Wypadki. Różne. Sport. Zaślubiny. Odpowiedzi Biura informacyjnego. Doniesienia. Nekrologja.

Ekonomista: Przegląd. Tydzień ekonomiczny. Kronika giełdowa. Ogłoszenia.

ŻYCIE I SZTUKA

(Pismo dodatkowe).

Artykuły: Słowacki — Przybyszewskiego, p. *Wiktora Gomulickiego*. Z rozmów i wrażeń. (Czy będziemy mieli elektryczność?), p. *Varsoviensis'a*. Tymko Padura, p. *L*. Wydawnictwa urzędowe. (Dawny wileński okręg naukowy), p. *J. E.* Z Cattaro do Cetynji. (Notatka turysty), p. *J. Jodko*. Dokoła tronów, p. *Alfa*. Polacy na Krecie, p. *B.* Zamknięcie dyskusji, p. *Heur. Utaszyna*. Karton Grottgera. (Nasza karta albumowa). Ex libris. Notatki naukowe, literackie, artystyczne, teatralne. Nowe książki. Zawiadomienia.

Ilustracje: Z wystaw międzynarodowych: „Kwiat Chryzantemy”, obraz *E. Kiesel'a*. Siedemnaście portretów ministrów austriackich. Dwie ilustracje do artykułu „Tymko Padura”. Dwie ilustracje do artykułu „Z Cattaro do Cetynji”. Portrety: Tomasz Padura. Książę Walji.

DODATEK POWIEŚCIOWY:

Lili, przez *C. M. Marwicza*. Jeńcy. *Lucjana Rydla*, streszczenie *Stanisława Siemostawskiego*. Rok 1809. Powieść historyczna przez *Wacława Gąsiorowskiego*. (DC). Miecz i Łokieć. Powieść z wieku XVII, przez *Wiktora Gomulickiego*. (DC). Eugeniusz Oniegin. Romans wierszem *Aleksandra Puszkina*, przekład *Leo Belmonta*. (DC). Drobniagzi.

KARTA ALBUMOWA:

„Pożegnanie”, karton *Artura Grottgera*.

Do dzisiejszego N-ru „Kraju” dołączoną jest **Karta Albumowa**, przedstawiająca karton *A. Grottgera*: „*Pożegnanie*”.

HASŁA WOJENNE.

Chłosta wrześnińska i wyrok gnieźnieński stały się dla społeczeństwa polskiego podniętą do krytycznego zbadania ekonomicznych stosunków naszego kraju z Niemcami.

Przed oczyma stanął nam fakt, nie będący oddawna dla nikogo tajemnicą. Przypomnieliśmy sobie, że Królestwo Polskie jest olbrzymiem targowiskiem wyrobów niemieckich. Rozejrzawszy się po kraju, przekonaliśmy się, że przemysł niemiecki uważa ziemię między Prosną, Bugiem i Niemnem za dziedzinę, w której pewne gałęzie wytwórczości niemieckiej mogą się rozpierać swobodnie bez obawy współzawodnictwa. Nic dziwnego, że wobec poczucia krzywdy, wobec zawziętych okrzyków prasy niemieckiej, wobec dawanych w parlamencie zapewnień, iż rząd niemiecki nie zejdzie z drogi obranej, zrodziło się w tysiącach umysłów pytanie, czy mamy nieprzerwanie wzbogacać fabrykantów niemieckich, czy mamy być po wszystkie czasy źródłem zarobku dla tych, którzy w nieokielzanej bucie stworzyli dla siebie odrębną etykę i poczytują sobie za cnotę to, co powszechnie poczytywane bywa za występki.

Nad pytaniem tem zastanawiało się równocześnie umysłów wiele. W prasie posypało się odpowiedzi mnóstwo. Obok zdań, że odwet na polu ekonomicznym jest rzeczą łatwą, i że od dobrej woli społeczeństwa zależy zadanie Niemcom ciosu, który popamiętają długie lata, odzywały się głosy, przestrzegające przed zbyt śmiałymi planami.

Nadeszła nareszcie pora, w której luźne te uwagi ująćby można w system. Przykłady i fakty, przytaczane obficie w ciągu tej zajmu-

jącej dyskusji, dadzą podzielić się na kategorie i w miarę tego oceniać. Debatowano już dość długo. Nadeszła pora wysnuwania wniosków.

Zasadnicze pytanie, jak się mamy zachować wobec dowozu wyrobów niemieckich, rozdzielić należy na dwa pytania szczegółowe.

Pierwsze z tych dwóch pytań dotyczy stanowiska, jakie mają zająć w tej sprawie kupcy i przemysłowcy, sprowadzający z Niemiec bądź towary, bądź maszyny i narzędzia używane w fabrykach, bądź niezbędne do utrzymania tych fabryk w ruchu półfabrykaty i ingredjencje.

Stanowisko kupca i fabrykanta nie jest we wszystkich wypadkach identyczne ze stanowiskiem ogółu konsumentów. Drugie zatem pytanie będzie dotyczyło zachowania się kupującej publiczności.

* * *

Wypadki, w których dla kupca i przemysłowca, wypadki, w których dla przedsiębiorcy polskiego jest wszystko jedno, czy towary i narzędzia sprowadzać będzie i nadal z Niemiec, czy też z innych krajów, są w praktyce tak rzadkie, iż możemy pominąć je milczeniem. Pojęcie: «wszystko jedno» — istnieje tylko w teorii. W życiu realnym będziemy mieli do czynienia tylko z dwiema kategorjami wypadków. Pierwsza obejmuje te wypadki, w których zerwanie stosunków z Niemcami będzie dla przemysłowca polskiego korzystne; druga te, w których takie zerwanie okaże się dla niego niekorzystne.

O każdej trzeba pomówić z osobna.

Szybko załatwić się można z pierwszą kategorją wypadków. Jeżeli w naszym kraju są naprawdę jacyś przemysłowcy i kupcy do tego stopnia niedołąźni i ślamazarni, iż, mogąc sprowadzać te same towary z innych krajów za cenę mniejszą, sprowadzają je z Niemiec za wyższą cenę, to dla wytknięcia im ich bezdennej kupieckiej głupoty nie potrzeba powoływać się ani na uczucia narodowe, ani na tysiąclet-

nią walkę, ale wystarczy postawić im przed oczyma ich własny interes. Jeżeli naprawdę są jeszcze w Polsce ludzie tak naiwni, to dla oświecenia ich nie trzeba było czekać na wyrok gnieźnieński, a dziś nie trzeba siadać na wielkiego konia, nie trzeba nadużywać wzniosłych haseł i stawiać kwestji na gruncie politycznym. Gdyby się w Danji lub Norwegji pokazało, że jakiś fabrykant sprowadza maszyny ze Szwajcarii, mogąc takie same maszyny taniej nabywać w Anglii, to nikt nie będzie się z nim wdawał w długie rozmowy polityczne, ale każdy powie mu poprostu, że jest cymbał. Dają się słyszeć głosy, że wypadki podobne zdarzają się u nas. Wobec tego dziwić się trzeba ekonomistom naszym, że dotąd kryli światło pod korcem i że nie udzielili kupcom naszym już dawno tej prostej rady: «Kupuj tam, gdzie sprzedają tanio».

Jeżeli więc ci kupcy i ci przemysłowcy, którzy zakupy czynią w Niemczech, mogli czynić je z większym zyskiem gdzieindziej, to jest zarobić na zerwaniu z Niemcami, to rzecz przedstawiałaby się niezmiernie jasno. Nie trzeba by odwoływać się do ich patriotyzmu. Należałoby tylko powtórzyć fakty i odwołać się do kupieckiego rozsądku.

Niestety, w rzeczywistości wypadki takiej naiwności zdarzają się rzadko. Nasz przemysł i handel nie są pozbawione zmysłu kupieckiego. Jeżeli nasi przedsiębiorcy zaopatrują się w Niemczech w tyle najrozmaitszych artykułów, to nie robią tego przez jakąś niepojętą naiwność dziecięcą, ale robią to dlatego, bo im rachunek wykazał, że jest to dla nich najkorzystniejsze. Żydzi-kupcy i Niemcy, stanowiący znaczną część naszego świata przemysłowego, mają zbyt wiele sprytu i zbyt wiele egoizmu kupieckiego, ażeby ich można było posadzać, że handlują z Berlinem, narażając się na straty! Nie! Oni kupują w Berlinie, bo dobrze na tem wychodzą. Gdyby to, co sprowadzają z Prus i Saksonji, mogli z większym zyskiem sprowadzać z Anglii lub Francji, uczyniliby to już dawno bez wahania.

Królestwo Polskie zaopatruje się w mnóstwo towarów na targowisku niemieckim, bo to samo robi dzisiaj cały świat. Towar niemiecki wyparł towary austriackie i francuskie z półwyspu Bałkańskiego; towar niemiecki wdiera się do kra-

jów zamorskich; właśnie teraz spostrzeżono się w Austrii, że słynne wiedeńskie wyroby galanteryjne ustępują z targu paryzkiego przed napływem wyrobów niemieckich. Kupcy paryzcy nie robią tego z sympatji dla prusaków, ale dla taniości i dobroci towaru. Kierują się tą samą zasadą, którą się kieruje kupiec warszawski. Towar niemiecki rozlewa się dzisiaj po świecie nie dlatego, iżby świat cały był przez Niemców zahypnotyzowany, ale dlatego, że kupcy różnych krajów, wzięwszy kredkę do ręki, wliczyli sobie, że u nikogo nie kupuje się tak korzystnie, jak u Niemca.

Gdyby więc nasz przemysł i handel miały w tych tylko wypadkach zrywać z Niemcami, w których zerwanie takie będzie połączone z widocznym, namacalnym zyskiem, to wywołana przez to zmiana byłaby bardzo nieznaczna. Kupcy nasi sprowadziliby nadal z tamtąd, z kąd teraz.

Dla wszechstronnego roztrząśnienia sprawy trzeba zatem wziąć pod rozwagę i drugą kategorię wypadków. Trzeba zapytać, czy kupiec lub przemysłowiec wyrządza przysługę swemu społeczeństwu przez zerwanie stosunków handlowych z Niemcami i w tych wypadkach, w których owo zerwanie połączone jest dla niego z ofiarą, ze zmniejszeniem zarobku, z oczywistym materialnym uszczerbkiem?

Pytanie to brzmi brutalnie. Z któregoż jednak strony zaatakujemy naszą kwestję, nie będziemy mogli go ominąć, bo w niem kryształuje się jądro całej wątpliwości. Sama forma tego pytania jest już dla nas niemiła. A jednak ani sformułowania go w ten sposób, ani konieczności dania odpowiedzi nie możemy uniknąć.

Pytanie domaga się, byśmy odpowiedzieli: tak lub nie. Odpowiedź nie może wypaść mile dla ucha polskiego.

Przemysłowiec, który przy nawiązywaniu i zrywaniu stosunków handlowych nie liczy się ze względami kalkulacji kupieckiej i przez to pozbawia się zysku, nie wyświadcza społeczeństwu przysługi.

Uprzytomnijmy sobie stosunki w Królestwie.

Przemysł prawdziwie polski i prawdziwie polski handel stanowią tylko część życia ekonomicznego w kraju. Są one młodsze od przemysłu niemieckiego i od żydow-

skiego handlu i rozwijają się nieustannie, lecz powoli, wśród ciągłej walki z tamtymi dwoma współzawodnikami. Rzecz oczywista, że, narażając przedsiębiorcom polskim obowiązek zerwania stosunków z cesarstwem niemieckim, nie zdołamy narzucić tego obowiązku Niemcom i żydom, niepoczuwającym się do wspólności narodowej z nami, choć osiadłym w Polsce. Twarda powinność zerwania stosunków korzystniejszych, a nawiązania mniej korzystnych spadnie, jako tem dotkliwszy ciężar, na barki tych przemysłowców, którzy bądź są Polakami z krwi i kości, bądź też, jakkolwiek pochodzeniem obcy, zrosli się wszystkimi włóknami jestestwa z krajem i jego dołą.

Zmuszenie fabrykanta polskiego do kupowania tam, dokąd go odsyłamy z pobudek politycznych, może stać się każdej chwili premją dla fabrykanta-Niemca i dla fabrykanta-Żyda, którzy się nie troszczą o owe pobudki, którzy kupują tam, gdzie im to najkorzystniej wypada, którzy w walce konkurencyjnej gotowi są skorzystać każdej chwili z tego, iż ich polski współzawodnik sam sobie nakłada pęta.

Od półtora wieku narzekamy w Polsce na brak zmysłu handlowego, na brak ludzi, umiających po kupiecku myśleć i po kupiecku działać. W dwóch ostatnich pokoleniach widzimy zmianę na lepsze. Przemysł się polszczy. Przemiana ta odbywa się stale według pewnych prawideł. Spolszczenie to zaczęło się od dołu. Spolszczyła się najpierw praca ręczna. Fabryki zatrudniają robotników krajowych, a ci, którzy nie znają historii przemysłu polskiego, nie domyślają się nawet, że był czas, kiedy prostego robotnika sprowadzano z zagranicy. Wślad za pracą ręczną polszczy się inteligencja przemysłowa. Obok robotnika polskiego mamy dziś zastęp polskich inżynierów, polskich chemików, polskich dyrektorów. Najpowolniej polszczy się trzeci czynnik, najpowolniej polszczy się kapitał. Wszyscy wiemy, w czyich rękach są fabryki w wielu miastach Królestwa, ale nie wszyscy wiemy, w czyich rękach są akcje różnych przedsiębiorstw, mających pozory polskości. Do zupełnego spolszczenia przemysłu bardzo nam jeszcze daleko. Jest to zawsze jeszcze młoda krzewina, zmuszona na swej własnej grzędzie do nieustannego mocowania się z potężnym praniem przemysłu, przesadzonego z za-

granicę i mającego dotąd charakter cudzoziemski. Niedobrze jest obciążać młodą krzewinę okowami. Niedobre to może mieć skutki, gdy młodemu przemysłowi polskiemu zaczniemy powtarzać: Kupuj nie tam, gdzie tanio, ale tam, gdzie ci serce każe.

Więc dla kupca i przemysłowca polskiego niema rady? Więc kupiec i przemysłowiec w walce tej nie działać nie mogą? Czyż równie jeden, jak drugi, mają przed przewagą niemiecką pokornie uchylić czoła, a może jeszcze całować rękę krzyżacką, która ich smaga?

Kupiec i przemysłowiec mogą zrobić wiele. Kupiec polski i polski przemysłowiec mogą się Niemcom dać we znaki bardziej, niż dzisiaj przypuszczają w Berlinie; mogą pokusić się kiedyś nie tylko o wydarcie Niemcom wszystkich targów polskich, ale także o wydarciu im olbrzymich targowisk Wschodu, a dopięć tego celu zdołają, jeżeli obiorą właściwą drogę.

Rzecz oczywista, że nie dochodzi się do tego, sprzeniewierzając się prawom kalkulacji kupieckiej i kupując ze stratą. Nie dochodzi się, bo każdy bunt przeciw tym prawom mści się na kupcu natychmiast, a mści się srogo.

Wszyscy wiemy, co się stanie, jeżeli fabrykant polski zacznie do swej fabryki sprowadzać od jutra maszyny i narzędzia droższe. Oto pojutrze będzie musiał w składzie swoich wyrobów podnieść ceny, a za tydzień lub dwa tygodnie znajdzie się w tem samym mieście żyd, znajdzie się przybędą z za Odry, znajdzie się pluder, szwab, który, nie kierując się żadnym sentymentem, będzie sprowadzał narzędzia, chemikalja, wzory z tamtąd, gdzie je najtaniej można nabywać, a wskutek tego będzie mógł towar swój, wyrabiany na ziemi polskiej, sprzedawać taniej, niż Polak. Ten pluder, ten szwab wywiesi nad swym składem godło polskie, nazwie swój skład składem polskim, składem narodowym, składem ober-narodowym, a dając towar tańszy, będzie miał publiczność po swej stronie—i wygoli Polaka do roku. Nie tędy zatem droga.

Przez długie szeregi pokoleń wyobrażaliśmy sobie, że społeczeństwem polskim rządzą jakieś odrębne prawa historyczne, nieznanne innym ludom. Dziś wiemy, żeśmy byli w błędzie. Może kiedyś nadejdzie chwila, w której pojmiemy, że tak jak

niema dla nas odrębnych praw historycznych lub socjologicznych, tak samo nie stanowimy też wyjątku wobec praw ekonomicznych.

Przemysłowiec może odegrać w Polsce rolę olbrzymią, ale pod warunkiem, iż nie będzie sobie wyobrażał, że jest istotą wyjątkową i że wolno mu robić coś innego, jak przemysłowcy na całej kuli ziemskiej.

Niechaj więc przedewszystkiem zarabia. Niech kupuje, choćby od samego Belzebuba, jeżeli może kupować z zyskiem; niech sprzedaje, choćby samemu Antychrystowi, byle z zarobkiem. A te zyski i te zarobki niechaj w rękach jego urastają w miliony. Niechaj fabryka jego staje się niezdobyta twierdzą pracy, pomysłowości, oszczędności; niechaj ta twierdza urasta w siłę, by się nie potrzebowała lękać współzawodnictwa pierwszego lepszego szoldry, przybywającego z kapitałami z Saksonji lub Brandenburgji; niech ta fabryka doskonali się pod względem technicznym tak, by wyroby jej mogły bić kiedyś towar niemiecki nie dla tego, że są krajowe, ale dlatego, że są lepsze.

Ale nie dosyć na tem.

Gdy nasz fabrykant dorobi się milionów, niechaj pamięta, że jest obywatelem kraju. Niech da na Bank ziemski, niech da na wydrukowanie taniej gramatyki i historii polskiej dla biednej nieuczzonej dziatwy, niech da na ochronę i na stypendjum. Zarobek, tak użyty, będzie najdzielniejszym puklerzem przeciw najazdowi, będzie najdzielniejszym młotem na lby krzyżackie, a hakatysta, widząc takie spożytkowanie grosza, zarobionego na handlu z Niemcami, nie będzie pocieszał się myślą, że *glupia Polaka*, zamiast brać się po kupiecku do rzeczy, goni utopje ekonomiczne po błękitach.

Czuje, że popsudem czytelnikom humor.

Ludu, wszak jam bezbronny—mógłbym powiedzieć z Ancycem—nie sądz więc, póki nie doczytasz do końca.

Mówiłem o kupcu i przemysłowcu. Wypada pomówić o ogóle konsumentów, o kupującej publiczności.

Tu mamy do czynienia z motywami, które tam mogłyby się być stać zawadą. Tu wchodzi w grę wyniki takie, jak gust, upodobanie, skłonności i sentyment.

W ciągu rozprawy o stosunkach handlowych z Niemcami powiedzia-

no, że sentyment nie ma w handlu znaczenia. Zdanie to, słuszne, gdy idzie o kupca i przemysłowca, staje się błędne, gdy idzie o ogół publiczności. Sentyment odegrał w historii handlu rolę ogromną.

Sentyment decydował o modzie, sentyment decydował o stylu. Sentyment publiczności wzbogacał rzemieślników, którzy się z nim liczyli, a rujnował tych, którzy o niego nie dbali.

Sentyment, jaki polerowne warstwy społeczności europejskiej miały przez długie pokolenia dla literatury francuskiej, dla elegancji francuskiej, dla francuskiego dowcipu, francuskiego teatru, francuskiego tańca—był powodem, że paryżkie modniarki bogaciły się kosztem reszty świata, że paryżki krawiec, fryzjer, tapicer panoszył się, jako posiadacz faktycznego, chociaż żadnym dokumentem nie potwierdzonego przywileju.

Zmiana sentymentu bywała hasłem katastrof.

W świecie panował sentyment arystokratyczny. Kto się cenil, chciał być czemś lepszym od tych, którzy wyglądają, jak zwykli śmiertelnicy. Kto się cenil, nosił perukę. Świat handlowy musiał przystosować się do tego sentymentu. W każdym większym mieście wyrabiano peruki, na każdej większej ulicy był skład peruk.

Sentyment arystokratyczny ustąpił miejsca demokratycznemu. Zimny wiatr alpejski, wypadłszy ze swej lodowej kryjówki na śmiółków, przechodzących przez przełęcz św. Bernarda, muskał nie pudrowane kędziory dworaków, ale ciemny i gładki włos korsykanina. Kto żyw, rzucał perukę. Dzięki zmianie sentymentu, tysiące perukarzy zostały bez chleba.

Jakże to pogodzić z tem, co mówiłem o kalkulacji, jako o prawie, które rządzi handlem?

Rzecz prosta. Wynik kalkulacji kupieckiej jest dla kupca igłą magnosową, drogowskazem, świecą w reku, ale sentyment publiczności jest czynnikiem, od którego wynik kalkulacji zależy. Towar, którego publiczność żąda, będą kupcy ostatecznie sprowadzali z tamtąd, gdzie go najtaniej dostaną; ale o tem, jakiego towaru od kupców żądać, może rozstrzygać sentyment publiczności.

W tych tedy granicach może i nasza publiczność wpłynąć na zmniejszenie stosunków handlowych z Niemcami.

Granice te są dosyć ciasne.

Po pierwsze: wielka masa naszego ludu jest jeszcze zaledwie oświecona, ażeby sobie zdawała sprawę z tego, z kąd pochodzą towary, w które się zaopatruje w sklepach i kramach, przy straganach odpustowych, w drewnianych budach jarmarcznych i u wędrownych handlarzy.

Powtóre zaś—wola publiczności sięga tylko po pewne granice. Publiczność może żądać papieru krajowego i odrzucać najpiękniejsze i najmodniejsze arkusiki zagraniczne. Ale niepodobna od niej wymagać, ażeby rozciągała kontrolę nad właścicielem papieru i kazała mu sprowadzać maszyny nie z Niemiec, ale z Francji.

Publiczność wywiąże się przepysnie z obywatelskiego obowiązku, jeżeli swe najczulsze listy będzie pisywała na bibule krajowej.

Bo powiedzmy raz sobie otwarcie, że nie warto było odwoływać się do sentymentu, jeżeli jedynym skutkiem całej akcji będzie wyrugowanie towaru zagranicznego przez inny towar zagraniczny.

Ale ażeby istotnego celu dopiąć, niechaj każdy z nas zaczyna od siebie.

Nie wierzę, żeby jakiegokolwiek namowy zdołały zmusić nasz świat kupiecki i przemysłowy do nalożenia na siebie ofiar i do nawiązania stosunków handlowych nie w imię interesu, lecz w imię hasel politycznych. Wierzę natomiast, że gdy każdy z nas, wiedziony zdrowym sentymentem, zapanuje nad dawną nawyczką i będzie żądał zawsze tylko krajowego sukna, tylko krajowego papieru, tylko krajowego płótna, tylko krajowych kapeluszy, to może się wytworzyć konstelacja handlowa, w której dla każdego kupca najkorzystniej będzie zaopatrywać swój sklep w wyroby fabryk krajowych.

To leży w granicach możebności. To się da zrobić.

Dla niejednego z nas byłoby to połączone z niemłym przymusem wewnętrznym, ale byłaby to rzecz dziwna, gdyby w społeczeństwie, które już od dwóch miesięcy tak pięknie rozprawia o obywatelskich obowiązkach w życiu handlowym i przemysłowym, miało nagle zabraknąć jednostek, gotowych zrobić pierwszy krok i dobrym przykładem pociągnąć za sobą rodaków.

Wszystkiego przez to nie osiągniemy. Ani kraj nasz nie odetnie się całkowicie od Prus, ani nie unik-

niemy dalszego wzbogacania cudzoziemców, żyjących w kraju naszym, ale zbliżymy się, bądź co bądź, ku ostatecznemu celowi, a tym nie jest chwilowe dokuczenie Niemcom, lecz wyemancypowanie się przemysłowe od wszystkich sąsiadów zachodnich.

Vigilax.

POD BERŁEM PRUSKIEM.

W PARLAMENTOIE RZESZY.

(Od korespondenta „Kraju”).

W ubiegłym tygodniu w parlamencie Rzeszy niemieckiej toczyły się obrady nad wnioskiem posłów Groebera i Rickerta, żądających ściślejszego zapewnienia tajności wyborów. Kwestja ta ma duże znaczenie dla dzielnic polskich, gdzie zarówno urzędnicy, jak wolnopraktykujący hakatyzm starają się wywierać moralny nacisk na wyborców polskich. Stronnictwom rządowym taka zmiana procedury wyborczej byłaby bardzo nie na rękę, ich to bowiem kandydaci korzystają zazwyczaj z poparcia władz i wpływowych osobistości niemieckich. Trudno się tedy dziwić, iż znany Tiedemann domagał się jeszcze większej jawności wyborów, niż praktykuje się ona obecnie. W ten sposób możnaby łatwiej wykryć, za kim głosował zależny ekonomicznie od niemieckich pracodawców robotnik polski i możnaby go potem nękać prześladowaniami.

W imieniu Kola polskiego te zakusy osławionego hakatysty odparł i napiętnował energicznie poseł Roman Komierowski. Przypomnił on, jakich środków chwytają się wojujący germanizm celem przeprowadzenia swoich kandydatów, wydalania ze służby, utrudniania znalezienia zarobku, groźby wymówienia miejsca... Doszło w ostatnich czasach do tego, iż pracodawcy proponowali robotnikom polskim kontrakty roczne pod warunkiem, iż podczas przyszłych wyborów głosować będą na ich kandydata. I gdzie prowadziła się taka zacna propaganda? Właśnie w dobrach Tiedemanna.

„Choć to wszystko należy już do przeszłości, to mamy wszelką rację obawiać się w przyszłości gorszych jeszcze nadużyć. O p. kanclerzu Rzeszy powiedziano w jednym z dzienników („Köln. Volksztg“), że we wszystkich kwestiach politycznego życia jest on szczerze zasłoniętym obrazem z Sais, i że tylko w jednej kwestji powiedział, co myśli, w kwestji polskiej, bo wystąpił, jako namiętny nieprzyjaciel polaków. Potrzebuję tylko zwrócić uwagę, z jak wielką gwałtownością kanclerz wystąpił przeciw nam tutaj i w Izbie deputowanych przy interpelacji wrzesińskiej, i jak brzmiał odnośny ustęp mowy tronowej. Jeżeli więc sam kanclerz Rzeszy tak przemawia, to jak dopiero wystąpią przeciw nam w przyszłych

wyborach podrzędne władze administracyjne, nie mówiąc już o komisarzach obwodowych, żandarmach, softysach i burmistrzach! Jest więc naszym obowiązkiem temu zapobiedz”.

Dalej mówca zaznaczył, iż wolność sumienia wyborczego zastrzeżona nietylko konstytucją, ale również winny jej bronić wszystkie władze administracyjne, jako jednej z najważniejszych prerogatyw obywatelskich.

„Pan kanclerz wypowiedział nam wojnę. My, polacy nie boimy się żadnego przeciwnika! Nawet w czasie wojennym jednak obowiązują obie strony prawa i obowiązki, które nakazują przyzwoitość i ludzkość. Ażeby ułatwić kanclerzowi przestrzeżenie tej przyzwoitości, popieramy wniosek pp. Groebera i Rickerta w całej jego rozciągłości. My, polacy, nie uprawiamy żadnej zgola polityki partyjnej; nasza narodowa podstawa, na której się opieramy, pozostaje niewzruszoną, choćby z nas jeden mniej lub więcej został wybrany. Lecz ograniczenie obecnie prawo biednego polskiego wyborcy musi być w całej pełni zabezpieczone, a ponieważ parlament, jako najwyższa instancja, ma obowiązek bronić wolności wyborczej, więc, jak sądzę, spełni to swoje idealne zadanie tem lepiej, im znacniejszą większość głosów przyjmie ten wniosek”.

Wniosek pp. Groebera i Rickerta, mimo zaciętego oporu prawicy, przyjęty został przez parlament Rzeszy już w drugim czytaniu.

Korzystając z obrad w parlamencie Rzeszy nad projektem centrum, dotyczącym się równouprawnienia wyznaniowego (*Toleranzantrag*), Koło polskie postanowiło ze swej strony wnieść do § 2 rzeczzonego projektu następującą poprawkę:

„Wbrew woli rodziców lub opiekunów, nie wolno zmuszać dziecka do uczestniczenia w nauce religji, nie udzielanej w języku ojczystym. O języku ojczystym dziecka decydują rodzice i opiekunowie”.

Łatwo pojąć, jakie ma znaczenie taka „poprawka”. Zwięzłe te dwa zdania obalają cały obecny system szkolny pruski w ziemiach polskich—ów system, który tak piękne owoce wydał we Wrzesni. Nie należy się atoli ludzi nadzieją zwycięstwa. Centrum przyjęło ten wniosek posłów Chrzanowskiego i Komierowskiego z miną słodko-kwaśną, w której wszakże kwas był szerszy, niż słodycz. Katolicy niemieccy, po przemówieniach Roerena i Frietzena, nie mogą na punkcie nauki religji w języku ojczystym odmówić polakom pomocy. Wiedzą atoli dobrze, iż rząd stanowczo oprze się wnioskowi polaków. Gdyby chcieli całkowicie z nim się solidaryzować, naraziliby całokształt projektu tolerancyjnego na poważne niebezpieczeństwo. Zresztą, nawet przeprowadzenie „poprawki” polskiej w sejmie Rzeszy pozostałoby bez praktycznego skutku na system szkolny w Wielkopolsce, dla którego decydującą instancją jest sejm pruski.

Niemniej jednak przeprowadzenie „poprawki” pp. Komierowskie-

go i Chrzanowskiego byłoby dla posłów polskich wielkiem zwycięstwem, w ten sposób bowiem parlament Rzeszy napiętnowałby poniekąd politykę antypolską rządu pruskiego. Czy centrum okaże się w tym wypadku wiernym sojusznikiem? Jak wiadomo, stronnictwo to jest nader niejednolite, związane jedynie cementem wspólnej religji. Nurują w niem i względem polaków różne prądy.

By przepłynąć wygodnie między ową Scyllą i Charybdą, centrum—jak mnie zapewnił wczoraj w gmachu parlamentu—zaniecha może obecnie dalszej dyskusji nad owym projektem, który i tak już w głównych punktach znalazł uznanie rady związkowej. Szkoda byłoby, gdyby się tak stać miało. Koło polskie straciłoby sposobność postawienia obecnej antypolskiej polityki rządu pruskiego pod pretekst opinii publicznej.

Berlin, 1 lutego.

Gordon.

Trochę statystyki pruskiej.

Naczelnii prezesowie rejencyjni, Bitter z Poznania i Gösler z Gdańska, zajęli się zestawieniem bilansu dorobków polskich w ostatnich czasach. Z zebranych przez nich cyfr dowiadujemy się, iż ogół ludności w Księstwie podniósł się przez ostatnie 10 lat (od r. 1889 do 1900) o 7¹/₂ proc. W tem przyrost ludności polskiej wynosi 10¹/₂ proc., zaś niemieckiej—3³/₄ proc. Do przyrostu ludności niemieckiej są atoli wliczeni sprowadzani z Niemiec koloniści. Gdyby odciągnąć tych nieproszonych przybyszów, to przyrost niemieców w Księstwie już osiadłych wyniósłby zaledwie 1³/₄ proc. W tym samym czasie ludność ogólna Prus zwiększyła się o 15 procent.

W ostatnich czterech latach (1897—1900) przeszło z rąk niemieckich do polskich 1,910 posiadłości, obejmujących 32,260 hektarów (około 130 tys. mórg). Z rąk polskich do niemieckich przeszło 158 posiadłości, obejmujących 16,263 hektarów (około 65 tys. mórg). W miastach również posiadłości przechodzą w ręce polskie. Tak np. w Ostrowie, w ciągu ostatnich 10 lat, z rąk niemieckich do polskich przeszło 31 domów, gdy odwrotnie tylko 6. W Krotoszynie nabyli polacy 64 kamienice od niemieców, a niemiecy od polaków—59. Choć różnica pod względem ilości niewielka, za to bardzo znaczna pod względem wartości, domy bowiem, nabyte przez polaków, oceniają na 4,790 tys. marek, a nieruchomości, kupione przez niemieców—na 3,530 tys. marek.

Warstwy miejskie polskie wrażliwe i wypierają niemieców. Pokazuje się to np. przy aptekach. W r.

1890 na 125 aptek w Księstwie, było 98 w niemieckich, a 27 w polskich rękach. Dziś na 134 aptek tylko 85 należy do niemieców, a 49 do polaków. Dawniej, z wyjątkiem może szweców, rzemieślnicy niemieccy posiadali w miastach przewagę. Dziś zaczyna dźbiać się przeciwnie.

W Poznaniu np., w zawodzie budowlanym, licząc w to cieśli i mularzy, pracuje obecnie:

| | niemieców | polaków |
|-------------|-----------|---------|
| majstrów | 133 | 137 |
| czeladników | 508 | 1,212 |
| uczniów | 131 | 309 |

To samo i wśród innych zawodów rzemieślniczych. Mianowicie te liczą:

| | niemieców | polaków |
|-----------------------|-----------|---------|
| majstrów | 715 | 1,365 |
| czeladników i uczniów | 1,528 | 3,686 |

W Bydgoszczy, mieście przeważnie niemieckim, stosunek ten jeszcze gorzej przedstawia się dla niemieców.

W Prusach zachodnich od roku 1897 do 1900 przeszło z rąk niemieckich w polskie 31,054 hektarów, t. j. przeszło 120 tys. mórg. Z rąk polskich w niemieckie—16,434 hektarów, t. j. przeszło 64 tys. mórg.

I tutaj po miastach polacy wypierają coraz więcej niemieców. Liczba polskich adwokatów, lekarzy i aptekarzy wzrasta stale. W Chojnicach jest 3 polskich i 3 niemieckich lekarzy. W Toruniu na 12 młodych i nieurzędowych lekarzy jest 5 polaków. W każdym prawie miasteczku praktykuje przynajmniej jeden lekarz polak. Tak samo dzieje się i z adwokatami. Nawet w Gdańsku liczba polskich adwokatów i lekarzy wzrasta.

W okręgu kwidzyńskim od roku 1890 do 1899 wyszło 7 aptek z rąk niemieckich w polskie.

Każdy uczciwy rząd cieszy się, gdy znajdująca się pod jego administracją ludność wzmaga się materialnie. Taki rozwój jest właściwie głównym celem działalności rządowej. W Niemczech władze pruskie biją w dzwon na trwożę, ponieważ ludność polska okazuje pracowitość, zabiegliwość i energję. Zalety te uważane są jako objaw «intrygi polskiej».

We Wrzesni.

Korespondent poznański donosi nam: Rząd pruski zabiera się do wymierzenia zemsty na biednych obywatelach wrzesińskich. A poczyną sobie w sposób isticie wyrafinowany. Władze zażądały od członków dozoru szkolnego, by postarali się wywrzeć nacisk na rodziców polskich, ażeby ich dzieci zaprzestały oporu i odpowiadaly w szkole podczas nauki religji w języku niemieckim. W przeciwnym razie rząd wprowadzi do szkoły katolickiej we Wrzesni od 1 kwietnia r. b. siedmiu nowych nauczycieli i cofnie dotychczasową subwencję roczną w kwocie 2,400 marek. Innymi słowy: jeżeli dzieci

polskie nie będą na nauce religji odpowiadały po niemiecku, to katolicka gmina we Wrzesni będzie musiała płacić rocznie około 10 tys. marek więcej, niż dotychczas na utrzymanie szkoły. Ponieważ w gminie jest dużo ludności robotniczej, więc ciężar spadłby przedewszystkiem na tych obywateli, którzy coś posiadają.

Z Poznania.

Biblioteka imienia cesarza Wilhelma została uporządkowana; również sporządzony został katalog książek, przeznaczonych do tej biblioteki. Książki, w liczbie 120 tys. tomów, będą nibawem przesłane z Berlina do Poznania. Podniesiono projekt otwarcia w Poznaniu uniwersytetu. Niemcy sądzą, że byłby on narzędziem skutecznej germanizacji polaków; ale zapominają, że zmarły poseł polski Kantak miałby obecnie sposobność do ostrzeżenia swego złotego humoru i dowcipu. Tyle się nawoził o uzyskanie uniwersytetu w Poznaniu, a dziś najzaciętsi wrogowie chcą ten prezent zrobić Poznaniowi zupełnie bez prośby i mów polskich reprezentantów w Berlinie. „Dzien. Pozn.“ wola spokojnie: „Prosimy więc o uniwersytet w Poznaniu!“ Natomiast „Dresdener Ztg.“, rozpisując się o tej sprawie, tak kończy: „Przedewszystkiem uniwersytet w Poznaniu, a zwycięstwo będzie po naszej stronie!“ Niewątpliwie uniwersytet poznański oddałby mniejsze usługi hakatyzmowi, niż sobie wyobrażają. Jak dalece zresztą boją się hakatyci nauki polskiej, dowodzi następujący fakt. Ks. Zdzisławowa Czartoryska, przewodnicząca Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, uprosiła p. Szymona Askenazego o wygłoszenie odczytu na korzyść tej instytucji dobroczynnej. Historyk lwowski nazaczył już termin swego przybycia do Poznania i obrął za temat „Dzieje polskie od 1795 do 1815 r.“, policja wszakże sprzeciwiła się wykładowi, który z tego względu musiał też być odwołany.

Z ROZMÓW I WRAŻEŃ.

O niedźwiedzia skórę.

Na krakowskim rynku.

— Dobrze, że pana spotykam. Czy to prawda, że namiestnik Piniński ustępuje?

— Właśnie chciałem pana o to zapytać, bo ja, siedząc na wsi...

— Niech pan nie udaje. Nie puszcza pana, póki się nie dowiem, kto będzie następcą hr. Pinińskiego.

— Tak? A czy pan taki pewny, że niedźwiedź nie będzie sobie swobodnie biegał nadal po lesie, choć sprzedamy jego skórę? Wieści o ustąpieniu namiestnika powtarzają się chronicznie; sądzę, że powtarzać się będą jeszcze... długo, tylko rzekomy powód jego ustąpienia zmieniać się będzie w miarę potrzeby i okoliczności. Ostatecznie kiedyś się sprawdzą. Czy pan zauważył, że te pogłoski nie opierają się nigdy na zarzutach, czynionych działalności namiestnika. Przeciwnie, jest on jednym z niewielu naszych polityków, cieszących się gorącym uznaniem różnych stronnictw.

— A ja jednak słyszałem zarzuty.

— Wiem. Zarzuty, czynione półgłosem, że za mało *razdusił* nieprawdą? Niezawodnie, że stanowiska stronnictwa zawsze wygodniej mieć *swój* namiestnika, który stronnictwu oszczędza mozolną walczenia o zasadę i o... mandaty. Pan zna te dwa systemy: «*zrządę nam*»—to system francuzki i «*strzeż ustaw, resztę nam zostaw*»—system anglo-ame-

rykański. Politycznie, nie przepadam za Pinińskim. Na mój smak jest on stanowczo za «biały». Ale uważam go za niezmiernie pożytecznego dla kraju, dlatego właśnie, że zdaje się być zwolennikiem tego drugiego systemu. Jako namiestnik, chce być bezstronnym stróżem ustaw.

— Ależ czy my jesteśmy tak politycznie dojrzali...

— Oczywiście, że nie. I nigdy nimi nie będziemy, jeśli się zawsze będziemy prosili, by nas wodzono na pasku. Mem zdaniem, lepiej zbić sobie jednego i drugiego guza, a nauczyć się chodzić samemu. Zresztą Pinińskiemu nikt nie czyni poważnych zarzutów, chyba...

— Ze innym miejsce zajmuje. Jeszcze jedno: a rzekomy nacisk z Berlina?

— Zadużo pan żadasz od zwykłego hreczkośca! Jeśli nacisk z Berlina jest, to musi on budzić w naciskanych uczucia dwojakie. Pan mi rozumiesz. W najczulszym stadle może powstać wątpliwość: czy to jeszcze miłość, czy już... «pantofel»? Jak ja mogę zgadnąć, jakie uczucie weźmie w Wiedniu górę? Przypuszczam, że nacisk chybił celu, bo inaczej dziwiłbym się Pinińskiemu, że nie ustąpił odrazu, na ciepło. Niechby wszyscy wiedzieli. Tu zaparcie się siebie niepotrzebne.

— Choćby się zgodził «zachować pozory», wszyscy będą wiedzieli, że rzeczywiście obalono go *von draussen*.

— Galicja o tyle może się do tego przychylić, że jeśli namiestnik będzie zachwany z zewnątrz, to stronnictwo krakowskie nie rozwinię może zbytnej energii, by go podtrzymać.

— By objąć po nim spadek?

— Na dwoje babka wróżyła. Zresztą do tego spadku niema się znów czemu tak palić. Łatwiej na Pinińskiego półgębkiem sarkać, niż po nim rządzić; zwłaszcza, jeśli się ma twardą rękę. Dam panu przykład z mojej dziedziny. Mam stadninę. Przy ujeżdżaniu koni pod wierzch waham się czasem, jak się trafi jaki trudny, czy mordować się z wędzidłem łagodnym, czy nałożyć «munsztuk». Jak ujeżdżam na własny użytek, zawsze dbam o łagodne wędzidło i lekką rękę, choć dużo z tem móżoła. Ale na sprzedaż—byle wydawał się ujeżdżony—kładę, panie, «munsztuk», «pelham», nawet rzemień na nos. Co mi tam! pójdzie między ludzi, niech się potem trapią. Ale—jedno albo drugie. Bo wie pan, co robi koń wkładany do łagodnego wędzidla, gdy mu dla odmiany włożyć «munsztuk»?

— Wierzga.

— W każdym razie w siodle siedzieć nie zabawnie. Otóż Piniński ma «lekką rękę» i rozmyślnie używa łagodniejszego wędzidla, niż poprzednicy.

— Ale czy niema kandydatów z lekką ręką?

— Więc po co zmieniać? Żeby znów pracować nad ich zachwianiem?

— Jeśli jednak zmiana i tak przyjdzie z Wiednia?

— To Wiedeń i następcę wymyśli. Po co sobie łamać głowę?

— Ot tak, sztuka dla sztuki. Powiada pan: lekka ręka. A co byś pan np. powiedział o byłym ministrze oświaty, Madeyskim?

— A, wie pan, o tym nie myślałem, a to myśl niezła. Niema co mówić: leć

tęgi, co się zowie, to jeden z najrozumniejszych ludzi, jakich znam, a przytem rozważa, wyrozumiałość, takt...

— I ręka?

— I ręka. Ale dla p. Koerbera nie jest zapewne dosyć «urzędniakiem»...

— Więc wymienię panu urzędnika: Korytowski.

— O nim dużo mówią. Ja mam przekonanie, że byłby to bardzo dobry namiestnik i powołanie jego lepiej byłoby w Galicji przyjęte, niż przypuszczają.

— Dlatego, że przestalby ciężyć na kraju jako naczelnik władz skarbowych?

— Choćby i dlatego. On na to stanowisko dla naszego smaku zbyt sprężysty. A przytem nie umie się sprzedać. Cóż ztąd, że (jak wiem to dobrze) w Wiedniu występuje przeciw uciskowi podatkowemu energicznie i z taką stanowczością, za jaką niewiele urzędników przemawiać tam się waży? O tem głucho. Ze zaś—sumienny urzędnik przede wszystkim—nim ulgi wykołata, spełnia rzetelnie swój obowiązek (dla nas bardzo nieprzyjemny!): podatki bezwzględnie ściąga i przez palce nie patrzy,—więc wrzawa. Jako namiestnik miałby twardą rękę, ale dla urzędników. Jakim byłby politykiem, nie wiem. Ale, że bronilby interesów kraju śmiało wobec Wiednia, i że jako administrator pilnowałby w urzędach rygoru, sprężystości i porządku—to pewna. Zresztą przestrzegalby bezwzględnej legalności, czy to jakimś stronnictwem dogadza, czy nie. Wiedzialby każdy, czego się trzymać. Czy pan myślisz, że taki namiestnik byłby dla Galicji zły?

— Ja w tej chwili nie nie myślę, tylko ciekawy jestem, co pan myśli? Chodźmy dalej. Coby pan powiedział o namiestniku Bobrzyńskim?

— Niepospolity człowiek! Pierwszorządna inteligencja! Głęboki polityk! Znacomity uczone! Ale czemu chcecie koniecznie zrobić z niego namiestnika?

— Nie ja!

— Ja tak go cenię jako uczonego i profesora, że znając i ceniąc jego zasługi na stanowisku kierownika rady szkolnej, jednak sądzę, że na wicehrabiego Jagiellońskiej jeszcze jest pożyteczniejszy. Przebolalby jeszcze, gdyby poszedł do Rady państwa, gdzie jego bystrość byłaby nieoceniona; niechby został i ministrem: taka siła wyjęsby musiała na korzyść i państwu i krajowi. On ma za szerokie horyzonty i za wielką ambicję, by się zamknąć w roli bezstronnego kierownika administracji kraju.

— Ale porwałby się może na reformę tej administracji?

— Pan w to wierzysz? Ta reforma, to kwadratura koła! Stańczycy projektują gminy zbiorowe i połączenie gmin i obszarów dworskich. Ale chłopci nie chcą słyszeć o zbiorowych gminach, stańczycy — o połączeniu gmin z obszarami bez gmin zbiorowych, a podolacy — ani o jednym, ani o drugim! By sprawa ruszyła się naprzód, trzeba, by w pierw teorje prof. Ochenkowskiego przestaly być... teorjami! A czy pan myśli, że się Bobrzyński do ich ucieleśnienia przychyli? Że to człowiek wręcz niepospolity, najlepszy dowód, że tak wpływowe i wybitne zdobył sobie stanowisko, obchodząc się bez ludzkich sympatyj. Na stanowisku namiestnika nie uwydatniłyby się świetne jego przymioty — na to nie

byłoby pola—razilby natomiast te, które mniejszą cieszą się wziętością: pewna nieprzystępność, rogatość, bezwzględność, to wszystko, słowem, co sprawia, że, że...

— Koń wierzga!

— Prócz tego, powiem panu, skoro już hr. Potocki jest marszałkiem... Wiem, że ich łączy wspólność przekonań, mają też nie jeden rys wspólny... mimo to, a może dlatego, albo ja wiem?... Gdyby jednak obydwa równocześnie stali u steru, jeden rzucalby cień na drugiego. To trudno określić. Poprostu: w galicyjskim barszczu byłoby to... dwa grzyby!

— Bądź co bądź, mimo pańskich zarzutów, z przyjemnością widzę, że nie brak kandydatów poważnych, kandydatów niepospolitych, nie byle drabinkarzy!

— Drabinkarzy? Co to takiego?

— Toś pan nie czytał w «Poradniku językowym» listu, w którym Wł. Tetmajer stwierdza, że lud w Galicji utworzył już własny wyraz na «karjerowiczów»?

— Tak? Widocznie potrzeba matką wynalazków... Do widzenia!

— Jeszcze nie. Nie skończyliśmy z kandydatami na namiestnika. Wymieniają komendanta krakowskiego, jenerała Albori'ego...

— To żarty. Ale jest jeszcze kandydatura hr. Antoniego Wodzieckiego, bardzo poważna i popierana silnie.

— Może, może. «Szlachetny mąż, wyjątkowych cnót i zdrowych przekonań» — jak (może z pewną przesadą) określał go afisz wyborczy. Sam czytałem na słupie telegraficznym w Limanowej. Cóż panu powiem? Człowiek taktowny, człowiek zręczny, ambitny, a przytem zdolności ma, niezaprzeczenie zdolności ma. Calkowita antyteza Bobrzyńskiego, choć z jednego są obozu. Jak umie zjednywać sobie ludzi i piąć się po nich w górę? Wie pan? A możeby on właśnie wykorzystanie nadużył?... To rzecz trudna. Znać się trzeba na tem, by zwalczać skutecznie... Pan nie masz wyobrażenia, co to za demoralizacja! Nasz chłop ma świadomość tego, co czyni i, jak da się skusić, wie, że popełnił łajdactwo. Gdyby zapomniał, sąsiedzi mu to przypominają... kijami. Choć wlaśnie nie on główny winowajca. Patrzyłem na to sam (w Limanowskim). Wolę o tem nie mówić, bo nie potrafię mówić spokojnie. Kto wie? Może właśnie on... Zręczny człowiek, ambitny człowiek... Może właśnie on... Słyszałem, że cieszy się wyjątkowymi względami p. Koerbera?

— Widzę jednak, że pańskimi — nie.

— To co innego. Ja mam swojego kandydata na namiestnika.

— Któż to taki?

— Nie zgadznieś pan. Poprostu: Leon Piniński. Nadal Piniński. Mówiłem panu, że dla mnie za «biały». Ale ja jestem skromny, ideału nie szukam i obejdę się całkiem dobrze bez namiestnika lepszego. Skoro pan chciał, robiłem z panem targi o niedźwiedzią skórę. Wolę jednak, by polowanie na tego niedźwiedzia skończyło się... berlińskim «pudłem!» Do widzenia!

— Kraków.

Ż.

ECHA ZACHODNIE.

PARYŻ, 31 stycznia.

[Rewolucja w świecie artystycznym. Antydemokratyczne prądy. Dreyfusizm w teatrze. «Les Noces Corinthiennes» Anatola France. «Figaro» w nowym kształcie. P. Calmette i p. Claretie. Projektowane wydawnictwo p. Potockiego: «La Pologne contemporaine». Książka Cimochońskiego. Wykłady Planszewskiego. Siekiewicz i Kraśzewski.]

△ W cechu artystycznym tutaj wielkie wzburzenie. Dokonywa się w jego łonie rewolucja rzadkiego kształtu, mało praktykowanej w historii, rewolucja—antydemokratyczna. Komitet jednorządowy z dwóch głównych artystycznych towarzystw, najpoważniejszego, t. zw.: «Des Artistes Français», postanowił, że do przyszłego Salonu, t. zw.: «Des Champs Elysees», jury przyjmą będzie mogło tylko 1,600 obrazów, zamiast 2,400, przyjętych w zeszłym roku. Mimo silnej opozycji i prób obalenia komiteta razem z jego postanowieniem, jeden i drugie pozostały przy władzy i sile; w dodatku zaś, wstępując w te ślady, komisja klubu artystyczno-literackiego («Volney») zastosowała tę samą zasadę do otwartej temi dniami własnej wystawy. Gdy pierwwej członkowie klubu npoważnionymi się mienili do umieszczania na tej wystawie każdorocznej wszelakich swoich utworów we wszelkiej liczbie, i dla tej między innymi przyczyny liczba tych członków dochodzi do 2 tys., w tym roku odprawiono osmdziesięciu blisko malarzy i rzeźbiarzy.

Przeciwnicy nowego tego porządku rzeczy zaznaczają nie bez słusności, że radykalna taka reforma źle godzi się ze stosunkami, wytworzonymi przez dawniejsze, całkiem przeciwne pojęcia i dążności. Dawniejszy, mianowicie demokratyczny kierunek pomógł «w Towarzystwie artystów francuzkich» liczbę tak zwanych *hors concours*, czyli artystów, których dzieła nie podlegają wyborowi jury, i z których każdy ma prawo umieszczyć w Salonie dwa obrazy lub dwie rzeźby. Jest takich artystów między malarzami samymi do osmiuset. Zkąd wynika, że oni sami zapelnili mogą przyszły Salon, nie zostawiając towarzysom ani piędzi podłogi, ani kawałka ściany.

Ale siła instynktu zachowawczego zmusza rozmaite artystyczne organizacje do bronięcia się wszelkimi sposobami przeciwko wytworzonej hyperprodukcji, która w tej sferze samemu Luwrowi daje się we znaki. Dyrekcja wielkiego narodowego Muzeum zarzuconą jest ofiarami dzieł sztuki, z któremi często nie wie, co począć. Znajdują się między dostarczonemi jej tą drogą zbiorami niektóre bardzo cenne, jak np. galerja Thomy-Thiery, której właściciel, niedawno zmarły, założył sobie ugrupowanie dwunastu najcenniejszych malarzy zeszłowiecznych, jak: Meissonier, Corot, Millet i t. d., z dwunastoma obrazami, przedstawiającymi twórczość każdego z nich. Nabytek to oczywiście dla Luwru nadzwyczajnie pożądany. Ale i p. Thomy-Thiery i inni ofiarodawcy żądają pospolicie, aby ich zbiory umieszczone były w salach osobnych, noszących ich nazwisko; i ta pretensja do osobistej nieśmiertelności, obciążająca ich wspaniałomyślność, utrudnia niezmiernie korzystanie z ich dobrodziejstw.

Na wczorajszym Przedstawieniu w Odeonie poematu dramatycznego p. A. France p. t.: «Les Noces Corinthiennes», oczekiwane były burzliwe manifestacje na tle Dreyfusowej sprawy, w której autor odegrał, jak wiadomo, wybitną rolę. Obeszło się jakoś bez nich, co wskazuje, że fatalna sprawa przechodzi już w pożądaną stan historycznego uspokojenia. Zresztą, jeżeli Dreyfus przegrał sprawę przed sądem wojskowym, jego stronnicy triumfują bezsprzecznie i bezspornie—w teatrze. «Zagadka» p. Hervieu cieszy się zawsze wielkim powodzeniem w domu Moliera, Antoine zaś nie cofnął się przed wystawieniem w swoim teatrze przeróbki scenicznej ze znanej powieści Zoli p. t.: «La Terre», i ryzykowne to, jak sądzono, przedsięwzięcie dało jedynie powód do żywej polemiki na temat moralnego stanu klasy włościańskiej. Optymiści zdają się w tym względzie mieć przewagę po swojej stronie, mimo argumentów, których świeży proces Brierra dostarczył pesymizmowi Zoli. Ale też dzięki apologetycznemu ruchowi, wytworzonemu dokoła jego zagadkowej osoby, Brierra zachowa prawdopodobnie głowę na karku.

W domu Moliera uciхло, dzięki obietnicy, udzielonej buntującym się aktorom, że nienawistny im dyrektor, p. Claretie, odwołany zostanie niebawem ze swego stanowiska. Prawdopodobnie jest w tym przypadku wstąpienie p. Claretie do «Figara», które to pismo, po sześciomiesięcznych wstrząszeniach, szuka obecnie dróg nowych pod wodzą nowego redaktora naczelnego, p. Calmette. Czy je znajdzie, trudno przesądzać. P. Calmette jest człowiekiem bardzo inteligentnym i zręcznym, ale ma trudne zadanie.

Ostatni zeszyt «Bulletin Polonais» opóźnił się, czekając na zapowiadany komunikat, którego się nie doczekał. Chodziło o prospekt na dzieło ilustrowane, p. t.: «La Pologne contemporaine», które pod redakcją p. Potockiego i przy współudziale, jak slychać, najcenniejszych naszych pisarzy, wychodzić ma zeszytami i drogą prenumeraty, a obiecuje zastąpić korzystnie popularną niegdyś, ale dziś przestarzałą «Pologne Pittoresque». Dla powodów, o których nie mogłem zacytować dokładnej wiadomości, wydawnictwo to uległo zwłoce.

Tymczasem rodak nasz Cimochoński, znany w piśmiennictwie tutaj z pod skrótconem nazwiskiem *Cim'a*, wydał p. t.: «Une Bibliothèque», dzieło, nad którem pracował podobno lat dziesięć, a które przyjęto z wielkim uznaniem. Autor jest bibliotekarzem w zarządzie poczty i telegrafów, i korzystając z tego stanowiska, pokusił się o napisanie czegoś w rodzaju prawdziwej encyklopedji książki. Jak się książka pisze, jak się drukuje, jak się oprawia, jak się umieszcza na półkach biblioteczych i jak się czyta, albo przynajmniej, jak się czytać powinna, wszystkiego tego dowiedzieć się można od p. Cim czy Cimochońskiego.

Inny nasz rodak, Planszewski, doczekał się temi dniami zaszczytnego odznaczenia, powołanym będąc przez radę miejską do zapoczątkowania w pięciu naukowych zakładach nowych wykładów, których przedmiotem jest, w myśl artystycznych utworów Gall'ego i jego

naśladowców, zastosowanie życia roślinnego do nauki rysunku.

Powodzenie tutejsze Sienkiewicza wywołało, między innymi, dodatniami dla naszego piśmiennictwa następstwami, jedno dość niespodziane: wskrzeszenie «Chrześcjancki» Kraśzewskiego, w tłumaczeniu, a raczej w przeróbce pp. L. de Brockere i de Fleury. Próba wypadła nie nadto szczęśliwie. Porównanie z «Quo vadis» zabija napowrót tę chrześcjanke, a w dodatku *neronizm* przejadł się już tutejszym czytelnikom.

Nemo.

LWÓW, 1 lutego.

[Pierwszy rok nowego teatru. Nowy dramat Zapolskiej. Zgon Anieli Asspergerowej. Z sali od-cytywowej.]

△ Nowy teatr lwowski dał w pierwszym roku swego istnienia 107,967 koron... deficytu. Odmianą tę sumę pokrył z własnych funduszy dyrektor, p. Tadeusz Pawlikowski, którego magnacka hojność na cele sztuki nie ma wprost równej sobie w Polsce. Sześciolatnie kierowanie teatrem krakowskim kosztowało p. Pawlikowskiego z górą 400 tys. koron, dzięki którym poziom artystyczny tej sceny podniósł się był do niebywałej przędzi, nawet za Koźmianowskich czasów, wysokości; obecny deficyt zaokrąglą tę sumę do pół miliona koron. Należałoby się zachwycić tą wyjątkową szczodrością p. Pawlikowskiego na cele sztuki, gdyby się równocześnie nie nasuwały niepokojące myśli, wywołane faktem, że Lwów nie potrafił swojego nowego teatru utrzymać w pierwszym roku bez deficytu. Na szczęście objaw ten posiada przyczyny chwilowe, które przestały już istnieć, tak, że z ustaniem ich i finansowa strona gospodarki teatralnej musi się zmienić na lepsze. Taką przyczyną było opóźnienie się otwarcia nowego teatru o cały miesiąc i dłuższa przerwa w przedstawieniach, wywołana pożarem w roku ubiegłym, a przede wszystkim poważne, bo 60 tys. kor. przekraczające wkłady, jakie nowy dyrektor uczynił, instalując się w teatrze. Artystyczny natomiast bilans pierwszego roku teatralnego wykazuje zyski w każdym kierunku. Dramat i opera lwowska zostały daleko za sobą poziomem prowincjonalny. Repertuar, odbijający współczesne prądy w dramaturgii polskiej i europejskiej, sceniczne wystudjowanie utworów, nacechowane inteligencją i smakiem subtelnym, bogactwo pierwszorzędnych sił aktorskich takich, jak europejskiej miary artysta Kazimierz Kamiński, jak niedościgniony w kreacjach charakterystycznych Solski, jak Bednarzewska, Gustaw Fiszer, Chmieliński, Feldman, wszystko to wznosi teatr lwowski na wyżyny, na których mierzyć się może ze scenami o sławie daleko większej, niż ta, jaką może sobie zdobyć teatr miasta, nie posiadającego ani kultury zbyt wysokiej, ani kroci tysięcy mieszkańców, ani mecenasów bogatych i zakochanych w sztuce.

Repertuar ostatniego tygodnia przyniósł nowy dramat Gabrieli Zapolskiej, p. t.: «Mężczyzna». Zapolska ma od dawna we Lwowie markę popularną. Przed laty dwudziestu stawiła tu pierwsze kroki, jako artystka i jako autorka naturalistycznych powieści. Pobyt w Paryżu wyszedł jej na dobre. Wróciła za poprzedniej dyrekcji i wstąpiła na scenę,

na której zajęła pierwszorzędne stanowisko. Równocześnie zaczęła pisać dla teatru rzeczy popularne, efektowne i robiące kasę. W tym podwójnym charakterze zastała ją zmiana dyrekcji teatralnej. Nowy dyrektor nie odnowił kontraktu z artystką, i p. Zapolska przeczuciła się ze sceny do biurka redakcyjnego, przetwarzając się w feljtonistkę i podbijając sobie z tej nowej trybuny publiczność polską. Pobyt w redakcji «Słowa Polskiego» trwał jednak niedługo. Od pół roku jest pani Zapolska żoną znanego malarza, p. Stanisława Janowskiego, wypowiedziała się na wieś pod Nowym Sączem, i zerwawszy z kulisami i redakcją raz na zawsze, oddała się zupełnie pracy literackiej. W cichej, odciętej od świata wsi podkarpackiej powstał w ostatnich miesiącach dramat «Mężczyzna», którego premiera odbyła się prawie równocześnie w Krakowie i we Lwowie, w obecności owacyjnie przyjmowanej autorki. «Mężczyzna» Zapolskiej—to chorobliwy okaz erotomana, okaz, istniejący zapewne w tak obfitej w odmiany gromadzie ludzkiej, przedstawiany jednak w dramacie w sposób, zdradzający zbyt wyraźnie, że autorka naciągnęła wszystkie sprężyny psychologiczne do postawionego z góry założenia. To samo tyczy się drugiej postaci, już wprost doktrynerskiej, robiącej wrażenie żywego automatu do wyrzucania rozmaitych hasel społecznych i filozoficznych, tak że w całej sztuce, operującej czterema postaciami, zostaje tylko jeden typ ludzki z krwi i kości, rzucony na scenę umiejętnie i posiadający cechę żywego człowieka. Sztuka znalazła zresztą powodzenie, a autorka, wychyliwszy się ze swojej wiejskiej ustroni, spotkała się we Lwowie z gorącym, prawie owacyjnym przyjęciem.

Żywi przerwali na chwilę bieg swoich interesów, aby oddać ostatnią posługę zmarłej przed kilku dniami, niegdys' wielkiej artystce, Anieli Aszpergerowej, której nazwisko splotło się nierozdzielnie z dziejami sceny lwowskiej. Przed dwoma laty korespondent «Kraju» z polecenia redakcji odwiedził siedzibę artystkę w jej mieszkaniu przy ulicy Grottgera, i z odwiedzin tych zdał relację w formie obszernej sylwetki. Pozostaje więc przypomnieć tylko w krótkości, czem była Aszpergerowa dla teatru polskiego. W chwili zgonu licząca 84 lat—karjerę aktorską rozpoczęła, jako szesnastoletnia debiutantka na scenie wileńskiej w r. 1834. Ostatnia to z drużyny, tworzącej niegdys' teatr polski na Litwie. Po paroletnich występach w Wilnie, w Mińsku i w Warszawie, przeniosła się młoda artystka do Lwowa, gdzie zabyła niebawem, jako heroina dramatyczna na te ówczesnego repertuaru. Było to w r. 1840. Pierwsze tryumfy Aszpergerowej przypadły jeszcze w starym poklasztorzym budynku teatralnym, niestniejącym od lat wielu. W r. 1844 stojąca już u szczytu powodzenia, otoczona uwielbieniem Lwowa, wzięła udział w uroczystem otwarciu nowego gmachu teatralnego, wznieścionego przez Skarbka. I przeżyła jego przeszło półwiekowe dzieje. Dwa lata temu, ośmdziesięciowieklatna staruszka siedziała w łóżu, kiedy nie mniej uroczyste zamykano «budę» Skarbkowską, kiedy ostatnie słowa pożegnania rozle-

gali się z tej samej sceny, której historię inaugurowała przed pół wiekiem. Aszpergerowa była chyba najstarszą artystką w Europie: 56 lat życia poświęciła teatrowi. Ostatnie lata jej—to było powolne układanie się do snu wiecznego.

Dr. P. Chmielowski wygłosił we Lwowie szereg wykładów publicznych o polskiej literaturze dramatycznej najnowszej doby. Wykłady te, uwieńczone powodzeniem, uważane tu są za wstęp nieoficjalny do stałej działalności znanego pisarza na naszym gruncie, nie ulega bowiem już dziś wątpliwości, że drugą katedrę literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim, której utworzenie jest kwestją krótkiego czasu, obejmie p. Chmielowski.

Sz.

Z NAD WARTY, 2 lutego.

[Walne zebranie Tow. gospodarczego. «Znicz». Towarzystwo muzyczne w Poznaniu. Polemika o Wrześnię.]

W ubiegłym tygodniu mieliśmy w Poznaniu zwykły w tej porze zjazd obywatelski. Centralne Tow. gospodarcze w Poznaniu zwołało zebranie na doroczne zebranie walne. Zbytecznym byłoby rozwodzić się nad użytecznością tej poważnej instytucji; «Kurjer Pozn.» słusznie nazwał ją jednym z tych posterunków, które najszersze pole naszego narodowego bytu ogarniają, — ponieważ «o ziemię polską tu chodzi, o jej uprawę i obronę przed upadkiem, jako najcenniejszego skarbu».

Towarzystwu gospodarczemu przewodniczy hr. Stanisław Żółtowski, który, jako niegdys' dziać jego, hr. Andrzej Zamoyski w Królestwie, w Wielkopolsce krzewi nieustannie słowem i czynem hasła pracy organicznej. Na wniosek prezesa, zgromadzeni uprosili ks. Zdzisława Czartoryskiego do przewodniczenia obradom. Nie danem było jednak ks. Czartoryskiemu przez cały czas kierować obradami. Wezwany telegraficznie przez prezydium parlamentarnego Kola polskiego do Berlina, musiał nazajutrz opuścić Poznań i ostatniemu plenarnemu zebraniu przewodniczył hr. Żółtowski.

Z licznych referatów, jakie zostały wygłoszone, należy wymienić prace pp.: Józefa Chłapowskiego, hr. Adama Żółtowskiego i hr. Stanisława Żółtowskiego. Referaty te wywołały ożywione dyskusje. Po ukończeniu rozpraw w sali Bazarowej odbył się wspólny obiad uczestników zjazdu, podczas którego nawał nastrój niezwykle serdeczny.

W ostatnich dniach powstały w Poznaniu dwa nowe towarzystwa. Pierwsze z nich: «Znicz», ma wypełnić lukę, która dotkliwie dawała się uczuć w naszym życiu społecznym. Był nią brak prelegentów, którzyby jasno i przystępnie wśród szerszych warstw ludności światło szerzyli. Poznań posiada Towarzystwo wykładów ludowych imienia A. Mickiewicza, które doskonale wywiązuje się ze swego zadania i w zimowych miesiącach, w niedziele, gromadzi w Bazarze liczne zastępy publiczności. Wykłady te wszakże, przystępne tylko dla pewnej części publiczności i odbywające się w ciągu krótkiego stosunkowo sezonu, nie wystarczają potrzebnie. Z tego względu grono ludzi dobrej woli założyło Towarzystwo «Znicz», którego celem bę-

dzie kształcenie członków na prelegentów i zasilanie nimi różnych towarzystw polskich. Obecnie towarzystwa te są zazwyczaj w kłopotach, gdy chcą urządzić odczyt; «Znicz» będzie im przychodził z pomocą i, na żądanie, będzie delegował swoich prelegentów. Prezesem nowego Towarzystwa obrany został dr. Rydlowski, wice-prezesem p. Zenon Lewandowski, sekretarzem p. J. Teska.

Drugą, świeżo powstałą w Poznaniu instytucją jest Towarzystwo muzyczne. Kiedyś istniało już w naszym mieście podobne stowarzyszenie. Zakończyło swój żywot dobrowolnie. Teraz grono energicznych ludzi skojarzyło się, by pogrzebaną instytucję wskrzesić i do nowego życia powołać. Towarzystwo muzyczne w Poznaniu, obok celów ogólnych: podniesienia poziomu sztuki i rozbudzenia zamiłowania do muzyki, postawiło sobie jako główne zadanie: stworzyć dobrą orkiestrę polską, której Poznań dotąd nie posiada, a której potrzeba nazbyt często daje się odczuwać.

W dzisiejszych warunkach ludność polska nie może korzystać z orkiestr wojskowych; prywatne zaś nie czynią zadość bardziej artystycznym wymaganiom. Wskutek tego nie zawsze mogliśmy się poznać z nowym dorobkiem muzyki polskiej. Inicjatorzy mają nadzieję, iż ogół nie poskąpi poparcia dla celu tak sympatycznego i tak żywotnego. By zainteresować jaknajszersze warstwy społeczne naszym Towarzystwem, ustanowiono warunki przystąpienia dość niezmiernie umiarkowane: członek dożywotni jednorazowo opłaca tylko 50 marek, zwykli członkowie wnoszą rocznie po 3 marki, całe rodziny po 5 marek—i ta skromna składka daje prawo do znizonej ceny wstępu na koncerty.

Przewodniczącym Towarzystwa został dr. Ks. Jarnatowski, sekretarzem—p. Z. Słupski.

Pewien odłam tutejszej prasy radykalnej wystąpił z gwałtownymi zarzutami przeciw komitetowi wrzesińskiemu, który ukształtował się dla rozdawnictwa składek między ofiary procesu gnieźnieńskiego. Zarzuty te, jednobrzmiące, sformułowane zostały w okólniku, który rozeszło do redakcyjnej tajemnicze «poznajskie biuro prasowe». Tajemnicze, bo nikt dokładnie nie wie, gdzie się owo «biuro» mieści i kto nim kieruje; z tego powodu jego wystąpienia czynią poniekąd wrażenie napaści z za płotu...

Artykuły owe zarzucają komitetowi wrzesińskiemu bezczynność i niedoleżność. Skutkiem tego ludzie, mający prawo do zebranych składek, nie odbierają zapomóg i we Wrześni ma panować wielkie rozgorzyczenie.

Z ust wiarogodnych słyszałem, że stan rzeczy nie został właściwie w tych komunikatach przedstawiony. «La critique est aisée — l'art est difficile». Komitet wrzesiński ma do walczenia z bardzo licznymi trudnościami. Wobec wniesionej apelacji od wyroku gnieźnieńskiego, nie wiadomo jeszcze, kogo należy uważać za ofiary. Przytem znaczna suma zebranych składek budziła niejednokrotnie nadmierne apetyty... Wszystkie te względy zmuszają komitet wrzesiński do postępowania oględnego i rozważnego.

Faktem atoli jest, że w tego rodzaju wypadkach zbyt tajemniczość wywołuje zawsze wśród opinii publicznej po-

dobne protesty. Komitet wrzesiński nie ogłosił dotychczas żadnego sprawozdania ze swej działalności. I tutaj zauważyć należy, iż komitet, z łatwo zrozumiałych względów, musi zachowywać pewną dyskreję wobec władz pruskich; dyskreję ta jednak winna mieć swoje granice. Opinia polska nadto silnie poruszona została wypadkami wrzesińskimi; trudno się dziwić, iż pragnie wiedzieć, w jakim stopniu jej ofiarność osłodziła cierpienia skazanych.

«Goniec Wielkopolski» donosi, iż p. Józef Kościelski wystąpił z komitetu wrzesińskiego, jakoby na skutek różnicy zdań z hr. Ponińskim, — pozostał natomiast czynnym i gorliwym członkiem komitetu poznajskiego, który nad lokalnym komitetem wrzesińskim zwierzchnią władzę sprawuje. Od tegoż komitetu poznajskiego spodziewać się należy, iż przez właściwe wyjaśnienia koniec tej przykryj polemice położy. Bart.

△ Ruś halicka. Stowarzyszenie imienia Szewcenki we Lwowie wysłało deputację z członków: rady dworu profesora Horbaczewskiego z czeskiego uniwersytetu w Pradze, prof. d-ra Puleja na niemieckiej technice w Pradze, prof. Stockiego z uniwersytetu czerniowieckiego oraz posłów Barwińskiego i Romańczuka, do ministra oświaty d-ra Hartla i prezydenta gabinetu, d-ra Koerbera, w sprawie założenia uniwersytetu we Lwowie. Minister oświaty powtórzył mniej więcej to samo, co odpowiedział pierwszej deputacji rusińskiej. Przedstawił, w jaki sposób dążyć należy do uzyskania więcej ruskich katedr we Lwowie; co zaś do założenia uniwersytetu, wskazał na rozmaite finansowe i inne trudności. Prezes ministrów Koerber powoływał się przeważnie na oświadczenie ministra oświaty, a ze swej strony wskazał jeszcze na trudności natury politycznej.

△ Pisma galicyjskie donoszą, że podczas dyskusji nad budżetem ministerstwa oświaty w komisji budżetowej zalił się pos. Romańczuk, iż rusini w Galicji, jedyni wśród wszystkich narodów w Austrii nie są reprezentowani w ministerstwie oświaty przez urzędnika-rusina, chociaż interesy ich nauki i języka wymagają osobnej reprezentacji. Skarżył się dalej na uposzczenie rusinów w szkolnictwie. Na 9 inspektorów krajowych w Galicji, jest tylko dwóch rusinów, a w krajowej radzie szkolnej w Galicji na 9 członków jest również tylko dwóch rusinów. Wśród inspektorów szkolnych okręgowych liczba rusinów jest nieznaczna, a polscy inspektorowie żądają, aby nawet w szkołach ludowych ruskich dzieci ruskie, uczęszczające do nich, wbrew ustawom zasadniczym i ustawie krajowej, nie tylko uczyły się języka polskiego, ale także, aby po polsku poprawnie się wyrażały, co jest połączone ze szkodą dla ich wykształcenia. Mówca żądał dalej, aby podług wzoru czeskiego utworzona została w Galicji ruska sekcja rady szkolnej krajowej. Odpowiadał poseł Romanowicz, zbijając zarzuty posła Romańczuka.

△ Londyn. Korespondent wiedeński do dziennika londyńskiego «Daily Chronicle» pisze: «Według doniesień z Polski austriackiej i rosyjskiej, polski ruch bojkotowy przeciwko Niemcom codzień wzrasta. Bojkot dotyka nie tylko towarów, ale również gubernantek, nauczycieli, subjektów i służących, z których wielu odprawiono. Niemieckie książki, dzienniki, czasopisma i nawet listy bywają odsyłane z powrotem. Austriacy, francuzi, belgijczycy i holendrzy usiłują pociągnąć do siebie rynki polskie. W Warszawie i Krakowie mają być otwarte sklepy francuskie i angielskie.»

△ Stany Zjednoczone. Ukazał się urzędowy rosyjski «Zbiór doniesień konsular-

nych», w którym znajdują się ciekawe informacje pierwszego sekretarza rosyjskiego poselstwa w Waszyngtonie, G. A. De-Wollana, w sprawie emigracji do Stanów Zjednoczonych. Jak szybko rośnie emigracja, można powziąć wyobrażenie z następujących cyfr: od r. 1799 do 1820 do Ameryki przesiedliło się przeszło 250 tysięcy cudzoziemców z Europy; od r. 1820 do 1900 cyfra emigrantów wynosi ogółem już 30 milionów. W początkach emigracji przeważał pierwiastek niemiecko-skandynawski; obecnie góruje słowiano-włoski z przymieszką żydów i finlandczyków. O procencie, przypadającym na różne grupy etniczne, można mieć pojęcie z następujących cyfr, dotyczących przesiedlenia się z Rosji różnych narodowości: w r. 1900 było emigrantów rosjan—1,165, Niemców—5,349, finlandczyków 12,515, żydów—37,011, polaków—32,797. W r. 1899 emigranci rozpadali się według wyznań tak: 22,462 katolików, 1,470 prawosławnych, 24,351 żydów, 13,295 protestantów. W r. 1900 przybyło do Stanów Zjednoczonych 304,148 mężczyzn i 144,124 kobiet; wśród nich było 54,624 osób, które nie miały lat czteremastu, 23,566 było w wieku wyższym po nad lat 45. Prawie 20 proc. było analfabetów, t. j. 93,576 osób; umiejących tylko czytać—2,057. Środkie pieniądze emigrantów wynosiły 6 milj. dolarów; 271,821 osób przywoziło sumę niższą od ustalonej dla osiedleńców normy (30 dolarów), a 54,288 wyższą od tej normy. Najzamożniejszymi byli Niemcy; polacy przywieźli zaledwie 466,939 dolarów. Pewna ilość osób przypadała na profesje liberalne (duchowni, inżynierzy, adwokaci, lekarze, artyści, nauczyciele, aktorzy i t. p.); wśród anglików na zawody te przypadało — 351 osób, wśród Niemców—196, francuzów—46, żydów—253, irlandczyków—105, włochoów—826, polaków—29. De-Wollan podnosi fakt, że emigranci, którym wypadło zamieszkać w mieście, bądź z powodu, że nie powiodło się im na roli, bądź z innych przyczyn, zlewając się z miejscową niezamożną ludnością, podnoszą poziom jej moralności. Na przykład w New-Yorku całe okolice, które niedawno jeszcze słyneły jako środowiska rozpusty i pijaństwa, obecnie — od chwili osiedlenia się tam pracowitych greków, włochoów i rosyjskich żydów — są zupełnie ciche. Już drugie pokolenie emigrantów asymiluje się z amerykańkami. Daje się to zauważyć nawet na żydach, najbardziej konserwatywnym pierwiastku narodowym: korystając z równych ze wszystkimi praw obywatelskich, dumni z miana amerykańskiego obywatela, podnoszą się oni szybko po stopniach społecznej drabiny i chętnie mianują się czystej krwi amerykańkami, używając wyłącznie języka angielskiego, podobnie jak potomkowie innych emigrantów.

△ Szląsk. «Zasowi» donoszą z Wrocławia, iż w ostatnich czasach władze pruskie wydalają poddanych austriackich całemi tłumami ze Szląska, a szczególnie z rejencji opolskiej. Według urzędowej statystyki, wydalono od dnia 1 października 1899 r. do 1 października 1901 r. drogą administracyjną 3,458 osób, oprócz tych, które zostały wydalone na mocy wyroków sądowych. Jako przyczynę wydalenia podają rozkazy urzędowe religiję lub język wydalonych, najczęściej polski.

Z MIAST I WSI.

PONIEWIĘŻ, w styczniu.

[Zaburzenia antysemitki i wyrok Izby sądowej.]

□ Smutne wypadki wydarzyły się w kilku miasteczkach w obrębie pow. poniewieżkiego i zawelskiego gub. kowieńskiej.

Na wiosnę 1900 r., około żydowskich świąt wielkanocnych, zaczęto powtarzać pogłoskę, jakoby żydzi miasteczka Kon-

stantynowa chcieli zabić dziewczynkę w wieku lat 14, Zajarską, która rzeczywiście na pewien czas znikła z domu i po powrocie mówiła rodzicom i krewnym, że znajdowała się w rękach żydów, trzymana w jakichś podziemiach Konstantynowa.

Niebawem zaszło inne wydarzenie, które się stało główną pobudką do ruchów antysemitki. Ogarnęły one dwa wyżej wymienione powiaty i niezawodnie przybrały jeszcze szersze rozmiary, gdyby nie miejscowa policja i księża, którzy napomnieniami o miłości chrześcijańskiej zdolali uspokoić wzburzone umysły i przypadkowo urażoną dumę ludności chrześcijańskiej. Mianowicie żydzi z Konstantynowa, przejęci religijnym fanatyzmem, urządzili procesję na upamiętnienie 13-lecia (!) czytania talmudu; chcąc procesję nadać większe znaczenie, posadzili na białego konia jednego z największych szanowanych talmudystów, Lejzora Tucha, w jakimś osobliwym kapeluszu na głowie z napisem na wstążce: «Hewra Hemora» (stowarzyszenie talmudystów), w białym stroju, na który narzucono białą płachtę. Za Lejzorem Tuchem dwaj żydzi, prowadząc pod ręce trzeciego, ubranego w «szatę pogardy». Kogo miał wyobrażać ów trzeci, ostatecznie nie wykryto na ścieżce. Za nimi, modląc się i śpiewając, szli gromadą żydzi, żydówki i dzieci. W trakcie tej procesji przez Konstantynów przejeżdżali cyganie, którzy postanowili rozpedzić żydów, co też niebawem uczynili. Przy rozpędzaniu tłumy żydowskiego, cyganom udało się odebrać «koronę Piłata», część jego szaty niewinności i wstążkę ze wzmiankowanym napisem. Wszystko to złożono władzom sądowym, jako *corpus delicti*.

Trzeci i ostatni fakt stał się częścią przyczyną wybuchu zemsty. D. 3 czerwca 1900 r. wieczorem «urządnik» w Konstantynowie, Tabak, usłyszał wystrzał na polach, należących do księdza, dokąd zaraz pośpieszył razem z garstką żydów. Na pastwisku zastał dwóch służących kościelnych, od których zażądał oddania strzelby; ponieważ jednak żądania dobrowolnie nie spełnili, odebrał strzelbę przy pomocy żydów. Służący kościelni obiecali «nie darować» i przy pierwszej sposobności zemdlić się na żydach. Okazało się na dochodzeniu sądowym, że żydzi od dawien dawna mieli zatarg ze służbą księdza o pastwiska.

Opowiadania o wymienionych wydarzeniach do tego stopnia wpłynęły na usposobienie tłumy, który zebrał się w dzień odpustu 4 czerwca w Konstantynowie, że bardziej wrażliwe jednostki nie powstrzymały się od napaści na żydów i pociągnęły za sobą resztę. Wynikiem tego było niszczenie rowarów, rozbijanie sklepów i nareszcie bicie samych żydów.

Po rozruchach w Konstantynowie spodziewano się rozruchów w innych miejscach, tem bardziej, że wśród ciemnego ludu zaczęła rozpowszechniać się dzika pogłoska o manifestie, zezwalającym bić i zabijać żydów pod warunkiem, żeby za każdego zabitego żyda zapłacić po 3 kop., czy też po 5 rb.

Pod wrażeniem tego wszystkiego, w niedzielę d. 18 czerwca w miasteczku Linkowie zaszły takie same rozruchy, jak i w Konstantynowie. Następnie

podobne zajścia miały miejsce w Poszwityni d. 25 czerwca, w Żejmelach i Żydziach 29 czerwca, w Konstancyńowie powtórnie d. 2 lipca i Pomuszu Radena 4 lipca. Temu wszystkiemu nie mogły zapobiedz ani miejscowa policja, ani sprowadzony w tym celu oddział kozaków. Podczas rozruchów tylko w Konstancyńowie była skonstatowana kradzież, w innych miejscach nie podobnego nie było. Nie było też wypadku ciężkiego okaleczenia, co stwierdzili 4 eksperci-doktorzy: dwaj żydzi i dwaj chrześcijanie. Skutkiem rozruchów aresztowano przeszło dwieście osób, które więcej niż rok pozostawały w więzieniu. Według zeznań byłego sprawnika i asesora, liczba ludzi, biorących udział w każdym z rozruchów, dochodziła do kilku tysięcy.

Po ukończeniu śledztwa, d. 15 grudnia do Poniewieża zjechała Izba sądowa wileńska w pełnym składzie i przystąpiła do sądenia sprawy z udziałem przedstawicieli stanów: marszałka powiatowego Giersa, prezydenta m. Poniewieża, obywatela ziemskiego Władysława Eydrygiewicza i wójta gminy smilgowskiej, Grygalunasa. Wyrok jej brzmi jak następuje:

Pozbawić wszystkich praw i przywilejów i oddać do rot aresztanckich 19 oskarżonych, z tej liczby jednego na dwa lata i ośmnaście na czas od roku do półtora. Dwudziestu trzech oskarżonych postanowiono zamknąć w więzieniu na 8 miesięcy z pozbawieniem praw i dziesięciu bez pozbawienia praw. Wreszcie dwóch skazano na dwa miesiące więzienia. Ze strony poszkodowanych stawali trzej adwokaci: Finkelstein, Cynkowski i Naftal Friedman, jako powodowie cywilni; z urzędu bronili oskarżonych adw. przys. Ludkiewicz.

S. M.

POW. SOKÓLSKI (gub. grodz.), w styczniu. (Lud w zachodniej części powiatu. Postępy gospodarskie. Emigracja i jej wpływ).

□ Bardzo ciekawy zakątek kraju przedstawia powiat sokólski w gub. grodzieńskiej, a zwłaszcza zachodnia część jego, granicząca z pow. białostockim. Przedewszystkiem uderza tu brak zupełny większych posiadłości ziemskich, o których istnieniu ludzie już prawie zapomnieli. Przeważnie były to królewszczyzny, to też lud tutejszy nigdy nie miał wyobrażenia o dworskiej pańszczyźnie, co się jaskrawo odbija na całym jego bycie. Przyjeżdżającym z innych części kraju przedewszystkiem rzuca się w oczy widoczna zaemożność ludu. Ładne, duże domy, ocienione od ulicy drzewami owocowymi, a często i winem, ogrody dobrze uprawne, budowlę gospodarskie porządne i obszerne sprawiają wrażenie raczej dworów. Lud, bez wyjątku katolicki, mówi językiem pośrednim pomiędzy białoruskim i polskim, ma wygląd nader sympatyczny i inteligentny.

Pomimo, że ziemia tu wcale nie należy do urodzajnych, chłop, który przywykł tu od wieków pracować tylko na siebie, nauczył się oszczędności, a mając zapewnione najniezbędniejsze potrzeby życiowe, starannie uprawia swój zagon, kupuje wyborowe nasiona zbóż, siewie koniczynę i trawy, zaprowadza ulepszone narzędzia (plugi, drapacze i brony żelazne)—i gdyby mu jeszcze dać

szkołę ludową, wtedy już w niczemby nie ustępował niemieckiemu lub szwajcarskiemu. Dążność do polepszenia warunków bytu pcha tutejszą młodzież całymi masami za morze, do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, wskutek czego robotnik rolny jest tu nadzwyczaj rzadki i drogi. Sami włościanie w czasie robót polnych płacą ceny, o jakich w Królestwie nie słyszano. Chłop z kosą bierze dziennie 1 rb. i wyżej, kobiety do żniwa 50—60 kop. z całodziennym utrzymaniem gospodarskim. Przed paru laty sprowadziłem do swego folwarku żniwiarkę, a już na drugi rok dwóch włościan, posiadających po 40 morgów gruntu, żęło żniwiarkami swoje i sąsiadów zboże; na przyszłe zaś lato kilkunastu gospodarzy ma zamiar sprowadzić z Warszawy żniwiarki.

Czy emigracja jest korzystną dla naszego ludu? Na pytanie to dalbym odpowiedź twierdzącą. Młodzież tutejsza jedzie do Ameryki, zarabia tam dziennie 2—5 rubli i po kilku latach albo wraca do kraju z zarobionym tysiącem i wyżej, lub osiada na stałe w Ameryce, sprowadzając najczęściej na żony dziewczęta ze stron rodzinnych. Kto chce w najkrótszym czasie zarobić wiele pieniędzy, pracuje w kopalniach węgla, tak zwanych «majnach» (ang. *mines*), gdzie wielu ginie wskutek nieszczęśliwych wypadków; inni pracują w fabrykach. Dobry robotnik na tkackiej fabryce zarabia 8—10 dolarów tygodniowo. Na roli pracują niechętnie, bo wynagrodzenie mniejsze, jakieś 25—30 dolar. miesięcznie. Koszta przejazdu do Ameryki nie są zbyt duże. Potrzeba na to 110 rubli i miejskiego ubrania, ponieważ na człowieka ubranego w strój ludowy, zwracający uwagę, pokazują palcami i wołają: «*grüner*».

Zwykle agent-żydek jeździ od wsi do wsi i z kilkudziesięciu chłopów lub dziewcząt zbiera «kompanję», którą bez wielkiego ambarasu przemyca przez granicę. Od granicy do morza prowadzi emigrantów inny agent i umieszcza całe towarzystwo na okręcie. Każdy z wychodźców obowiązany mieć przy wysiadaniu na brzeg amerykański kogoś znajomego, który go bierze na swoją odpowiedzialność. Nie mający takich poręczy, natychmiast bywają zwracani do Europy. W każdym razie wychodźcy przesyłają do kraju masę pieniędzy, co już jest rezultatem dodatnim emigracji.

S. Z.

Z KIJOWA, 23 stycznia.

(Widoki urodzajów. Kryzys. Bank ziemski. Bank handlowy. Wystawa w Żytomierzu. Dar hr. Sobańskiego. Kasa oficjalistów rolnych. Wybory do rady miejskiej w Kijowie. Zgromadzenie przedwyborcze. Agitacja).

□ Z rozmaitych okolic kraju otrzymuję wiadomości, że stan zasiewów, pomimo tak szeregowej zimy, jaką mamy w tym roku, jest ogólnie zadawalniający: pola są zielone, oziminy zeszyły gęsto i równo. Jeżeli więc atmosfera nie urządzi nam jeszcze jakiejś niespodzianki, można liczyć na urodzaje.

Z przyjemnością również zaznaczyć mogę, że pieniądze, których brak tutaj oddawna wszystkim dokucał, ukazywać się zaczynają. Twierdzić na tej zasadzie, że kryzys finansowy już się skończył, byłoby naturalnie zbyt ryzykownem, ale przynajmniej zaczynamy żywić

nadzieje na polepszenie się stanu finansowego. Listy zastawne kijowskiego Banku ziemskiego, ten doskonale barometr nastroju ekonomicznego, podnoszą się w cenę.

Nie znaczy to jednak, by stan interesów kijowskiego Banku ziemskiego był zadawalniający. Nie ulega wątpliwości, że Bank wyda w tym roku znacznie mniejszą dywidendę, niż w latach poprzednich, a to skutkiem znacznych strat, poniesionych wskutek przesilenia budowlanego w Kijowie. Bank ziemski w ciągu ostatnich lat dziesięciu chętnie udzielał kredytu na zastaw domów i wydawał pożyczki tak wysokie, że przewyższały często wartość rzeczywiście nieruchomości miejskich. Skończyło się wszystko na tem, że obecnie Bank musiał nabyć na licytacji kilkanaście domów, które inaczej sprzedane byłyby za bezcen—i Bank poniósłby znaczne straty. Interesy drugiej instytucji kredytowej miejskiej, Banku handlowego, również wiele pozostawiają do życzenia. Znaczne niegdyś fundusze rezerwowe i zapasowe użyte zostały na pokrycie strat poniesionych. Wobec różnych pogłosek, ministerstwo skarbu wydelegowało do Kijowa dwóch urzędników, pp. Fliegę i Meżyńskiego, którzy dokonali ścisłej rewizji ksiąg bankowych. Czynności te trwały kilka dni i wszystko znalezione we wzorowym porządku.

Sfery ziemiańskie z najwyższym zainteresowaniem śledzą obecnie przebieg sprawy podniesienia cel zbożowych w Niemczech. Przypuszczalna wojna celna nas dotknie przedewszystkiem; ceny zboża, a więc i dochody z majątków ziemskich nieodzwrotnie się zmniejszą. Będzie to jeszcze jeden kryzys, których mamy już i tak wiele...

Po wysłaniu poprzedniej korespondencji otrzymałem wiadomość, że w r. b. będziemy mieli jeszcze jedną wystawę—w Żytomierzu. Odbędzie się ona, jak i trzy inne, w sierpniu, a urządza ją nie Towarzystwo rolnicze, bo takiego niema tam dotąd, ale sekcja rosyjskiego Towarzystwa technicznego. Wystawa nosić ma przeważnie charakter przemysłowy.

Hr. Feliks Sobański, o którego szczerym darze na kasę oficjalistów w Królestwie Polskim, donosił już «Kraj», nie zapomniał również o oficjalistach ze swego rodzinnego Podola i składa na ręce prezesa podolskiego Towarzystwa rolniczego, hr. Heideny, 100 tys. rb. na kasę oficjalistów podolskich. Jak donosiłem w swoim czasie, Towarzystwo podolskie postanowiło do czasu wstrzymać się z zaleceniem swoim członkom zapisywania się do kasy oficjalistów rolnych w Kijowie, chcąc przekonać się, o ile ta kasa i jej zarząd będą umiały radzić sobie z podjętem przez się zadaniem. Dziś kwestja jest już rozstrzygnięta: kasa kijowska nie umiała pozyskać ani członków, ani sympatji ogółu, ani wpływu; wsławiła się tylko niesłychaną w dziejach instytucji publicznych niezgodą pomiędzy członkami. Ziemianie podolscy już oddawna postanowili założyć dla swoich oficjalistów własną kasę, a dar hr. Sobańskiego tylko przyspiesza załatwienie tej sprawy. Towarzystwo podolskie wybrało specjalną komisję, złożoną z pp. hr. St. Grocholskiego, Jakubowskiego, Gasztolda-Bukraby, Wiktora Glinki i Michała Sobańskiego, która ma

opracować ostatecznie projekt ustawy kasy podolskiej, a również omówić z hr. F. Sobańskim warunki przyjęcia jego daru. W lonie Towarzystwa podolskiego opracowano już kilka projektów statutów, lecz żaden z nich nie zadawalnia większości członków.

W Kijowie wszystkich teraz najbardziej zajmują wybory do rady miejskiej. D. 15 stycznia, w sali Towarzystwa kredytowego odbyło się zgromadzenie wyborców-polaków z cyrkułu starokijowskiego, największego w Kijowie i obejmującego sam środek miasta, a więc stanowiącego dzielnicę, zamieszkiwaną przez ludność najzamożniejszą i najinteligentniejszą. Jest tu z górą pięćciuset wyborców, a w ich liczbie stu czterech polaków, właścicieli nieruchomości i kupców. Na przewodniczącego zgromadzenia zaproszony został prezes Leonard Jankowski, a mecenas Oltarzewski, który prawie od dwudziestu lat jest radnym miasta, zaznajomil zgromadzenie ze stanem interesów miejskich. Według rachunku matematycznego cyrkuł starokijowski powinien wysłać do rady miejskiej czterech radnych polaków, faktycznie jednak w tym cyrkułe wybieranym jest tylko jeden p. Oltarzewski. Pochodzi to ztąd, że partje, do których przyłączają się wyborcy-polacy, nigdy nie dotrzymywały swych zobowiązań względem nich i, rozporządzając polskimi głosami, nie popierały podczas wyborów naszych kandydatów. Zwłaszcza partja opozycyjna, której wodzem jest p. Dobrynin, zawodziła nas niejednokrotnie. Wobec tego zgromadzenie postanowiło: nie łącząc się z partją opozycyjną, nie przystępować również do partji urzędowej, to jest stojącej obecnie u władzy, a głosować za tymi kandydatami, którzy cieszą się zaufaniem powszechnem. Na kandydatów z naszej strony wybrano panów: Oltarzewskiego, Marcinięczyka (właściciela jednej z największych aptek w mieście i dyrektora towarzystwa handlu towarami aptecznymi), Reismillera (właściciela kilku znacznych nieruchomości miejskich) i Noego (kupca, właściciela składu fortepianów).

Polacy postanowili nie łączyć się z żadną z partji dlatego również, iż przywódcy obu stronnictw w walce agitacyjnej doszli do ekscesów, jakie już tolerowanymi być nie mogą przez szanujących się ludzi. Wskutek fałszywych denuncjacji, intrzy i t. p. przeciw dwom wodzom partji wdrożono dochodzenie sądowe i postawiono ich pod zarzutem przestępstwa kryminalnego. Dla poważniejszej części wyborców jest rzeczą najuczelniej wyraźną i jasną, że wszystkie te oskarżenia i kryminaty są misterną robotą złości i zawiści pomieszanych z błędnem pojmowaniem najwyższych artykułów prawa.

Sam.

□ **Kijów**. Wkrótce miasto otrzyma jeszcze jedną użyteczną instytucję. Są to towarzystwa dobroczynności, pozostające pod kierunkiem i opieką rady miejskiej. Całe miasto jest podzielone na dziesięć rewirów, a każdy rewir tworzy niły własne towarzystwo, mające własnych członków, urzędników i udzielające pomocy ubogim, zamieszkiwającym w obrębie danego rewiru. Podobna organizacja miejska da możliwość wyszukwania prawdziwej nędzy i niesienia jej pomocy, wówczas, gdy urzędowe instytucje

dobroczynności nie są w stanie, dla braku czasu i ludzi, odróżnić symulację od nędzy.

□ Ofiary na wybudowanie gmachów politechniki kijowskiej wynoszą obecnie 979,474 rb. Jako ofiarodawców przedewszystkiem wymienić trzeba instytucje publiczne: kijowską radę miejską, która dała 300 tys. rb., i giełdę kijowską, która ofiarowała 78 tys. rb.; zarządy towarzystw cukrowniczych, banki i inne towarzystwa akcyjne ofiarowały 156 tys. rb., obywatele ziemscy-polacy 60 tys. rb. W liczbie ofiarodawców znajdujemy nazwiska wszystkich prawie wybitniejszych właścicieli ziemskich, jak hr. Branicka, hr. W. Branicki, hr. A. I. i K. Potoccy, ks. Sanguszko, Szczeniowski, Sulatycki, Podhorscy, Lipkowsy i t. d.

□ Projekt połączenia górnego Kijowa z dolnym, to jest starego miasta z Padolem, za pomocą łańcuchowej kolei żelaznej, na wzór podobnych urządzeń w Szwajcarii, dochodził nakonec do skutku. Wszelkie formalności przedwstępne załatwiono. Autorem projektu jest inżynier tramwajów kijowskich p. Kazimierz Brusnicki.

□ Kijowska rada miejska uzyskała pozwolenie na zaciągnięcie nowej pożyczki miejskiej w sumie 2½ milj. rb., która będzie użyta na wybudowanie nowego kolektora i skanalizowanie dotąd kanalizacji.

□ Powstało w Kijowie nowe Tow. akcyjne z kapitałem 4 milj. rb., pod nazwą «Kijowskie Tow. elektryczne». Głównym akcjonariuszem jest bank drezdeński. Nabywa ono przedsiębiorstwo, istniejące w Kijowie pod firmą «Sawicki i Straus» i koncesję na oświetlenie miasta Kijowa w ciągu 40 lat, należąca do Tow. «Union». Kompanja przystąpiła już do budowy obrzytniej stacji elektrycznej na Padole. Wkrótce tedy cały Kijów będzie oświetlony elektrycznością.

□ Kijów bawi się w tym roku nie gorzej, jak zwykle. Nie mówiąc o licznych zabawach prywatnych, liczne kółko polskie zbiera się co drugą sobotę w klubie cyklistów, gdzie odbywają się koncerty i trwa do rana ożywiona i obochza zabawa.

MOSKWA, w styczniu.

(Sejmiki gubernialne ziemskie. Budżety ziemstw. Obrady sejmiku w Saratowie. Szkoły ziemskie a konfesyonalne. Krytyka szkół konfesyjonalnych. Wystąpienie przedstawicieli duchowieństwa. Obrady sejmiku w Orle. Wydawnictwa ludowe).

□ Sejmiki gubernialne ziemskie ukończyły już w tej chwili powszechnie swoje czynności. Odbywają się one w listopadzie i w grudniu, i zatwierdzają budżety na rok następny. Środki, jakimi rozporządzają obecnie ziemstwa 34 guberni, korzystających z samorządu, wynoszą prawie 90 milj. rubli. Jest to suma pokaźna zapewne, w porównaniu przecie z ilością potrzeb i wydatków koniecznych wielką nie jest.

Ostatniemi czasy ogłoszono ustawę, wzbraniającą sejmikom podwyższać więcej, niż o 3 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym, podatki, ściągane z ludności. Zauważono, że ziemstwa są zbyt pochopne do podwyższania podatków, a ponieważ wszystkie dochody wpływają do kas ziemskich w postaci podatków bezpośrednich, to jest najbardziej dotkliwych, przeto ludność w wielu okolicach była niemi zbyt obciążona.

W całym Cesarstwie zauważyć się daje dość ciekawy objaw. Gdy samorzady miejskie powszechnie od lat wielu prawie nie zwiększają podatku od nieruchomości miejskich, ziemstwa wyśrubowały podatki od własności ziemskiej, o ile było można... Czyżby to znaczyło, że po wsiach obowiązki obywatelskie są pojmowane lepiej, niż po miastach, że wła-

ściciele ziemscy skłonniejsi są do ofiar na cele ogólne, niż kamienicznicy? W znacznej mierze jest tak rzeczywiście.

Wracając do budżetów ziemskich, zaznaczyć należy, że wydatki wynoszą prawie tyle, co dochody. W liczbie wydatków pierwsze miejsce (28 proc.) zajmuje utrzymanie szpitali i służby zdrowia; wydatki na oświatę ludową wynoszą 17 proc., na utrzymanie dróg i mostów 11 proc., na administrację 10 proc. Ostatnia pozycja zasługuje na uwagę szczególną, gdyż dowodzi, że gospodarstwo ziemskie kosztownem nie jest. Na środki, podejmowane w celu podniesienia rolnictwa i wogóle dobrobytu ludności wiejskiej wydają ziemstwa 2,300 tys. rb.

Sejmiki obradowały między innymi: w sprawie stworzenia nowej niezdziałki ziemskiej, mniejszej niż powiat, radziły o utworzeniu banku dla przemysłu drobnego, o sprawach oświaty, o podniesieniu dobrobytu ludności.

Do ciekawszych należy utarczka na sejmiku gubernialnym w Saratowie pomiędzy stronnkami i przeciwnikami szkół wyznaniowych. Czytelnikom «Kraju» wiadomo bezwątpienia, że w Cesarstwie szkoły początkowe ludowe prowadzone są albo przez ziemstwo, albo przez duchowieństwo. W pierwszym wypadku zostają one pod kierownictwem naczelnym kuratorów okręgów naukowych i urzędników ministerstwa oświaty, w drugim kierują nimi rady specjalne, podwładne Synodowi rządzącemu. Od lat wielu pomiędzy szkołami świeckimi a duchownymi panuje wielki antagonizm. Szkoły ziemskie stoją pod każdym względem wyżej od szkół wyznaniowych, wszystkie przedmioty są w nich wykładane gruntownie i według szerszego programu, ale za to i utrzymanie ich kosztuje o wiele drożej.

Fundusze na utrzymanie szkół wyznaniowych łożą: gminy włościańskie, oraz Synod rządzący, który na ten cel znaczne środki czerpie ze skarbu ogólnopanstwowego. Nado miasta i ziemstwa częstokroć udzielają ze swoich funduszy zapomóg szkołom profesjonalnym. Rada szkół wyznaniowych w gub. saratowskiej zwróciła się do sejmiku gubernialnego z prośbą o udzielenie jej subydjum, wobec czego na posiedzeniach sejmiku wdano się w ocenę porównawczą szkół tych z ziemskimi.

Niektórzy radni dowodzili, że szkoły wyznaniowe częstokroć nie ustępują ziemskim: że w każdym razie lepsze są takie szkoły, niż żadne i dlatego zasługują na poparcie. Te pojedyncze głosy ginęły przecie w ogólnym chórze przeciwników. Mówili oni, że szkoły te ucją bardzo źle, a utrzymanie ich kosztuje ostatecznie drogo. Gdyby ziemstwu dano te fundusze, jakimi rozporządza duchowieństwo, szkoły początkowe stanęłyby wkrótce na wysokości zadania. Ktoś obliczył, że gdyby do funduszy, które wydaje ziemstwo na utrzymanie swoich szkół, w każdym powiecie dodać tylko 10 tys. rb., to możnaby mieć w każdej wsi nie szkoły wyznaniowe, mieszczące się w brudnych chatkach, gdzie uczą dyemisjonowani żołnierze, ale prawdziwie ziemskie szkoły w schludnych mieszkaniach, prowadzone przez dyplomowanych, odpowiednio wykształconych nauczycieli. Sprawę szkół wyznaniowych pogorszył przedstawiciel duchowieństwa. Oświad-

czył on, że przez wiele lat urzędował w miejscowości, nie korzystającej z praw samorządu ziemskiego, wobec czego nie miał pojęcia dostatecznego o działalności instytucji ziemskich. Wróciwszy do stron rodzinnych, długo nie mógł zrozumieć, dlaczego ziemstwa przez dwadzieścia pięć lat istnienia zrobiło tak mało dla oświaty. Dopiero dziś, zasiadając przez sześć godzin na sejmiku i przysłuchując się obradom, zrozumiał, o co rzecz chodzi. Działacze ziemscy więcej mówią, niż czynią. Następnie przedstawił sejmikowi długie szeregi cyfr, mających rzekomo dowodzić, że liczba szkół wyznaniowych szybko wzrasta, że szkoły te spełniają swoje zadanie dobrze i dodał, że szkoła wyznaniowa nie potrzebuje nauczycieli z wykształceniem średnim i wystarczają jej najzupełniej pedagogicy z wykształceniem niższym.

To oświadczenie dołało oliwy do ognia. Jeden radny dowodził, że słowa p. przedstawiciela są najlepszym dowodem istnienia antagonizmu pomiędzy duchowieństwem a ziemstwem, że duchowieństwo rzeczywiście niechętnie jest szkolom ziemskim; drugi uważał, że z czasem najpóźniejszymi nauczycielami szkół wyznaniowych będą ludzie bez żadnego wykształcenia, gdyż już dziś cenią tam wyżej wykształcenie niższe, aniżeli średnie; trzeci zwrócił uwagę na dane statystyczne, cytowane przez przedstawiciela duchowieństwa ze sprawozdania o stanie szkół wyznaniowych. Co to za sprawozdanie? Znajdują się w niem tylko suche cyfry, ale brak duszy, brak prawdziwego zainteresowania się sprawami oświaty. Inny duchowny starał się zlagodzić ujemne wrażenie, wywołane przez towarzysza, którego miejsce na dalszych posiedzeniach zajął. Oświadczył o urzeczyści, że opinie, wyrażone przez pierwszego przedstawiciela, stanowią jego pogląd osobisty, nie podzielany przez innych członków rady szkolnej, że duchowieństwo czci i ceni zasługi ziemstwa na polu oświaty ludowej i pragnie zawsze iść z niem ręką w rękę.

Sejmik mimo to uchwalil: nie dawać subsydjum na utrzymanie szkół wyznaniowych, a natomiast polecić delegacji specjalnej, aby opracowała typ taniej szkoły ziemskiej, która mogłaby zastąpić szkołę cerkiewną.

Sejmik w Orle debatował nad ciekawą sprawą tanich książek dla ludu. Po wszechnie jest dziś uznanem, że tanie książki ludowe, wydawane i rozpowszechniane przez różnych wydawców, są wyrobami jaknajgorszego gatunku pod każdym względem. Dobre książki są jeszcze zbyt drogie i dlatego lud ich nie kupuje. Ziemstwom należałoby wspólnymi siłami utworzyć spółkę wydawniczą i dostarczać ludowi zdrowej i taniej strawy duchowej. Sejmik w zasadzie uznał potrzebę stworzenia podobnej spółki, tymczasowo zaś postanowił nabywać książki dla ludu wielkimi partjami i sprzedawać je po cenie kosztu.

Nomenclator.

Z Moskwy piszą do nas: Teatr polski p. Bolesławskiego daje u nas przedstawienia z wielkim powodzeniem. Wybór sztuk bardzo dobry. Dotychczas największe

uznanie publiczności zyskały: „Paní Wołodjowska“, „Mazepa“ i „Dom otwarty“. Artyści zamierzają zabawę w Moskwie jeszcze trzy tygodnie. D. 2 lutego odbędzie się przedstawienie na rzecz tutejszego katolickiego Towarzystwa dobroczynności. D. 14 lutego zarząd Towarzystwa dobroczynności urządza wielki bal w salach klubu szlacheckiego. Ambulatorjum Towarzystwa dobroczynności uzyskało zatwierdzenie władz i w najkrótszym czasie zacznie swą działalność. D. 12 lutego zarząd Towarzystwa dobroczynności ma zamiar uczcić 35-lecie kapłaństwa czcigodnego dziekana, księdza kanonika Fryderyka Ottena, który, będąc stałym członkiem zarządu Towarzystwa, oddał mu wielkie usługi. *Chorąży.*

Z pow. witkowskiego piszą do nas: Ostatnimi czasy za dług bankowy i prywatny sprzedane zostały na licytacji dwie większe posiadłości ziemskie, mianowicie majątek i część miasteczka Kowarska, dwadzieścia kilka włók obszaru, za 36 tys. rb. i majątek Ignatyński (12 włók) za 17 tys. rb. Obie te posiadłości, w bardzo pięknej glebie pszennej położone, nabyte zostały w spółkę przez miejscowego notariusza i kupca Korablikowa. Przyczyną ruiny, jak się zdaje, była zbyt raptowna reforma gospodarstwa. Niedoświadczony ziemianin mierzył siły na zamiary — i upadł. Jakkolwiek to smutne, lecz o wiele smutniej się zarysowuje inny fakt, który wydarzył się u nas niedawno. Pewien obywatel, człowiek inteligentny, stale tu mieszkający, dobry gospodarz, odziedziczył przeszłej wiosny śliczny majątek, będący od dawna w posiadaniu jego rodziny, i pomimo to wszystko, nie nagłony niczem, posiadłość tę sprzedaje... — Obok ujemnych stron, mam przecież do zanotowania objaw dodatni, świadczący wymownie, że tam, gdzie właściciel zostaje w bezpośrednich stosunkach ze swymi sąsiadami włościanami i stara się wyrzucić na nich wpływ umoralniający, tam stosunki te, pomimo istniejącej kości niezgody, w postaci szlachowic i serwitutów, są nie tylko zadawalniające, ale bardzo dobre. Niedawno zmarł właściciel majątku Łojciach, s. p. Władysław Kozielek, należący do starej i znanej na Litwie rodziny. Obarczony liczną rodziną, zmarły stał w interesach nie najświetniejsi, co nie mogło być tajemnicą dla jego sąsiadów włościan. Otóż ci ostatni, z własnego popędu, w dzień śmierci nieboszczyka, chcą przyjść z pomocą jego wdowie, zebrali 200 rb. (byli i tacy, którzy, nie mogąc więcej, wnosili do składek po 3 rb.) i ofiarowali tę kwotę jego wdowie tytułem pożyczki. Pociągający ten objaw o tyle więcej zasługuje na zaznaczenie, że w tutejszych stronach stosunki pomiędzy dworem a wsią pozostawiają wiele do życzenia. *G. K.*

Z Drysy piszą do nas: Dnia 13 b. m. odbył się tu liczny zjazd członków drysyńskiego Tow. rolniczego. Na posiedzeniu odczytano referaty: p. Medunieckiego „O bakterjach ziemi“ i p. Chizyńskiego „Organizacja gospodarstwa prawidłowego“. P. Chizyński dowodził potrzeby urządzenia pól doświadczalnych i utworzenia tabeli klasyfikacyjnej gruntów w naszym powiecie. Projekt przyjęto w zasadzie i wybrano komisję, mającą opracować tabelę. Postanowiono też zwrócić się z propozycją do witebskiego Tow. rolniczego o urządzenie w należącym do Towarzystwa folwarku Łużeczno fermę wzorowej i stacji doświadczalnej. Odczytano ułożony przez komisję projekt normalnego kontraktu dzierżawnego. Projekt wywołał ożywione debaty zarówno ze strony obywateli, jak i dzierżawców, przy czym zaznaczono konieczność zrobienia niektórych poprawek. Na zakończenie odczytano sprawozdanie kasowe i sprawozdanie z działalności składu narzędzi rolniczych. Skład ten rozwija się pomyślnie i przyczynił się znacznie do obniżenia cen na żela-

zo, gwoździe, narzędzia rolnicze, maszyny. Wybrano komisję rewizyjną, do której weszli pp.: Nitosiński, Chetchowski i Zarowski. Po zebraniu odbył się obiad na cześć prezesa Łopacińskiego, który nie miał się przyczynić do założenia Towarzystwa i do rozwinięcia jego działalności. *A. B.*

Z pow. dubieńskiego piszą do nas: W miasteczkach naszych wotyńskich, słynących z brudu, błota i niechlujstwa, grasują wszystkie możliwe choroby; we wsiach dzieje się toż samo. Zbudowane zwykle na najniższym miejscu, w pobliżu rzeczek, strumyków i t. p., toną w błocie. Dawniej wesołe, nie zabudowane tak szczelnie, jak teraz, podlegały naturalnej wentylacji i dezynfekcji, gdyż wiatr i słońce miały dostęp swobodny do wszystkich zakątków; dzisiaj, gdy włościanie najspieszniej, nawet za życia rodziców dzielą się gruntami, gdy na jednej zagrodzie powstają 3 nowe chaty, tyleż stodół, chlewów i innych zabudowań gospodarskich, śmiało rzec można, że gniją całe wieś w błocie, brudzie i ciasnocie. Jeżeli do tego dodam, że kobiety i dzieci chłopskie, a także starzy, nie mający dostatecznej odzieży i bojący się zimna, bardzo rzadko wychodzą zimą z chaty, to łatwo zrozumieć, dlaczego młodsze włościańskie pokolenie jest słabe, chorowite, karłowate, zupełnie niepodobne do swoich przodków, chociaż wiadomo, iż włościanie dzisiaj ożywiają się znacznie lepiej, aniżeli to było dawniej. Zamożność wśród chłopów wznosi się i stale się jeszcze zwiększa, gdyby ludzie byli skorsi do pracy, ale niestety, pomimo ciągłej potrzeby rąk roboczych, i pomimo wielu dobrych zarobków, po które nie trzeba chodzić daleko, spędzają całe dni i tygodnie bez zajęcia w domu, w młynie, kuźni i t. p. resursach wotyńskich. Sprawa drogową zaczyna obecnie się wyjaśniać, dzięki inicjatywie ministerstwa wojny. W najbliższej przyszłości ma być budowana szosa wojenna z Równa do Miynowa, ale ta droga, jako mająca na celu tylko potrzeby wojskowe, mijając wsie osady, i będąc wytkniętą nie w kierunku, jakiby był wymagany ze względu na potrzeby ludności, nie będzie nigdy odgrywać ważniejszej roli, jako komunikacyjna arterja prywatna. Zupełnie inne znaczenie mieć będzie zainicjowane przez ministerstwo wojny rozszerzenie i utrzymanie w porządku starych, istniejących już dróg wotyńskich, tak aby przez nie w każdym czasie mogły swobodnie przechodzić transporty artylerji. Drogi te, nie tylko w czasie roztopów, ale nawet po każdym większym deszczu były nie do przebycia, włościanie stosownie do woli mogli je zwać, zaorując i kopiąc po bokach glinę i t. p. Teraz spodziewamy się, że w niedalekiej przyszłości nastąpi tu upragnione przez nas zmiany. *T. P.*

Z Odessy piszą do nas: Ostatnie wypadki na dalekim Wschodzie zwróciły uwagę poszukujących chleba w tamtą stronę. Zśród rodaków naszych znaleźli się tutaj tacy, co za chlebem podążyli na owe krańce wschodnie. Sądząc wszakże z wiadomości, otrzymanych od nich, warunki życia, pomimo znacznego wynagrodzenia, nie są wcale do pozazdroszczenia i niejedną już myślą o powrocie. Od ludzi zupełnie dzicych, bajeczną drożyną życia i tęsknotą do kraju wpływa przynębiająco i zmusza wielu do wyrzeczenia się wysokiej, jak na nasze warunki, pensji. W tych dniach powrócił do Sewastopola z Chin jeden z rodaków naszych, kapitan pułku brzeskiego, Wacław Obniski, waleczny żołnierz, ciężko ranny w jednej z bitew z chińczykami. — Świeta przeszły u nas cicho, spokojnie. Ludność polska, składająca się przeważnie, jeżeli nie wyłącznie z ludzi pracy, cieszyła się, że miała możliwość wypocząć od zajęć i spędzić dni kilka w kółku rodzinnym. Nasze Tow. dobr. przed świętami gorliwie i energicznie zwiększyło działalność filantropijną.

W ochronie dziecięcej przy ulicy Bałkowskiej urządzona była, zwyczajem lat dawnych, choinka dla ubogiej dziatwy. Z ochronki korzysta teraz 206 dzieci, które otrzymały pożyteczne podarunki z choinki. Przy kościele, staraniem proboszcza ks. Hartmanna, również odbyła się choinka dla dzieci ze szkółki kościelnej, i tu również dziatwa była obdarzona podarunkami. Wprowadzony od lat kilku zwyczaj ofiar piennych na rzecz kat. Tow. dobr., zamiast wizyt świątecznych, dał kasie Tow. paręset rubli. Z przedstawienia amatorskiego „Radcy pana radcy“ Tow. otrzymało czystego zysku 721 rb. Doroczny bal polski odbędzie się w salach żeglugi d. 12 stycznia. *W-t.*

Z Odessy piszą do nas: W mieście naszym ostatnimi czasy zawiązało się wiele „arteli“, czyli związków pracowników, które jednak nie odznaczają się długowiecznością i zwykle wkrótce po założeniu znikają. Powody tego, jak się zdaje, tkwią w okoliczności, że ustawy tych stowarzyszeń zapewniają równy podział zarobków, bez względu na zdolność i pracowitość każdego z członków. Bądź co bądź, mamy dziś w Odessie 32 związki, liczące 400 uczestników. D. 5 stycznia odbyło się walne zgromadzenie tych stowarzyszeń pod przewodnictwem inicjatora, p. Lewitskiego. Postanowiono otworzyć własny bank dla dostarczenia drobnemu kredytu związkom. — Pewien nasz rodak, przypuszczając, że w Odessie może istnieć druga czytelnia polska, zamierzał ze znacznym funduszem przystąpić do jej założenia. Wszakże po bliższym zapoznaniu się z interesem, zaniedbał zamiar, okazało się bowiem, że księgarnia p. Ostrowskiego, zaopatrzona zawsze obficie, istnieje tylko dzięki temu, iż przy niej jest skład nut, który dobrze idzie. Co się zaś tyczy istniejącej już czytalni, właściciel jej p. Zwierowicz tylko z amatorską ją prowadzi. Czytelnia posiada 7 tys. tomów; w tej liczbie nietylko nowszą beletrystykę, lecz i dzieła treści naukowej. Pomimo jednak, że cena abonamentu jest bardzo niską (25—50 kop. miesięcznie), liczba abonujących nie przekracza setki. — Głośna sprawa d-ra B. Szpakowskiego, byłego dyrektora psychiatrycznego szpitala miejskiego, zbliża się ku końcowi. Zadziwiająca jest energia, z jaką broni się ten niewinnie przez intrzygi osób nieprzyjanych skrzywdzony człowiek. Otóż wyrokiem Senatu zarząd miejski zmuszony jest ponownie całą sprawę zwolnienia z posady d-ra Szpakowskiego rozpatrzyć. Wybrana przez radę miejską specjalna komisja dotąd jeszcze nie orzekła nic ostatecznie, lecz podobno większość żąda wypłacenia pokrzywdzonemu moralnie lekarzowi znacznej sumy. — Miasto zamierza wkrótce utworzyć własne biuro stróżów służby domowej. — Z ofiar, składanych zamiast wizyt noworocznych, wpłynęło do kasy katolickiego Towarzystwa dobroczynności 305 rb. — Wikarjuszem przy kościele tutejszym został mianowany administrator parafji perekopskiej w gub. taurydzkiej, ks. Bartłomiej Mikołajutas. *T-dar.*

Z Mikołajowa piszą do nas: W początkach b. m. odbył się doroczny wieczór na rzecz katolickiego Towarzystwa dobroczynności, który udał się doskonale i przyniósł około 800 rb. dochodu. Zabawę rozpoczęto koncertem literacko-muzyczno-wokalnym, przy udziale amatorów i paru artystów zamiejscowych. Sprawozdawca dziennika miejscowego „Jużnyj Kraj“ zachwycił się szczególnie mazurem, który zdaniem jego, mógł zrodzić się tylko w narodzie o wybitnym indywidualizmie, miłującym nade wszystko wolność osobistą. *W. K.*

Z KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Z NAD WISŁY, 2 lutego.

[Kasa pożyczkowo-oszczędnościowa rolników i ogrodników. Przemysł włościański. Szkoła handlowo-rzemieślnicza. Kasa posagowa w Kaliszu].

+ Donosiłem już o wspaniałym darze stu tysięcy rubli Feliksostwa Sobańskich na rzecz kasy pożyczkowo-oszczędnościowej rolników i ogrodników, dla utworzenia kapitału zakładowego emerytur rolniczych dla ofialistów wiejskich. Ofiarą ta da kasie niewątpliwie znakomitą podstawę bytu. Ale instytucja przezorności nie może opierać się li tylko na darach i ofiarach pojedynczych osób. Do jej rozwoju przyczynić się winni przede wszystkim sami interesowani, a więc, jak w danym wypadku, liczna w naszym kraju klasa ofialistów wiejskich, począwszy od administratorów i rządów folwarków, a skończywszy na niższej służbie: ekonomach, kucharzach i ogrodnikach.

Byłoby więc pożądanem, aby sami pracodawcy zapisali swoich pracowników na uczestników kasy, zachęcając ich tym sposobem do powiększenia obowiązkowych wkładów drobnymi oszczędnościami. Należenie do kasy zapewnia pracownikom rolnym wielkie korzyści, nie tylko bowiem kasa daje możność składania w niej zaoszczędzonych pieniędzy, lecz i udziela swoim członkom zapomogi w razie choroby, niezdolności do pracy, utraty miejsca, śmierci w rodzinie i na kształcenie dzieci. Wreszcie członkom kasy przysługuje prawo zaciągania pożyczek za odpowiednim poręczeniem, do wysokości stu rubli, na umiarkowany procent (6 proc.).

Dotychczasowa działalność kasy przedstawia się nader skromnie, a przyczyną tego jest brak środków. Duś powiedzieć, że w lipcu 1901 r., kapitał zakładowy kasy wynosił zaledwie 3 tys. dwieście rubli, a kapitał oszczędnościowy około 5 tys. rubli. Dlatego też pożądanem jest, aby obywatele ziemscy jaknajliczniej zapisywali do niej swoich ofialistów, szczególnie niższą służbę, której znaczna większość prawdopodobnie nawet nie wie o istnieniu tej pożytecznej instytucji.

Przemysł włościański w Królestwie Polskiem nie cieszył się dotychczas poparciem władz administracyjnych, chociaż w Cesarstwie, a nawet na Syberji, zrobiono w tym kierunku już bardzo dużo. Obecnie ministerstwo rolnictwa, jak donosi o tem «Warsz. Dniownik», zwróciło uwagę i na gubernie Królestwa Polskiego i zamierza obznajmić miejscowych włościan, trudniących się przemysłem domowym, z różnemi udoskonalonemi sposobami produkcji. W tym celu ministerstwo ma zamiar wysłać tu specjalnych instruktorów, dopomagać do urzadzenia w większych ogniskach tego przemysłu odpowiednich muzeów i wystaw wzorów, jak również warsztatów naukowych i t. p. Zanim to jednak nastąpi, ministerstwo rolnictwa zamierza przede wszystkim zbadać szczegółowo ogólny stan domowego przemysłu włościańskiego w Królestwie. W tym celu mają do nas zjechać specjaliści, delegowani przez ministerstwo.

Przemysł domowy jest niewątpliwie dźwignią rozwoju dobrobytu włościan. Sądzymy jednak, że należyty rozwój tej gałęzi pracy jest możliwym li tylko pod warunkiem powierzenia kierownictwa or-

ganom miejscowym, obznajmionym dokładnie z warunkami produkcji. W Cesarstwie najwięcej dla przemysłu włościańskiego zrobił prywatna. U nas też, dzięki inicjatywie prywatnej (s. p. hr. Ludwika Krasieńskiego), przemysł guzikarski rozwinął się w części guberni plockiej i łomżyńskiej. Zabiło go jednak prawie zupełnie znaczne podwyższenie cła na masę rogowa.

Projekt założenia wzorowej szkoły handlowo-rzemieślniczej zajmuje ciągle uwagę Towarzystwa pracowników handlowych. Na ostatnim posiedzeniu projekt ten rozwijał p. Bzektowski. W szkole wykładane być mają: religia, języki rosyjski, polski i niemiecki lub francuzki, arytmetyka, geografia ogólna i handlowa, historia, fizyka, mechanika, chemia, zoologia, botanika, geometria, buchalterja, korespondencja handlowa, nauka stylu, rysunku, kaligrafja i przedmioty specjalne. Do szkoły wstępować będą mogli chłopcy (w wieku od lat 14, przyczem uczeń winien wstąpić do warsztatu na praktykę, podczas której uczęszczać ma trzy razy tygodniowo wieczorem na wykłady teoretyczne. Po tej praktyce i uzyskaniu stopnia czeladnika, kandydaci będą mogli uczęszczać jeszcze na kursy uzupełniające. Tym sposobem nowa szkoła stanowić będzie do pewnego stopnia typ, t. zw. «Fortbildungschule», przeznaczoną dla aspirantów do stanu rzemieślniczego. Ze w naszych warunkach taka szkoła jest nieodzownie potrzebna, o tem nie może być dwóch zdań.

Z Kalisza donoszą, że w tych dniach otrzymano zatwierdzoną przez ministerstwo spraw wewnętrznych ustawę kasy posagowej, której celem będzie wydawanie jednorazowych zapomóg wstępującym w związki małżeńskie jej członkom. Zapisano się do niej przeszło 300 osób. I w Warszawie także krzątają się koła założenia takiej samej kasy. Zasada samopomocy puszcza u nas coraz mocniejsze korzenie. *Z*

B.

+ W Warszawie powstać ma z inicjatywy J. E. p. jenerał-gubernatora Czertkowa stały teatr rosyjski. „Warsz. Dniownik“ donosi: „Umyślna komisja, utworzona do uporządkowania spraw teatralnych, zajęła się między innymi, z polecenia głównego naczelnika kraju, sprawą urzędzenia w Warszawie stałego teatru rosyjskiego. Uznawszy w zasadzie nagłą potrzebę tego teatru, nawet przed wniesieniem gmachu oddzielnego dla przedstawień rosyjskich, komisja wystąpiła z propozycją, ażeby rosyjskie przedstawienia dramatyczne rozpoczęto już od jesieni r. b. w teatrze w ogrodzie Saskim i by wniesiono podanie o wyznaczenie na ten cel subsydjum rządowego. Utworzona dla rosyjskich przedstawień dramatycznych trupa będzie pozostawała pod ogólnym zarządkiem dyrekcji warszawskich teatrów rządowych. Ilości przedstawień ściśle nie ustanowiono, lecz w każdym razie będzie ich najmniej cztery w tygodniu. Przed rozpoczęciem tych przedstawień teatr w ogrodzie Saskim będzie odnowiony.

+ Stany Zjednoczone za przykładem Austrii, Niemiec, Francji i Anglii, reorganizują swoje konsulaty zagraniczne. Konsulami będą na przyszłość tylko obywatele Stanów Zjednoczonych, tak, iż warszawski konsulat amerykański obejmie niebawem obywatel Stanów Zjednoczonych. Obecnie Warszawa ma konsulów zagranicznych: austro-węgierskiego, francuzkiego, niderlandzkiego, niemieckiego, szwajcarskiego i angielskiego. Tutejszymi pod-

madzenie wszystkich ministrów, a jest ich dwudziestu i jeden, którzy zreagowali ostateczną odpowiedź rządowi holenderskiemu, przestają do Haagi na ręce posła angielskiego. Nawet król Edward nie pozostał na to wszystko obojętny i wezwał do siebie przywódców wielkich stronnictw politycznych, pp. Balfoura i Roseberry'ego, celem osiągnięcia ich opinii co do kroku rządu niderlandzkiego. Ani noty holenderskiej, ani odpowiedzi, w chwili, gdy to piszemy, nie ogłoszono, z informacją wszakże dzienników londyńskich wnieść można, że chodziło nie o żadne pośrednictwo pokojowe, ale raczej o ułatwienie komunikacji pomiędzy delegatami boerskimi w Europie, a ich przywódcami wojskowymi oraz pp. Schalk-Bürgerem i Steinem w Transwaalu. Nota holenderska zawierała podobno propozycję wysłania do Afryki komisji holenderskiej, albo wprost delegatów boerskich, celem poinformowania oddziałów walczących o istotnym stanie ich sprawy i przyspieszenia w ten sposób końca wojny na możliwie łagodnych dla boerów warunkach. Wystąpienie rządu niderlandzkiego w Londynie i w Anglii całej przyjęto uprzejmie, jakkolwiek bowiem rząd angielski odpowiedział na notę z Haagi odmownie, ale zapewnił zarazem, że przyjmie pod szczerą i życzliwą rozważę wszelkie propozycje co do zakończenia wojny, byle czyniono je z upoważnienia takich przedstawicieli boerów, którzy mają faktyczną możność przemawiania w imieniu oddziałów walczących. Uprzejmości angielskiej niema co się dziwić. Nowe kredyty na wojnę przewyższają półtora miljarda franków, utrzymanie miesięczne armii południowo-afrykańskiej pochłania 112 milionów franków, wojna kępuje swobodę ruchów W. Brytanji na widowni polityki, zwanej wszechświatową. Podziwiać za to można wystąpienie delegatów boerskich przed nocie. Ogłaszają oni w brusselskim ich organie «Petit-Bleu», że nie upoważniali rządu holenderskiego do żadnych kroków dyplomatycznych w sprawie republik południowo-afrykańskich, i że żadnej odpowiedzialności za propozycje holenderskie nie przyjmują. Nieprzejędanie takie jest raczej papierowem, niż rzeczywistym, telegramy bowiem z Haagi roznosiły wiadomości o licznych naradach ministrów holenderskich z przedstawicielami boerów. A może prezydent Krüger i jego otoczenie we wspaniałej willi w Utrechcie oddaje się jeszcze złudzeniom, gorliwie podsycanym przez prasę, zapowiadającą, że lada chwila w zatarg anglo-boerski włączają się Stany Zjednoczo-

ne i inne wielkie mocarstwa. Może wiadomość o podróży panny Alicji Roosevelt do Londynu kaze o zapowiedzi tej zwatpić. Ukazanie się wdzięcznej amerykańki wśród stosunków politycznych międzynarodowych nadało im urok i powab niezwykły. Panna Alicja chrzci statek cesarza Wilhelma na jego zaprosiny, a potem razem z urzędowym przedstawicielem Stanów jedzie już bez zaprosin do Londynu na koronację króla Edwarda. Mając takiego posła, Stany Zjednoczone mogą być pewne jaknajlepszych stosunków z W. Brytanją. Kto wie, może po udatnej próbie będą i na przyszłość mianować ambasadorów z pośród nowojorskich panien.

Dlaczegożby panie nie miały trudnić się polityką, skoro nawet w najzacofońszym kraju na ziemi, w Chinach, nawą państwową steruje reka kobieca? Cesarzowa Tsu-Hsi stała się niesłychanie uprzejmą dla dyplomatów europejskich, których zapewniła, że zaburzenia w rodzaju zeszlórocznych nie powtórzą się więcej (w chwili, gdy to mówiła—w Junnanie wymordowano misję francuską), i że reformy nastąpią jedna po drugiej. Panie z poselstw europejskich miały także posłuchanie u cesarzowej, która znalazła parę słów do powiedzenia im i obdarzyła każdą uprzejmym uśmiechem i upominkiem. Nowi sekretarze stanu chińscy Juñlu i Wanwenzau, doznają jaknajlepszego przyjęcia w poselstwach, i nawet poseł francuzki p. Beau, który nie chciał przedstawiać się u dworu z powodu wspomnianego wyżej morderstwa, czy z jakichś innych, dał się przebłagać znanym z misternej grzeczności urzędnikom chińskim i nieś się w palankinie do drzwi pałacu zakazanego. Słowem, w Pekinie zapanowały stosunki tak niesłychanie przyjemne, że bardzo przykrym rozdzwikiem w tej harmonji rozległ się tam protest Japonji, W. Brytanji i Stanów Zjednoczonych przeciwko konwencji mandżurskiej, nadającej prawa monopolu przemysłowego i handlowego w tej prowincji bankowi rosyjsko-chińskiemu. Państwa protestujące nie mają nic przeciwko monopolizacji kolei w Mandzurji, ale uskarżają się na obrazę zasady wolnego handlu międzynarodowego.

Podobno Niemcy stanęły na stanowisku wprost przeciwnym. Chodzi im o precedens, pragną bowiem uzyskać od Chin przyznanie im monopolu przemysłu i handlu w bogatym Szandunie, od którego pięścią opancerzoną odbili sobie osławiony Kiaocza. Powiedziawszy księciu Walji na uczcie w koszarach pułku dragonów pruskich, że w państwach jego ojca słońce nigdy świecić nie

przestaje (mówiono to przed stu jeszcze laty o Hiszpanji), ces. Wilhelm chciałby panować nad równie rozległą dziedziną. Nie przestaje przeto rząd niemiecki szukać zdobywcy po całej kuli ziemskiej, o ile jest dostępną. Widząc, że Stany Zjednoczone dojdą do ładu z filipińczykami nie mogą, i że utrzymywanie tam armji stutysięcznej pociąga duże wydatki, Niemcy miały poufnie zapytywać gabinet waszyngtoński, czy nie sprzedałby niezbyt drogo swoich praw do archipelagu filipińskiego? W Berlinie mają nadzieję, że pruscy gubernatorowie, wykształceni w okrucieństwie w kolonjach niemieckich afrykańskich, i pedagogowie z Poznańskiego rychło poskromiliby krnąbrność tagalów i przekształcili ich na dobrych prusaków, modlących się po niemiecku. W posiadłościach azjatyckich tureckich przedsięwzięcie niemieckie nie ogranicza się do budowy kolei Bagdadzkiej. Kolej ta połączy się z drugą, od Mersiny do Adomy, i dosięgnie nową galezią brzegów morza Śródziemnego. Rozmarzony Michał niemiecki widzi już w marzeniach, jak w przyszłości fala wychodźstwa germańskiego rozlewa się po Wschodzie tureckim, jak okrywa jedną prowincję po drugiej, jak wszyscy ustępują przed niemcami, oni zaś, coraz dumniejsi i pewniejsi siebie, pancerną pięścią usuwając inne żywioły, biorą, biorą i biorą. Cudowna przyszłość! Pracuje dla niej rząd berliński jawnie i w tajemniczej ciszy swoich gabinetów, z których rzadka tylko coś dostaje się do wiadomości powszechnej. Przysłużył się w ostatnim tygodniu żadnej nowin publiczności dziennik «Vorwärts», drukując rozkaz admiralieji, dotyczący nowego wzmocnienia floty. Ci, którzy wierzyli w zapewnienie rządu, że o powiększeniu sił zbrojnych na morzu, po za planem, przedstawionym przy wniosku o kredytach na marynarkę—nie myśl, sądzili, że «Vorwärts» zabawił się w mistyfikację; ale jakież było ich zdumienie, gdy adm. Tirpitz oświadczył w pełnej Izbie, że rozkaz jest prawdziwy, chociaż podstępnie z akt kancelarii wyjęty. Zbroją się zatem Niemcy pocichu na lądzie i na morzu, a za ich przykładem idą wszyscy, jak gdyby chwila jakiegoś kataklizmu była już blizką. Tymczasem nie nie zdaje się jej zapowiadać, chyba nowy układ stosunków między państwami. Pomimo zapewnień hr. Bülowa, że trójprzymierze jest mocniejsze niż było kiedykolwiek, niema wątpliwości, że Włochy trzymają się go bardzo luźno i dzielą skórę trypolitąnską na żywym jeszcze niedźwiedziu tureckim, że Austro-Węgry zbliżają się pod względem ekonomicznym do

Rosji, i że to przyczynia się do serdeczniejszych stosunków politycznych pomiędzy temi mocarstwami, czego przybycie arcyks. Franciszka-Ferdynanda do Petersburga jest wyraźnym objawem. Zdaje się, że i z Londynu powiał nad Nową wiatr serdeczniejszy, i że w stosunkach politycznych obecnych cesarstwo bismarkowskie ma jednego tylko przyjaciela w osobie sultana. Polityka Bismarka doprowadziła zatem cesarstwo niemieckie do odosobnienia, którego przyrównać nie można nawet do «splendidi isolation» W. Brytanji z jej kolonjami. Zrozumiano to w Berlinie i zabrano się do naprawy błędu znowu według starej recepty pruskiej: wywleczone na widownię «niebezpieczeństwo polskie». Ale ten lubystek przestaje skutkować i w sercach sąsiadek nie budzi jakoś czulości dla biednego Michałka.

J. Mzura.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Francja. W Izbie deputowanych socjaliści urządzili demonstrację przeciwko sojuszu z Rosją, na podstawie, że ustrój dwójga państw nie jest całkiem zbliżony do siebie. Izba deputowanych większością 496 głosów przeciwko 48 odrzuciła odnośny wniosek.

Anglja. Pokojowa nota rządu holenderskiego w sprawie boerów wywołała w całej Europie najlepsze wrażenie. Wszyscy, zwłaszcza sfery handlowe - przemysłowe, pragną gorąco ukończenia wojny afrykańskiej. Rząd angielski widział się jednak zmuszonym odpowiedzieć odmownie na propozycje holenderskie. Zdaniem jego, niepodobna zawiązać rokowań pokojowych w Europie; propozycje pokojowe powinny pochodzić od miejscowych przywódców boerów, naprzykład od Steina i Schalk-Bürgera. Podobno rząd holenderski zamierza przedstawić Anglii nowe projekty pokojowe.

Niemcy. Urzędowe sfery obchodzili uroczyste pięćdziesięcioletni jubileusz służby posła rosyjskiego hr. Osten-Sackena. Cesarz Wilhelm odwiedził jubilata i oświadczył mu swoje popiersie.

Austrja. Przyjazd następcy tronu austriackiego arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda d'Este do Petersburga nastąpi w piątek, 25 b. m. Arcyksiążę zabawi w stolicy nadniewskiej cztery dni.—Cesarz Franciszek-Józef oświadczył na balu przemysłowców wiedeńskich, że pragnie zawarcia austro-rosyjskiego traktatu handlowego, i że cel ten wkrótce zostanie osiągnięty.

Danja. Ministerstwo wniosło do parlamentu projekt utworzenia komisji obrony narodowej, mającej charakter czysto pokojowy. Chodzi o zabezpieczenie neutralności Danji w razie wojny.

Bułgarja. Wykryto nadużycie na ogromne sumy z markami stemplowemi. Straty skarbu wynoszą przeszło 10 milj. franków. Winowajcy dotąd niezupełnie wiadomi, lecz wielu wyższych urzędników zostało skompromitowanych. Aresztowany w tej sprawie był prezydent m. Sofji, redaktor pisma «Swiet», Diko Jonew, odebrał sobie życie w więzieniu.

Chiny. Cesarzowa-wdowa przyjmowała damy ciała dyplomatycznego. Monarchini oświadczyła, że napaść na poselstwa była fatalną pomyłką, że Chiny rzekną się dotychczasowego odosobnienia. Wydano rozkazy, aby członkowie domu cesarskiego wyjeżdżali zagranicę na naukę, zezwolono na

małżeństwa pomiędzy mandżurami i chińczykami, polecono zaniechania obyczaju krępowania nóg kobiecych. — Na stanowisko zmarłego Li-Hung-Czanga powołany został mandaryn Junglu, nie budzący zaufania w sferach poselskich.

Stany Zjednoczone. W czasie podróży swej po Ameryce książę Henryk pruski obędzie 8 tys. kilometrów, zwiedzi 13 Stanów i 14 wielkich miast. Sześciu amerykańskich tajnych agentów pełnić będzie służbę bezpieczeństwa przy księciu.

Transwaal. Sekretarz stanu Brodrick oświadczył w Izbie gmin, że w obecnej chwili istnieje trzy większe oddziały wojsk boerskich, mianowicie oddziały Deweta, Bothy i Delareya, liczące każdy około 2 tys. ludzi. Liczba wojsk angielskich na terenie wojny wynosi przeszło 230 tys. Świeżo rozproszony został niewielki oddział Vesselsa. Sam dowódca poległ, żołnierze rozbiegli się lub dostali się do niewoli. Powstanie w Kaplandzie podobno wygasa.

SKOROWIDZ ADRESÓW.

LEKARZ - DENTYSTA ALEKSANDER ZAWADZKI w Warszawie, Jerozolimska № 49, róg Marszałkowskiej.

DR. JAN PILTZ, specjal. od chorób nerwowych, osiadł w Warszawie; przyjmuje od godziny 9—10 rano i od 4—6 po poł. Piękną 14.

NADEŚLANE.

WYSZŁY Z DRUKU
WINCENTEGO KOSIAKIEWICZA
POEZJE.

Są do nabycia w warszawskim Kantorze „Kraju“. Marszałkowska 119.

Cena 1 rb., z przesyłką 1 rb. 25 k.

KRONIKA.

Kościół i duchowieństwo.

* Z Berlina piszą do nas: Podczas rozpraw w parlamencie niemieckim nad interpelacją centrum w sprawie powrotu oo. Jezuitów do Niemiec, ze strony Koła polskiego zabrał głos Ferd. ks. Radziwiłł, popierając gorąco żądanie katolików niemieckich. Mówca zaznaczył, iż państwo nie powinno ograniczać swobody ducha, tak jak również nie powinno ograniczać praw obcej narodowości w państwie, których ujawnianie w bardzo wielkiej mierze obraca się w dziedzinie duchowej. Ks. Radziwiłł dodał, że sprawa ta zostaje w związku z uciskiem, jaki odczuwa polska ludność, gdy „w innych duchowych dziedzinach państwo mechanicznymi środkami burzy stosunki, które z natury rzeczy stworzyła Opatrzność“. Mowa ks. Radziwiłła przyjęta została oklaskami na ławach polskich i centrum. Wogóle jednak interpelacja nie posunęła samej kwestji powrotu oo. Jezuitów naprzód, rząd bowiem zastawił się wygodnym w takich wypadkach parawanem: niedostatecznym zbadaniem kwestji przez poszczególne państwa związkowe. „Badanie“ to trwa już kilka lat, a wobec powolności centrum dla rządu, potrwa prawdopodobnie dłużej. Gord.

* Z Dźwińska piszą do nas: W pow. dźwińskim, w Nidermujży d. 25 listopada poświęcono kościół murowany, w stylu romańskim, z dwiema wieżami, 15 sążni długości i 7 szeroki, o trzech nawach, pod we-

zwaniem „Przemienienia Pańskiego“. Kościół z cegły i kamieni polnych zbudowany został w miejsce dawnego drewnianego kościołka, który w r. 1898, w lecie, z przyczyny niewiadomej spłonął ze wszystkimi sprzętami. Nowa świątynia stanęła dzięki tylko gorliwości i dbałości proboszcza miejscowego Józefa Andrzejewskiego. Parafia nidermujńska licząca (2 1/2 tys.), z włościan łotyszów złożona, dać dużo nie mogła i nie może, więc na kosztą złożyli się ludzie dobrej woli, głównie dzięki zabiegom i staraniom ks. Andrzejewskiego. To też wdzięczni parafianie i okoliczne obywatelstwo w dniu poświęcenia kościoła, będącego dziś ozdobą okolicy, serdecznie dziękowało proboszczowi za jego poświęcenie i trudy. Wiele jeszcze brakuje nowemu kościołowi, zwłaszcza pod względem wewnętrznego wykończenia, to też po dawnemu parafia pokłada nadzieję swą w Bogu i w ludziach dobrego serca.

* Z Wilna donoszą nam, że w składzie osobistym duchowieństwa djeceży wileńskiej zaszyły następujące zmiany: Mianowani wikariusze: ks. Holownia Jan—w farze w Grodnie, ks. Kuprel Stan.—w Swirze, ks. Rodziejew Leon—do Ostrej Bramy, ks. Warpechowski Jan—do Wornian, ks. Gelażunas Roch—do Naczy, ks. Skardyński Jan—do Żorał, ks. Nieczyporowicz Jan—do Niemenczyzna, ks. Lubowicki Fel.—do Sól, ks. Weber Jan—do Dominikanów w Wilnie, ks. Borak Kaz.—do W. Świętych w Wilnie, ks. Ochrejko Józef—do św. Rafała w Wilnie. Zmarli: ks. Wojciechowski Fr., proboszcz w Szczuczynie—d. 18 grudnia, w wieku lat 75; ks. Sawicki Jan-Czesław, emeryt—d. 1 stycznia, w wieku lat 94; ks. Wteliczko Michał, internowany na 1 miesiąc do klasztoru, zostanie przeniesiony do gub. penzeńskiej na 3 lata; ks. Szwykowski Michał został uwolniony z mansonarjatu przy kośc. św. Jana w Wilnie. Mianowani: ks. Dokurno Edw.—mansonarzem w Solach, ks. Bobkiewicz Jan—filjalistą do Kozakiszek, ks. Sawaszyński Tad.—proboszczem w Szczuczynie, ks. Cieżelski Zygm.—proboszczem w Brańsku, ks. Songajło Ant.—proboszczem w Strubnicy.

Prawo i sądy.

** Jak donoszą pisma persburskie, projekt nowej ustawy wekslowej został już opracowany i będzie niebawem wniesiony do Rady państwa.

** Ogólne zgromadzenie Senatu niedawno wyjaśniło, iż prawo czynszu wieczystego, powstałego przed rokiem 1840, może być dowodzone wszelkimi sposobami, między innymi przez zeznania świadków wierogodnych i że ocena tych dowodów zależy zupełnie od urzędu czynszowego.

** Główny zarząd więzień wyjaśnił, że wydatki na utrzymanie w areszcie mieszkańców więzisk, skazanych przez sądy gminne, muszą ponosić gminy, a to na tej zasadzie, iż kary pieniężne, stosowane przez sądy gminne, obracane są na korzyść gmin; przeciwnie zaś wydatki na utrzymanie w areszcie miejskich mieszkańców, skazanych przez sądy pokoju, musi ponosić skarbu.

** Niezwykły wypadek zaszedł w tych dniach w kijowskim zjeździe sędziów pokoju. Niejaki Jakowlew, skazany za pobicie sługi, w skardze apelacyjnej prosił o wezwanie w charakterze świadków wszystkich prawie sędziów pokoju z prezesem włącznie; wskutek tego musiano zwołać komplet specjalny dla rozważenia tej prośby, złożony z jednego sędziego rewirowego, pominiętego w podaniu i 2 honorowych. Gdy jednak prezydencyj zapytał, o czym właściwie mają świadczyć wymienione osoby, Jakowlew odmówił wyjaśnienia, twierdząc, iż to się okaże przy badaniu. Zjazd odmówił wezwania świadków i zatwierdził wyrok sędziego, skazujący Jakowlewa na 2 tygodnie aresztu.

** Do Rady państwa został wniesiony projekt „Ustawy o przekroczeniach służbowych“, opracowany przez komisję spe-

ciałną pod przewodnictwem p. Szczegółowitowa i bar. Nolde. Ustawa ta stanowi uzupełnienie projektu kodeksu karnego, obejmując wszystkie kary dyscyplinarne.

** Po czterodniowych rozprawach, d. 4 lutego ukończono proces, wytoczony przed sądem wskutek oberwania się gzymsu przy budowie Instytutu politechnicznego w r. 1900. Budowniczy, został skazany na 2 tygodnie aresztu; inni podsądni uniewinieni. Przyznano też pretensję cywilną wdowy jednego z zabitych w sumie 1,500 rb.

Szkoły i młodzież.

* Według doniesienia dziennika „Astr. List.”—Jego Cesarska Mość, na skutek najpóźniejszego raportu ministra oświaty, Najwyżej zezwolił wydać uczniowi kl. VIII gimnaz. astrachańskiego L. Popowowi świadectwo dojrzałości bez egzaminu, na zasadzie stopni rocznych.

** Z liczby 81 szkół handlowych, istniejących w państwie rosyjskim, 28, czyli około połowy, przypada na Królestwo. Szkół handlowych średnich jest w Królestwie 11, w tej liczbie 8 utrzymywanych kosztem zgromadzeń kupieckich i 3 prywatne w Warszawie. Szkoły średnie, utrzymywane przez zgromadzenia kupców, znajdują się w Warszawie (2), Zgierzu, Łodzi, Pabianicach (mężka i żeńska), Będzinie i Radomiu. Niższych szkół handlowych tej kategorii jest trzy: w Warszawie, Łodzi i Lublinie; prywatnych zaś 10, w tej liczbie 3 w Warszawie, 5 w Łodzi i po jednej w Częstochowie i Kole.

** Na uniwersytet jurjewski (dawniej dorpacki) uczęszcza obecnie 1,791 słuchaczy, mianowicie: na wydział lekarski—807, prawny—484, matematyczny—233, teologiczny—140 i filologiczny—127. Ogromna większość słuchaczy pochodzi z gub. wewnętrznych Cesarstwa—1,389; miejscowych jest zaledwie 395. Podług wyznań jest 1,131 prawosławnych, 403 luteranów, 135 żydów, 91 katolików.

* Polskie akademickie stowarzyszenie „Ognisko” w Wiedniu na r. 1902 obrało na prezesa akad. Stanisława Tarnowskiego, zaś na zastępcę jego Adama Zawadzkiego.

Ruch kobiecy.

▼ Paryżkie stowarzyszenie „Droits des femmes” ogłasza swe rozporządzenie, podług którego każda kobieta bez różnicy stanu i wieku, ma być nazywana tylko „madame”. Nie jest to bynajmniej nowością, gdyż już w 1869 znana bojownicza praw kobiecych Clémence Royer, oświadczyła, że odesła wszystkie listy, zaadresowane do niej, z napisem „mademoiselle”. Pisała, że określenie to nadaje się co najwyżej dla całkiem młodych panienek, i jest równie niepotrzebne, jak „demoiselle”, które już dawno zostało zapomniane. Moliere, Racine i Corneille przemawiali do swych bohaterki tylko słowem „madame”. Logika już wymaga, aby kobieta zawsze była nazywaną „madame”, jak mężczyzna, nawet dzieckiem jeszcze, nazywa się tylko „monsieur”. Tak twierdzi francuzki, uznające wyraz „panna” za przytyk z epoki poniżenia kobiet.

▼ Czasopismo paryżkie „Annales politiques et littéraires” powzięło myśl utworzenia, na wzór Akademii francuzkiej, instytucji 40 nieśmiertelnych kobiet; w tym celu ogłosiło plebiscyt, którego wynikiem jest mianowanie 40 kobiet, wstawionych na rozmaitych polach. W owym gronie znajdują się 5 królowych i księżniczek krwi, 14 literatek, filozofek i uczonych; 2 fortepianistki; 5 malarek, 9 artystek dramatycznych i śpiewaczek; 2 filantropki; 1 bohaterka; dwie poetki. Nazwiska ich oraz życiorysy podano w gwiazdkowym numerze tygodnika.

▼ Z Chrystianji donoszą, że parlament norweżki przyjął projekt ustawy, nadającej

kobietom prawo zajmowania stanowisk sędziów.

Różne.

▼ W sprawie kijowskiego i moskiewskiego odczytu p. Werguna „o Rusi zakordonowej” (p. Nr. 47 „Kraju”, str. 16), zabrał głos w „Piet. Wiedom.” p. P. W. Spieszilow, wskazując na szereg błędów, popełnionych przez prelegenta. Między innymi mówi, że w Moskwie wygwizdali p. Werguna nie polacy (jak to twierdził „Mosk. Wiedom.”), lecz małorusini, którzy protestowali przeciwko jego wywodom i w Kijowie. Nadto p. S. przypomina, że nazwa „rusin”, spotyka się już w układach, zawieranych przez księstwa ruskich z grekami, i że przeto wyraz ten nie został wymyślony przez polaków.

▼ Jeden z angielskich pisarzy ogłosił wynik swych badań nad rodowodem obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych w Ameryce, Roosevelta, który rzekomo pochodzi z żydów. Dziad prezydenta, żyd, rodem z Królestwa, nazywał się Roswelski, po przybyciu zaś do Ameryki, zmienił swe nazwisko na Rozenfelda. Syn tegoż, a ojciec prezydenta obecnego, porzuciwszy wiarę ojców, ożenił się z holenderką i zmienił swe nazwisko na Roosevelta, o brzmieniu holenderskiem.

▼ Cesarz Franciszek-Józef jest prawdopodobnie najbogatszym z władców świata. Wypłacana mu cywilna lista wynosi 72 milj. koron, a ma on po za to ogromny majątek osobisty. Posiada w Austrii 43 pałace, 32 latyfunda ziemskie, 21 fabryk, 11 piwiarni, 34 młyny, 16 cegielni, 11 odlewni. Ogólna wartość tego wszystkiego dosięga dwóch miliardów koron.

▼ Nową modę wprowadził król Edward, który, jak wiadomo, już oddawna jest wyrocznią w tym kierunku. Monarcha angielski ukazał się w tych dniach po raz pierwszy w czarnym paltoście z wygotami aksaminem szerokości trzech cali na rękawach. Moda ta zyskała odrazu licznych zwolenników.

Sport.

▼ Odbyło się większe polowanie w dobrach Lanowskich i Mokitych p. Trębickiego w Prużańskim. Ubito 78 zajęcy i 2 lisów. Królem polowania został p. Kazimierz Korsak. Lis, ubity przez p. Leonarda Hłasę, należy do największych i najpiękniejszych okazów, jakie kiedykolwiek istniały.

▼ Wielką nagrodę petersburską—12 tys. rb.—zdobył w ubiegłą niedzielę na wyścigach kłusowych „Chwalony” ze stada W. Ks. Dymitra Konstantynowicza. Dystans trzywiorstowy przebiegł on w 4 minuty 49 sekund.

▼ Wystawa koni w Warszawie odbędzie się w r. b. od 12 do 16 (włącznie) czerwca. Na 7, 12 i 15 czerwca wyznaczone są konkursy hipiczne.

▼ P. M. Konopnicki z Warszawy wyjechał do Anglii po kupno 18 ogierów, zamówionych przez naszych krajowych hodowców.

ZASŁUBINY I ZARĘCZYNY.

W parafjalnym kościele miasta Kaługi, 10 stycznia pobłogosławiony został przez miejscowego proboszcza ks. Piotra Sanckiego związek małżeński pomiędzy panną Zofią Wojakowską, córką inżyniera komunikacji, rzeczywistego rady stanu Cezarego i Teodory z Białockich z p. Stanisławem Nagujewskim, synem profesora kazańskiego uniwersytetu, doktora klasycznej filologii, rz. r. st. Darjusza i Wiktorji

z Glińskich. Po uciece weselnej państwo młodzi, żegnani przez liczne grono krewnych i przyjaciół, późno w nocy wyjechali do Kazania na stałe mieszkanie.

W d. 15 (28) stycznia w kościele Przemienienia Pańskiego w Warszawie pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy panną Marią Wyleżyńską, córką Ludomira i s. p. Kamilli z Połtowiczów Wyleżyńskich z Hruzowicy na Podolu, a p. Antonim Winnickim, synem pp. Feliksostwa Winnickich, obywateli ziemskich gub. warszawskiej.

W kościele po-Karmelickim w Warszawie odbył się ślub p. Stanisława Rodkiewicza, wicedyrektora cukrowni Woronowice, w gub. podolskiej; z panną Heleną Rodkiewiczówną, córką s. p. Aleksandra i Marji z Przewłskich.

W Warszawie, w kościele św. Aleksandra odbył się ślub p. Stanisława Latoszyńskiego z panną Marią Kamińską, śpiewaczką-artystką teatru Wielkiego.

W sobotę, 25 stycznia w kościele ewangelicko-augsburskim w Warszawie, odbył się ślub p. Jana-Henryka Temlera, syna znanego przemysłowca i filantropa, p. Aleksandra Temlera, z panną Marią Gieschen, córką fabrykanta cukru.

W Poznaniu w kaplicy św. Józefa pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy p. Ignacym Łyskowskim, profesorem uniwersytetu lwowskiego, a panną Stefanją Przyłuską, córką Joanny z Sawickich i s. p. Antoniego Przyłuskich.

W Petersburgu d. 22 stycznia w kościele Maltańskim pobłogosławiony został związek małżeński p. Marji Jawniewiczówny, córki prof. Hipolita i Marji z Moszczyńskich, z p. Władysławem Zórawskim.

W kościele św. Piotra i Pawła w Warszawie odbył się ślub panny Wandy Rembowski, córki s. p. Antoniego i Józefy z Zachorskich, z p. Tomaszem Andrychiewiczem, obywatelem ziemskim.

DONIESIENIA.

SZ. CZYTELNIKÓW i przyjaciół pisma, zamieszkałych w Cesarstwie, upraszamy o przesyłanie nam wycinków z miejscowych pism rosyjskich, dotyczących życia rodaków naszych, ich społecznej i ekonomicznej działalności, towarzystw dobroczynności, syndykatów, stosunków kościelnych i t. d., jak również wycinków z tych artykułów miejscowej prasy rosyjskiej, w których omawiane są stosunki polsko-rosyjskie i wogóle kwestje, z życiem polaków w Rosji związane. Za przesyłanie tego rodzaju wycinków będziemy bardzo obowiązani, mimo bowiem najszczerzej chęci, nie jesteśmy w stanie skontrolować całego materiału, zawartego w paru setkach pismach prowincjonalnych, które w Rosji wychodzą.

Redakcja „Kraju”.

Redakcja „Kraju” podaje do wiadomości, że Karty Albumowe, odtwarzające dzieła sztuki, dołączane są nie tylko do egzemplarzy, przeznaczonych dla prenumeratorów, ale i do wszystkich egzem-

plarzy, sprzedawanych oddzielnie w agenturach, księgarniach, na stacjach kolejowych i na ulicy. Cena egzemplarza pozostaje niezmienną: 25 kop.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT FERDYNANDA HOŚIÓKA, wydawcy „Biblioteki ilustrowanej dla młodzieży” w Warszawie, przy ul. Senatorskiej № 496, posiada zawsze na składzie wszelkie nowości literackie we wszystkich językach: Przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma w kraju i zagranicą wychodzące. Główny skład Globusów, Tellurji i Planetarji.

Warszawski Zakład Ginekologiczny

Marszałkowska 45.

D-rów Boryssowicza, Brühla, Gromadzkiego, Jaskłowskiego, Kuniewicza, Natansona, Thiemego, Tyrchowskiego i Winawera, przyjmują osoby, dotknięte chorobami kobiecymi, jako też spodziewające się słabości. Oplata dzienna od 1.50 do 5 rb.

Zakład dla zboczeń mowy

(niemota, jankanie, bełkotanie i t. d.) D-RA OLTUSZEWSKIEGO, Warszawa, Marszałkowska 67 (internat dla dzieci upośledzonych umysłowo).

Dla nerwowo chorych

dom zdrowia

D-ra Dydyńskiego w Warszawie, ul. Bagatela 6, w osobnej willi wśród ogrodów. Cena pokoju z leżeniem i wykwinem utrzymaniem od 4-7 rb. dziennie. Umysłowo chorzy wyłączeni. Stały lekarz. (116)

Zakład leczniczy chirurgiczny

D-ra Solmana, Warszawa, Al. Szucha 9. Pobyt z leżeniem od 2 do 6 rb. dziennie.

Polka-katoliczka, która w r. z. ukończyła jedno z gimnazjów w Kraju zachodnim, pragnie otrzymać lekcje. Oprócz przedmiotów gimnazjalnych, może udzielać początków muzyki i języka francuzkiego. Oferty prosi składać w Redakcji „Kraju” pod lit. Z. J.

NEKROLOGJA.

LISTA ZMARŁYCH.

† Bobrownicki Aleksander, inżynier, r. 1. 74—w Warszawie. Bukowski Włodzimierz, emeryt, l. 73—w Warsz. Grabowska Laura, z Wołowskich, l. 49—w Warsz. Kuhn Gustaw, ob. ziemski, l. 80—w Warsz. Piechowski Aleksander, b. naczelnik wydziału buchalterji B. Banku polskiego, l. 78—w Warszawie. Szatawski Władysław, l. 42—w Grodzisku. Szepe Samuel, l. 90—w Warsz. Tańfilowski Teodor, dyr. Tow. akcyjn. „Motor”, l. 45—w Warsz. Tallen-Wilczewski Antoni, b. ob. ziemski, l. 66—w Warsz.

† Junosza-Cieślński Feliks, ob. ziemski, l. 58—w Sieradzu. Dydyński Stanisław—w Górnym Mandzurji. Gardiner Robert, inżynier, l. 65—w Nalibokach. Kondracki Franciszek, ksiądz, l. 72—w Iwnicach (pow. żytomierski. Korzeniowski Saturnin, l. 83—w Sannikach. Krasicki Witold, hrabia—w Poniemuniu (gub. kowieńska). Łebkowski Henryk, proboszcz parafji Cygów, w Poświętnem. Pożerski Jan, naucz. gimn., l. 58—w Suwałkach. Sadiak Paweł, ks.—w Częstoborowicach. Zambrzycki Andrzej, obyw. ziemski, l. 65—w Jakówkach, w gub. siedleckiej.

† Aszpergerowa Aniela, artystka, l. 86—w Lwowie. Jarkowski Jan, inżynier—w Heidelbergu. Kamocki Franciszek, b. dyr. cukrowni—w Meranie. Kopecki Józef, muzyk, l. 50—w Wiedniu. Matejko Adolf, inżynier, brat mistrza Jana, l. 63—w Krakowie. Piłatti Ksawery, artysta-malarz i rysownik—w Zakopanem. Potocka hrabina Róża z Wo-

dzickich, małżonka posła do parlamentu austriackiego—w Lwowie. Serwatowski Zenon, b. poseł do sejmiku i członek wydziału krajowego, l. 67—w Lwowie. Woronowicz Marcin, urzędnik bułgarskiego ministerstwa komunikacji, l. 49—w Sofji.

EKONOMISTA.

PRZEGLĄD.

(Brak statystyki. Własność włościańska w Królestwie Polskiem i przeludnienie. Objawy charakterystyczne i środki zaradcze).

Brak materiału statystycznego jest jednym z najprzykrejszych dla każdego, kto zajmuje się u nas sprawami ogólnymi. Nasze reprezentacje przemysłowe, np. górnicza lub fabryczna, handlowe, jak komitety giełdowe, wreszcie stowarzyszenia rolnicze dopiero zaczynają zbierać daty statystyczne. Zawodowi statystycy, walcząc z tym brakiem materiału, uciekają się do źródeł urzędowych, dotyczących całego państwa i drogą mniej lub więcej dowcipnych kombinacji próbują wyodrębnić dane, kraj nasz charakteryzujące, ale są to cyfry i niezbyt pewne, i niezbyt świeże. Poza to posiadamy w Warszawie urządowy komitet statystyczny, ale ten, zajęty wyłącznie badaniem stosunków wiejskich, prace swe rozsyła tylko do instytucji urzędowych, wskutek czego są one szerzej publiczności prawie nieznanne. Dowiadujemy się o nich tylko ze sprawozdań w pismach urzędowych, albo też ze specjalnych wydawnictw członków komitetu, którzy temi źródłami się posilkują.

Tego właśnie rodzaju pracę stanowi wydała niedawno w jez. rosyjskim broszura prof. Simonenki p. t.: «O ekonomicznym i społecznym znaczeniu włościańskiej własności rolnej»¹⁾. Włościańska własność rolna w Królestwie Polskiem zajmuje obszar 10 milj. mórg, co przy 19 milj. mórg ogółu przestrzeni uprawnej, stanowi 55 proc. Stosunek ten, w zestawieniu z Cesarstwem, wykazuje znaczny rozwój w Królestwie większej własności rolnej, gdyż w gub. Rosji europejskiej własność włościańska stanowi mniej więcej $\frac{2}{3}$ całego obszaru gruntów ornych. W związku z tem przeciętna osada włościańska w Cesarstwie jest również większą, niż w Królestwie i równa się 26 morgom, wobec 12,5 mórg u nas. Największą jest ilość osad średnich, od 15 do 3 mórg, mianowicie 44,5 proc., następnie osad dużych o przestrzeni większej niż 15 mórg—40,5 proc., wreszcie osad mniejszych, posiadających gruntu mniej niż 3 morgi 15 proc.

¹⁾ «Ob ekonomicznym i społecznym znaczeniu włościańskiej własności rolnej». Warszawa, 1901 r.

Obok tego przeszło 13 proc. ludności wiejskiej zupełnie nie posiada gruntu. Tak znaczna ilość włościan bezrolnych tłómaczy się wzrostem ludności wiejskiej, która od czasu nadania gruntów zwiększyła się o 44 proc., podczas gdy ilość gospodarstw włościańskich wzrosła zaledwie o 21 proc.

Porównyując stan ekonomiczny włościan bezrolnych i małorolnych, p. S. przychodzi do wniosku, że byt tych ostatnich jest o wiele cięższy od warunków istnienia włościan, wcale nie posiadających roli. Włościanin bezrolny, o ile nie chce szukać pracy w przemyśle, przy budwach i t. d., ma zawsze możliwość pozostania przy rolnictwie w charakterze sługi folwarcznego. Popyt na parobków jest duży, a warunki wynagrodzenia—mieszkanie, opał, ordynarja, grunt pod len, kartofle i warzywa, utrzymanie krowy i trzody chlewnej, obok stałej pensji—sprawiają, że byt, względnie znośny, ma rodzina parobcza zapewniony. Tego właśnie zapewnienia bytu brak natomiast owym najmniejszym posiadaczom rolnym. Lilipucia osada nie jest w stanie wyżywić rodziny, nie daje możności trzymania konia, często nawet krowy, zastępowanej przeto kozą, a jednocześnie krepuje właściciela w wyszukaniu innego źródła zarobku. To też tam właśnie, wśród włościan małorolnych, panuje bieda największa—i jej nieodstępne towarzyszy: ciemnota i przestępczość. O pierwszej, zdaniem autora, świadczy bierny opór, stawiany przez tę właśnie część ludności wiejskiej wszystkim zazwyczaj projektom, mającym na celu dobro tejże ludności, np. naprawy dróg i t. p., druga zaś potwierdza statystyka karna, która wskazuje, że w ciągu ostatnich lat 20 ilość przekroczeń względem własności przewyższała w Królestwie Polskiem prawie dwukrotnie średni stosunek tego rodzaju spraw w całym państwie. Istotnie, wedle danych ministerstwa sprawiedliwości, na 100 tys. ludności w Rosji europejskiej, za przestępstwa przeciwko własności było karanych 19 osób, w Królestwie zaś Polskiem—od 27 do 36 osób.

Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest również przeludnienie w Królestwie Polskiem. Wedle danych ostatniego spisu, na 1 wiorstę kwadratową przypada w Królestwie 85 osób, wówczas gdy w Cesarstwie nie przynosi 23 osób. Tak gęsto zaludnienia nie posiada nawet Francja, gdzie na kilometr kwadratowy przypada zaledwie 72 mieszkańców, czyli na wiorstę—81. Skutki przeludnienia wyrażają się w postaci najrozmaitszej: płaca robotnika, zwłaszcza rolnego, jest nader mała i równa się przeciętnie 35 kop., podczas

gdy w Cesarstwie wynosi ona 45—55 kop.; warunki odżywiania się są niedostateczne i coraz pokazniejsze miejsca zajmują w niem kartofle; wskutek tego następuje zwężenie sił fizycznych, ujawniające się w coraz bardziej wzrastającej liczbie popisowych, niezdatnych z powodu niedorozwoju fizycznego: gdy w Cesarstwie na 10,000 popisowych znajduje się niezdatnych do wojska 310, w Królestwie cyfra ta dosięga 485.

Że na wsi jest źle, o tem wiemy prawie wszyscy, to też potrzeba zapobieżenia w jakikolwiek bądź sposób temu stanowi rzeczy, wymagała już oddawna obmyślenia środków zaradczych. Wskazać też można całą szereg projektów, mniej lub więcej szczęśliwie obmyślanych: znajdziemy tam i szerokie stosowanie taniego kredytu, ułatwiającego uskutecznianie działów majątkowych, i dalsze rozszerzenie parcelacji pod kierownictwem specjalnej instytucji, usunięcie szachownic, i uregulowane służebności, i rozwój przemysłu drobnego. Obecnie nową myśl podaje p. H. W. w «Gaz. Pol.», a mianowicie: radzi zmniejszyć obszar osady niepodzielnej z 6-ciu na 2, 3, 4 morgi, zależnie od gleby, aby w ten sposób uchronić włóścian od potajemnych działów, prowadzących za sobą nieodłącznie pieniactwo i duże koszty sądowe. Zdaniem p. H. W., technika rolnicza od czasu nadania gruntów o tyle już wzrosła nawet w gospodarstwach włóściańskich, że obecnie 2, 3 albo 4 morgi wystarczają w zupełności do utrzymania rodziny składającej się z 4—5 osób. Otóż co do tego projektu, musimy sobie zastrzedz zdanie odrębne. Technika rolnicza jeżeli rzeczywiście wzrosła, to wyłącznie prawie na większych warsztatach rolnych; gospodarka włóściańska zrobiła postępy bardzo nieznaczne, a w każdym razie nie o tyle, ażeby produkcję zdwoić. To też uprawnienie tak zmniejszonej normy osad włóściańskich da pochop do zwiększenia tylko tej klasy małorolnych właścicieli ziemskich, o której losach, godnych pożałowania, wzmiankowaliśmy powyżej.

Bardzo słusznym natomiast jest nawoływanie w tem samem piśmie p. D. Staszewskiego: «Stwarzajmy nowe ogniska pracy!», a więc gospodarstwa nabiałowe, hodowlę trzody chlewnej lub drobin, eksploatację torfu, wyrób samodzielną i t. d., które przysporzą nietylko zysku inicjatorom, ale dadzą zarazem zarobek ludności wiejskiej.

J. G—r.

WYSTAWA RYBACKA.

Międzynarodowa wystawa hodowli ryb i przemysłu rybnego, otwarta w Petersburgu

d. 15 b. m., jest największą z urządzonych dotąd na kontynencie europejskim. Olbrzymi gmach maneżu Michajłowskiego okazał się jeszcze zbyt ciasnym na pomieszczenie nadesłanych okazów, pod które zajęto część skweru przylegającego do maneżu. Wspaniałe udekorowane zieleńią i flagami portyk gmachu, tu i owdzie rozrzucone sztuczne grotty skalne i stalaktytowe, kunsztowne akwarja pokojowe z pływającymi w nich najróżnorodniejszych kształtów rybami, wspaniałe i strojne pawilony Francji, Holandji, Rumunii, Austrii, Sjamu, Szwecji, Japonii, Norwegii, Włoch, Danii oraz mnóstwa rosyjskich towarzystw rybackich, tysiące najróżnorodniejszych sieci, harpunów, przyrządów do łowienia ryb—wszystko to oblane potokami światła elektrycznego sprawia, przynajmniej dla nieświadomego wrażeń. Po rosyjskim ministerstwie rolnictwa najpoważniej wystąpiły Francja i Japonia, gdzie przemysł rybny, fabrykację przetworów z tłuszczu rybnego oraz piscikulturę doprowadzono do bardzo wysokiego stopnia rozwoju. W Tokio istnieje nawet „Cesarski Instytut rybacki“.

Rybnictwo polskie reprezentowane jest na wystawie przez kilku zaledwie wystawców, mimo to jakościowo przedstawia się bardzo dodatnio. Nieobfity udział wystawców polskich przypisać domniemaniu należy odbytej niedawno wystawie rybackiej w Warszawie w październiku 1900 roku. Na uwagę zasługują wystawione przez pp. Wincentego Skotnickiego i Aleksandra hr. Ostrowskiego szluzi automatyczne własnego wynalazku, chroniące od gwałtownych zalewów, np. w okolicach górzystych, lub normujące dopływ i odpływ wody w stawach i rzekach lub wreszcie przy gospodarstwach rybnych używane. Wzorowe gospodarstwo rybne prowadzone przez hr. Ostrowskiego w dobrach Korczew i Ostrow w gub. siedleckiej pow. sokołowskiem ma ustaloną reputację i daje czystego zysku przeszło 12 tys. rb. rocznie. Towarzystwo rybackie z Krakowa wystawiło kolekcję ryb hodowanych w Galicji, tablice graficzne, wykazujące rozwój działalności Towarzystwa i „Mapę gospodarstwa rybnego w Galicji“, opracowaną nader starannie przez prezesa tegoż Towarzystwa d-ra Ferdynanda Wilkosza.

P. Wacław Sikorski z Warszawy, agronom-ichtjolog, autor znanych dzieł „Gospodarstwo rybne“ i „O zakładaniu stawów“, wystawił plany gospodarstw rybnych, wśród których zwraca uwagę pomysłowo opracowany plan obszernego gospodarstwa rybnego u p. Mazaraki z gub. kijowskiej. Wystawił też p. S. piękne karpie z Podzamczu (hr. A. Zamoyskiego) figurujące obok pięknych pstrągów p. J. Broniewskiego z Leonowa (gub. petersburska).

P. Michał Podbereski wystawił swoje kamery przewozowe; p. Krzyżowski z Moskwy—karpie. Z guberni zachodnich i południowych wystawców polaków niema. Jak się rzekło: udział naszych hodowców bardzo nieliczny, a ci co są, rozrzucony po wystawie. Wystawa potrwa do końca b. miesiąca. Na zapowiedzianym w połączeniu z wystawą międzynarodowym kongresie rybackim wystąpią z odczytami i referatami, jako przedstawiciele warszawskiego oddziału Cesarzowskiego Towarzystwa rybackiego, pp. hr. Ostrowski, adwokat St. Pniwski, inżynier Rajmund i Stodolski.

J. Wolski.

ZMIANY W USTAWACH AKCYJNYCH.

Reforma prawodawstwa akcyjnego, zapowiadana od lat wielu, przewleka się ciągle. Tymczasem ostatni okres przesilenia spekulacyjnego ujawnił znowu szereg braków w obowiązujących przepisach, nie zabezpieczających dostatecznie z jednej strony interesów akcjonariuszów, z drugiej—zbytнім formalizmem utrudniających osobisty ich

udział w kontroli nad działalnością przedsiębiorstwa. W celu usunięcia tego stanu rzeczy, ogłoszone zostały czasowe przepisy, wprowadzające niektóre zmiany w ustawodawstwie akcyjnym, o czem podaliśmy już uprzednio krótką wzmiankę. Wobec jednak ich doniosłego znaczenia, przytaczamy poniżej główne zasady nowego prawa.

Co od trybu zwoływania zebrań ogólnych, przepisy nowe skracają termin między ogłoszeniem o ogólnych zebraniach a ich odbyciem do 3 tygodni. W ogłoszeniach winny być dokładnie wyszczególnione sprawy, podlegające obradom. Oprócz ogłoszeń, do właścicieli akcji imiennych winny być rozsyłane zawiadomienia osobiste. Z prawa głosu na zebraniach korzystają akcjonariusze, którzy się zapisali do księgi zarządu przynajmniej na 7 dni przed zebraniem, wówczas gdy dotąd termin ten był dłuższy, co utrudniało udział w zebraniu. W razie przyścia do skutku zebrania pierwszego, następnego zebranie może odbyć się nie prędzej, jak po upływie 2 tygodni.

Zebanie uważane jest za prawomocne, jeżeli przybyli akcjonariusze posiadają 1/4 całego kapitału (dotąd 1/5), do prawomocności zaś zebrań, dotyczących powiększenia lub zmniejszenia kapitałów zakładowych, wypuszczenia obligacji, zmiany ustawy i t. d., potrzeba przedstawicieli połowy kapitału (zamiast 3/4). Zebrania są prawomocne, bez względu na liczbę obecnych. Głosowanie na zebraniach ogólnych musi być tajne, jeśli zażąda tego choćby jeden z akcjonariuszów. Wybory osobiste dokonywają się zawsze przez głosowanie tajne. Pełnomocnikami do głosowania na zebraniach mają być tylko akcjonariusze. Urzędnikom towarzystw akcyjnych nie wolno uczestniczyć w zebraniach na zasadzie pełnomocnictw. Członkowie zarządów i organów nadzorczych nie mają prawa głosu we wszystkich sprawach, które ich dotyczą, oraz w zatwierdzeniu sprawozdań.

Akcionariusz, nie zgadzający się z większością, może zgłosić swe zdanie odrębne, które zapisuje się do protokołu. Akcjonariusze, przedstawiający 1/20 część kapitału (dotąd 1/10), mogą żądać zwołania ogólnego zebrania, które też winno być zwołane w ciągu miesiąca. Akcjonariusze, posiadający ilość akcji mniejszą od dającej prawo głosu, mogą łączyć swe akcje na zasadzie pełnomocnictw. Mniejszość na zebraniu, o ile przedstawia 1/3 kapitału, zgłoszonego na zebraniu, ma prawo samodzielnego obioru 1 członka do komisji rewizyjnej.

Komisja rewizyjna wybiera się na rok z góry w liczbie 5 członków. Członkowie zarządu i dyrektorzy zarządzający, po ich nastąpieniu z tych stanowisk, nie mogą być przez 2 lata wybierani do komisji rewizyjnej. Obok sprawozdania, na rozpatrzenie komisji składa się również etat i plan działania na rok następny. Komisji przysługuje prawo zwołania zebrania ogólnego. W sprawie kumulacji urzędów nowe przepisy wprowadzają jedno ograniczenie: dyrektorowie zarządzający instytucji kredytowych nie mogą być dyrektorami zarządzającymi innych towarzystw.

G.

Naftociąg na Kaukazie.

Na Kaukazie podjęta została obecnie budowa naftociągu, która swoim ogromem budzi powszechne zainteresowanie. Jak wiadomo, dla przewożenia ropy z Baku (nad morzem Kaspijskim) do Batumu (nad morzem Czarnym) istnieje Zakaukaska kolej żelazna. Ponieważ jednak eksport ropy zagranicę z każdym rokiem szybko wzrasta, zaś budowanie drugiego toru kolejowego, wobec topograficznych warunków Kaukazu, pochłoniłoby bajeczne sumy, zdecydowano więc zamiast tego, ułożyć pomiędzy Baku i Batumem naftociąg, dla bezpośredniego przelewu ropy z Baku wprost do Batumu, przy pomocy rur. Pierwsza próba takiego

naftociągu została uskuteczniiona w lipcu r. z. pomiędzy Michajłowem i Batumem, na przestrzeni 215 wiorst. Naftociąg ten pompuje rocznie 60 milj. pudów ropy. Rozdzielony jest czterema stacjami, z których każda ze swoimi konstrukcjami przedstawia się jak małe miasteczko. Wobec świetnych rezultatów, postanowiono przedłużyć ten naftociąg z Michajłowa do Baku, t. j. na przestrzeni jeszcze 600 wiorst. Budowa ta jednak przedstawia do zwalczania szalone trudności, głównie z tego powodu, że są przestrzenie, jak np. pomiędzy Tyflisem i Baku, gdzie niema zład czerpać wody.

Zachodzi pytanie, czy nie można by zastosować dla naftociągu na Kaukazie maszyn innej konstrukcji, które nie potrzebowałyby wody.

W końcu r. z. wynalezione zostały przez profesora berlińskiej politechniki, Riedlera, t. zw. „Exprespomp“, które nie potrzebują wody i zużywają paliwa 4 razy mniej, niż obecnie używane maszyny systemu Warthingtona.

Dla obznajmienia się z konstrukcją tych motorów i pomp, delegowany był przez ministerstwo komunikacji inżynier-technolog, zarządzający robotami, p. Adolf Gonzago-Pawliczyński, zagranicę do profesora Riedlera, ażeby razem z nim zdecydować kwestię konstrukcji analogicznych maszyn, w zastosowaniu do specjalnych warunków Kaukazu.

Budowa naftociągu z Baku do Batumu będzie kosztowała 22 milj. rb. i ma być wykończona w ciągu 5 lat. Wtedy naftę, wydobywaną na brzegach Kaspijskiego morza w Baku, naftociąg ten będzie wprost pompował na statki, stojące w Batumie.

Z.

TYDZIEŃ EKONOMICZNY.

Ogólne.

Instytucje taryfowe postanowiły podnieść kolejową taryfę osobową na odległościach powyżej 3,010 wiorst. W tym celu za przewóz pasażerów w I, II i III klasie wszystkimi pociągami pasażerskimi (z wyjątkiem pośpiesznych i kurjerskich, dla których zaprowadzone będą oddzielne dopłaty) dodaje się do istniejących opłat od każdego pasażera po za 3,010 w. (za których przejazd płaci się obecnie: 42 rb. w klasie I, 25 rb. 20 kop. w klasie II i 16 rb. 80 kop. w klasie III) proporcjonalnie: 1 rb. w klasie I, 60 kop. w kl. II i 40 kop. w kl. III za każdą 70-wiorstową strefę, rachując niecałą przestrzeń strefy za całą. Za przewóz zaś pakunków pasażerskich dolicza się do istniejących obecnie opłat od każdego 10 funtów (obecnie za 3,010 wiorst opłata wynosi 114,75 kop.) po 1,50 kop. za każdą strefę 70-wiorstową. Nowa taryfa wchodzi w wykonanie z dniem 18 kwietnia (1 maja), od tej bowiem daty połączono wprowadzić w całym państwie letnie rozkłady jazdy.

W dniu 21 lutego nastąpi otwarcie w Moskwie pierwszego zjazdu przemysłowców górniczych i hutniczych Rosji środkowej, pod przewodnictwem r. t. A. Sztofa.

Utworzony przez ministerstwo komunikacji oddział pod kierunkiem inż. Mulejewa dla studiów nad kierunkiem budowy trzech nowych kolei, a mianowicie od Siedlec przez Kleszczele kolei Południowo-Zachodnich do stacji Wołkowysk i od tej ostatniej do stacji Kobryń, dla połączenia z węzłem kolei Poleskich, oraz nowej odnogi od stacji Parczew do wsi Łomazy pod Białą, dla połączenia dystansu chełmskiego bezpośrednio z Brześciem, ukończył już swoje czynności. Obecnie osobny komitet do budowy kolei przy ministerstwie komunikacji przystąpił do sporządzenia projektu technicznego, oraz kosztorysu budowy tych linii. Z zaprojektowanych linii, budowa li-

nji Siedlec-Kleszczele-Wołkowysk ma być oddzielna z powodu budowy w tym samym kierunku nowej kolei Siedlec-Bologoje. Z pozostałych dwóch linii najpierw zaprojektowano uskutecznić budowę bocznicy Parczew-Łomazy.

W Aleksandrowie pogranicznym odbyła się narada komisji, wydelegowanej dla omówienia z przedstawicielami władz pruskich sprawy punktu przeładunkowego na kolei Kaliskiej. Obie strony przedstawiły swoje życzenia, i po wspólnym rozważeniu ich, przystąpiły do opracowania odpowiednich memoriałów z wnioskami. Memoriały te stanowią będą podstawą do porozumienia dyplomatycznego między zainteresowanymi państwami.

Według nowych przepisów o rewizji celnej bagażu pasażerskiego na kolejach, komory pograniczne mają przedewszystkiem zrewidować bagaż, skierowany do punktów, w których niema urzędów celnych. Jeżeli zaś pasażer udaje się do Warszawy, Petersburga, Moskwy lub innego miasta, posiadającego komorę wewnętrzną, w takim razie bagaż, którego nie zdają przejrzeć na komorze pogranicznej, przesyła się do właściwej komory wewnętrznej na zasadzie przepisów ogólnych. Na żądanie pasażera bagaż jego odstawiony na miejsce przeznaczenia, powinien być zrewidowany przez urzędników celnych na dworcu kolejowym. W tym celu komora pograniczna przesyła do komory wewnętrznej depeszę z oznaczeniem ilości sztuk bagażu, plomb, numeru pociągu i godziny, w której bagaż ma być zrewidowany. Te nowe przepisy mają być wprowadzone niebawem w życie po ogłoszeniu stosownych okólników na kolejach żelaznych i w urzędach celnych.

Towarzystwie inżynierów górniczych w Petersburgu prof. Szreder referował o zastosowaniu szkodliwego sposobu przetapiania ropy na hutach żelaznych Królestwa Polskiego. Sposób ten polega na użyciu węgla surowego zamiast koksu, co wobec braku węgla koksującego się u nas, jest rzeczą bardzo doniosłą. Próby, robione w tym kierunku przez Hutę Bankową, uznano za niedostateczne i wyrażono życzenie ponowienia ich.

W celu zapewnienia większego zysku z eksploatacji lasów skarbowych, ministerstwo rolnictwa—jak dowiaduje się „Warsz. Dniownik“—uznało za pożądane polepszenie całego systemu spławu w Królestwie Polskiem i w tym celu zwróciło się do ministerstwa komunikacji z wnioskiem przeprowadzenia odpowiednich studiów technicznych.

Przy departamencie do spraw kolejowych ministerstwa skarbu rozpoczęła obrady komisja w sprawie przeglądu taryf kolejowych na przewóz drzewa i budulcu. W komisji biorą udział, obok delegatów kolei, przedstawiciele zarządu leśnego, niektórych towarzystw rolniczych i leśnych, kupców drzewnych, komitetów gieldowych i t. d. Obradom przewodniczy dyrektor departamentu p. E. K. Ziegler von Schafhausen.

Zjazd górniczy w Charkowie ukończył swe prace. Projekt utworzenia Towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia robotników od nieszczęśliwych wypadków został większością głosów przyjęty. Opracowano szereg środków, zmierzających ku organizacji wywozu zagranicę węgla kamiennego i żelaza.

Nowy dwutygodnik rolniczo-ogrodniczy p. t.: „Gospodarz“, wydawany pod redakcją i nakładem pp. Edmunda i Stefana Jankowskich, ojca i syna, wypełnia lukę w naszym piśmiennictwie, którą stwarzał brak pisma fachowo-rolniczego dla szerokiej warstwy drobnej własności rolnej. Pierwsze dwa N-ry „Gospodarza“ zawierają szereg artykułów fachowych, jak np.: „Co idzie przed nawozami sztucznymi“, „Dobre byki“, „Opatrzenie pasieki na zimą“, „Powodzenie i niepowodzenie w hodowli bydła“ i t. d., a jednocześnie poruszają i za-

gadnienia natury ogólniejszej, jak „Kółka rolnicze w Poznańskiem“, „Z powodu pożarów“ i t. p. Nader przystępna cena „Gospodarza“ — 2 rb. 50 kop. rocznie z przesyłką — przyczyni się również, miejmy nadzieję, do rozpowszechnienia tego pożytecznego pisma wśród ludu wiejskiego.

KRONIKA GIEŁDOWA.

Petersburg, 23 stycznia (5 lutego). Usposobienie mocne, swyżkowe, na co wpływa—między innymi—ograniczona podaż. Na niektóre walory przedsiębiorstw mechanicznych i akcje banków ujawniło się dawno nie notowane na giełdzie, bardzo obite zapotrzebowanie. We wtorek płacono — banki: wołkowskimi 910, rosyjski dla handlu zewn. 281, chiński 235—240, handl.-przem. 224 — 227, międzynarodowy 313—315, dyskontowy 353, prywatny handlowy 210; z walorami naftowymi bez ruchu — nabywano tylko akcje Nobla po 460—461,5; metalurgiczne: sormowskie 88,5—90,5, pułkowskie 64,5 — 65,25, baltyskie 995—1000, brzańskie 168—171. Koleje połudn.-wschodnie 102,5. Pożyczki premjowe: I — 470, II — 371, III — 269—271. Renta 95 1/2.

Warszawa, 1 lutego. Listy zastawne ziemskie 4 1/2-proc. 97,70; 4-proc. 87,25 — 87,20. Listy zastawne m. Warszawy 5-proc. — 99,30; 4 1/2-proc. — 91,35 — 91,45. Listy zast. m. Łodzi 5-proc. — 95,75; 4 1/2-proc. w zaoferowaniu — 86,60. Z akcji — umieszczono tylko handlowe po 357,5. Ogólne usposobienie dla papierów procentowych wzmacnia się.

Czeki: na Londyn 94 rb. 65 k. za 10 funt. szt.; na Paryż 37 rb. 67 1/2 k. za 100 franków; na Berlin 46 rb. 80 k. za 100 marek; na Wiedeń 39 rb. 20 k. za 100 koron.

Dyskonto — w Petersburgu: Bank państwa 5 — 6 1/2, giełda 5 1/2 — 7 proc., w Paryżu, Amsterdamie i Brukseli 3 proc., w Londynie, Berlinie 3 1/2 proc., w Wiedniu 4 proc., w Kopenhądzie 4 1/2 proc.

RYNKI ZBOŻOWE.

Na rynkach międzynarodowych usposobienie ospałe, chociaż ceny utrzymały się na sesyjogólnym poziomie. Ujemnie wpływa na stan rynków obfite zaoferowanie ziarna ze strony Stanów Zjednoczonych, gdzie urodzaj widocznie okazał się lepszy, niż wykazywały obliczenia; prócz tego trwają obfite dowozy z krajów wschodnich, produkujących na eksport, jak z Rumunii, Bułgarii, a także z południowo-zachodnich guberni Rosji. Wzrostowe telegramy notują w Londynie i Berlinie nieznaczne podniesienie się cen. Płacono:

| | Pszensica. | Zyto. | Owies. | Jęczmień. |
|---------------|------------|--------|------------|-----------|
| W New-Yorku. | 102,5 | — | — | — |
| „ Londynie | 104—107,75 | — | 108,25—111 | 78 |
| „ Berlinie... | 129,25 | 111,75 | 118,5 | — |
| „ Hamburgu... | — | — | 80,5 | — |
| „ Gdańsku | 102—105 | — | — | — |

Na rynkach rosyjskich podaż ograniczona, a więc i obroty drobne, przy tendencji mocnej. Eksport pszenicy w tygodniu ostatnim zwiększył się znacząco. Płacono:

| | Pszensica. | Zyto. | Owies. | Jęczmień. |
|--------------|------------|-------|--------|-----------|
| W Warszawie | 96—105 | 77—79 | 86—98 | — |
| „ Kijowie... | 88—90 | 63—67 | 80—82 | — |
| „ Odesie... | 87 | 71 | 80 | 65 |
| „ Mińsku | 85—90 | 66—68 | 80—85 | 80—85 |
| „ Libawie... | — | 80 | 89—100 | — |
| „ Rewlu... | 88—93 | 79—81 | 89—100 | 75—77 |

NASIONA. Na w a r s z a w s k i m rynku nasionnym stałe podnoszenie się cen na kończącej biały i szwedzką, których produkcja krajowa, ze względu na zły urodzaj, będąc nie wystarczającą na miejscowe potrzeby. Również mocno z tymotuszem. Ceny — przeważnie nominalne: końcyczna czerwoną średnia 40—44 rb., lepsza 45—50 rb., wyborowa 52—60 rb.; biała—średnia 45—55 rb., lepsza 56—66 rb., wyborowa 68—82 rb.; szwedzka—średnia 45—56 rb., lepsza 58—65 rb., wyborowa 66—80 rb. i wyżej—za korzec wagi 250 funtów. Tymoteusz — średni 12—14 rb., lepszy 14—17 rb., wyborowa 18 — 20 rb. za korzec wagi 180 funtów. Seradella—średnia 1,10—1,20 rb., lepsza 1,20—1,30 rb., wyborowa do 1,40 rb. za pud. Łubin niebieski 3,80—4,00 rb., żółty 4,00 — 4,30 rb. za korzec wagi 260 funtów. Notowania domu handlowego B. Hożakowski w Toruniu są identyczne z podanymi tygodni temu.

SPROSTOWANIE.

W korespondencji z Kijowa w N-rze 2 „Kraju“ przez pomyłkę korekty, w liczbie członków rady miejskiej—polaków, wymienione nazwisko Szwejkowski. Powinno być: Szostakowski.

Przy datach starego stylu podawaną jest w nawiasie data nowego stylu. Daty nowego stylu podawane są pojedynczo.

Redaktor i Wydawca

Erazm Piltz

OSTATNIE NOWOŚCI LITERACKIE

do nabycia w księgarni

K. GRENDYSZYŃSKIEGO

w Petersburgu, ul. Jekateryńska 2.

- Bauval E. Komedja miłości. Studium, kop. 40.
 Belza St. Listy z Sycylii, rb. 1 k. 65.
 Brandes J. Henryk Ibsen. Studium kryt., kop. 90.
 Culmann C. Suwak rachunkowy, kop. 75.
 Daniłowski G. Poezje. I. rb. 1 k. 20.
 Dla ciebie, Pani!... Album ozdobne, rb. 2 k. 70.
 Górski K. Historia artylerji polskiej, rb. 1 k. 50.
 Grzymałowski W. Dzieje Kościoła Powszechnego, kop. 60.
 — Prawidła pisowni polskiej według uchwał Akademji Umiejętności w Krakowie, kop. 10.
 Helmholtz H. Liczenie i mierzenie z punktu widzenia teorii poznania, kop. 75.
 Jaka jest nasza wada narodowa główna? kop. 75.
 Kasproicz J. Miłość. Wydanie ilustr. ozd. rb. 2 kop. 50, w opr. płóc. rb. 3 k. 20.
 Krynicki K. Rys geografji Królestwa Polskiego, rb. 1 k. 50.
 Kuhner A. O nerwowości, kop. 20.
 Mutermilch M. Zasady estetyki, kop. 20.
 Pisanka. Książka zbiorowa, z ilustr., kop. 80.
 Poradnik dla samouków. Część IV. rb. 1 k. 20.
 Przyszewski St. Poezje prozą, rb. 1 k. 20.
 — Z gleby kujawskiej, rb. 1 k. 50.
 Sobieski W. dr. Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III, rb. 1 k. 50.
 Staff L. Mistrz Twardowski, pięć śpiewów o czynie, z rys. E. Okunia, rb. 3, w opr. rb. 3 k. 60.
 Szablowski T. W grodzie sennych. Szkic satyryczny, rb. 1.
 Szujski J. i Piekosiński F. Stary Kraków, z 57 ryc., rb. 1 k. 70.
 Szutkiewicz J. Jeden z wielu, powieść, 2 tomy, rb. 1 k. 50.
 Tomasz à Kempis. O cnotach, kop. 20.
 Wallace. Bóg się rodzi, opow. hist. z powieści „Ben-Hur“, przerob. ks. Brykczyński, kop. 50.
 Wolski W. Nieznany. Poezje, rb. 1 k. 50, w opr. rb. 2.
 Wzdga M. Co lubisz? Album dla dzieci, rb. 1 k. 35.

Księgarnia K. Grendyszyńskiego dostarcza wszystkich książek po cenach katalogowych oraz przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma po cenach redakcyjnych. Zamówienia z całą dokładnością i punktualnością zafatwiają się pocztą odwrotną.

Wydawnictwo GEBETHNERA i WOLFFA

RYS GEOGRAFJI

KRÓLESTWA POLSKIEGO

skreślił K. KRYNICKI

(Autor książki «O WIŚLE»).

Wydanie drugie, poprawione i pomnożone, ozdobione 215-ma rycinami, 6-ma mapami i 5-ma planami, z dodaniem dużej kolorowanej Mapy Królestwa Polskiego. Cena rb. 1 k. 50, w oprawie kart. rb. 1 k. 70.
 DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH. (1173)

TOMASZ ZANIEWICKI,
Warszawa, Senatorska № 19.

Telefon № 1389.

Egzystujący od r. 1895 hurtowy skład win Krymskich, Kaukaskich i Besarabskich, poleca wina białe, wytrawne i słodkie, oraz czerwone w różnych gatunkach. Sprzedaż na butelki, baryłki i beczki. Cenniki i objaśnienia wysyła się na żądanie franco i gratis. (1087)

SKŁAD MASZYN, NARZĘDZI I NASION ROLNICZYCH

TADEUSZ KOWALSKI i A. TRYLSKI

Warszawa, Miodowa № 4. (1183)

SKŁAD MASZYN ROLNICZYCH I NASION

ALFRED GRODZKI

w Warszawie, ulica Senatorska № 33. (1180)

„STADO NOWOSIELICA“.

Szczegóły patrz:

tygodnik ilustrowany

„SPORT“

Mazowiecka 4, Warszawa. Numer okazowy gratis i franco. (1184)

DYWANY wszelkie Pokrycia Meblowe, Portjery, Kołdry, Serwety i t. p. Największy wybór, najlepiej u

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA (Syna), Marszałkowska № 137. (1132)

W BIURZE ADRESOWEM. Młoda panna (rumieniąc się). Proszę o adres pana... pana Romasowicza.
 Urzędnik (szuka). Zaraz... Jaki jest obecnie przedmiot jego zajęcia?
 Panna. To ja, proszę pana.

FABRYKA TOWARZYSTWA AKCYJNEGO
„PUSTELNIK“
pod Warszawą

WYRABIA:

DACHÓWKI żłobione patentowane, trwałe i lekkie, odznaczone na wystawach w Lublinie i Berdyczowie dyplomem uznania i złotym medalem.
CEGLE w najlepszych gatunkach, kominową—radjalną, gzymsową, maszynową, kanalizacyjną, okładzinową i zwyczajną.
 Fabryka podejmuje się krycia dachówką, wraz z łaczeniem w Cesarstwie i Król.

Zarząd i Kantor Fabryki w Warszawie, Bracka 16.

Telefonu № 1160.

Cenniki ze wszelkimi informacjami na każde żądanie wysyłają się gratis. (1175)

Amerykańskie Siewniki rządowe.

FABRYKI

THE SUPERIOR DRILL CO

w Springfield (Ohio).

Zawiązawszy stosunki z pierwszorzędną i największą specjalną fabryką siewników rządowych The Superior Drill & Co. w Springfield, O. w Ameryce, której główny inżynier p. Frank R. Packham, jeszcze na wiosnę roku zeszłego, na specjalne moje żądanie, przyjeżdżał do kraju, celem poznania miejscowych warunków siewu, będę w możności dostarczać już na nadchodzący sezon wiosenny.

Amerykańskie Siewniki rządowe,

zaopatrzone we wszystkie najnowsze ulepszenia i jaknajdokładniej zastosowane do naszych warunków uprawy gleby. Ponieważ wyroby fabryki The Superior Drill & Co. tak pod względem materiału, jak i starannego wykończenia przewyższają o wiele wyroby niemieckich fabryk, a pomimo to są od tych ostatnich o wiele tańsze, nie wątpię, że potrafią one zjednać sobie u nas równie szeroki zbyt, jakim oddawna cieszą się już w Ameryce.

W nadziei, że pp. Rolnicy zechcą łaskawie poprzeć moje, już oddawna zapoczątkowane, usiłowania wprowadzenia do kraju siewników rządowych amerykańskich pierwszorzędnej wartości, uprzejmie proszę o łaskawe jaknajwcześniejsze nadsyłanie zamówień, abym mógł zapas nowych siewników odpowiednio unormować i na czas siewu przysposobić.

Alfred Grodzki,

33. Senatorska, w Warszawie. (1175)

PATENTOWANY ANGIELSKI
PLATINUM ANTI-GORSET.

Zalecany przez najświetniejszych lekarzy i cieszący się ogólnym uznaniem, zadawalnia najwybredniejsze wymagania, pań nadając ładną figurę, nie krępując ruchów, nie uciska ciała, a że nie posiada przedniej szkodliwej brykii, nawet panie, nie przyzwyczajone do noszenia gorsetów, mogą takowy nosić przez dzień cały.

Platinki są elastyczne, nie rdzewieją, nie łamią się. Gorset miękki, lekki w noszeniu, może być prany razem z bielizną. Bardzo praktyczne dla osób brzemiennych i karmiących; materiał gorsetu jest mocny, przygotowany w kolorach nie wypierających się. Cena stosownie do gatunku materiału: rb. 4,85 5,35 5,85. Batyst. 6,50, Tylowy 7,00. Dla pań pełnych, brzemiennych i karmiących 50 kop. drożej.

Detailiczne obstalunki wysyła się za liczeniem pocztowym (nawet bez zadatku), licząc wysyłkę 50 kop. Przy zamówieniu 3-eh lub więcej sztuk, wysyłka liczy się franco.

Przy obstalunku wystarczy nadesłać miarę połowy noszonego gorsetu (w piersiach, w pasie i biodrach), oraz wysokość boku od pach do talji.—dodając, czy gorset noszony dobrze schodzi się w plecach. Gorset niezupełnie dopasowany do figury, firma zmienia i wysyła na swój koszt inny. Sprzedaż wyłączna na całe Cesarstwo w składni firmy „HYGIENA“, Warszawa, Bielańska № 18, 1-sze piętro.

Adres dla listów: „HYGIENA“, Warszawa № 355. (1073)

Egzystująca od roku 1879 Fabryka pasów do masy Józefa Wegnera w Warszawie, ulica Królewska, Nr. 21, poleca pasy z oryginalnych skór angielskich w wyborowym gatunku. (1102)

ŻYCIE I SZTUKA

PISMO DODATKOWE, ILUSTROWANE.

„Kraj“

Petersburg, 25 stycznia (7 lutego) 1902 r.

№ 4

Treść niniejszego zeszytu «Życia i Sztuki» zamieszczoną jest w Dziale Głównym.

Słowacki — Przybyszewskiego.

Poeci umieją często pisywać o poetach rzeczy piękne i głębokie. Często — ale nie zawsze. Aby poeta mógł właściwie pojąć i ocenić drugiego poetę, trzeba, żeby między nimi dwoma istniało pokrewieństwo duchowe. Mickiewicz nie był w stanie sądzić Słowackiego, ani Słowacki Mickiewicza — za to ich obu sądził trafnie Krasiński.

Zmarły niedawno poeta Miron, który był bratem po duchu Musseta i Heinego, pozostawił przedziwnie piękne i wierne wizerunki tych dwóch poetów. W oprawie sonetowej, misternie wykończonych, one czynią wrażenie miniatur lub kamei. Oto dla przykładu pierwszy czterowiersz sonetu o Heinem:

„W czapce poliszynela, fraku i koturnie, przeszedł przez życie, nigdy nie schyliwszy głowy, a śmiech twarz mu oświecał zadumaną chmurnie, wciąż tak dziwnie, jaskrawo, jak płomień gazowy“...

Czy istnieje jakikolwiek łącznik ducha, temperamentu, ideałów, dążeń życiowych i środków artystycznych pomiędzy Słowackim a p. Przybyszewskim?

W pracach tego ostatniego, które znam, łącznika tego nie dostrzegłem.

Z pozoru egotyzm autora «Poezji prozą» przedstawia niejako podobieństwo z indywidualizmem twórcy «Króla-Ducha». Ale w gruncie rzeczy już te same pojęcia różnią się bardzo od siebie. Pierwsze stawia jednostkę po za społeczeństwem, religią, narodowością, czyniąc ją biernym narzędziem dwóch, trzech popędów instynktowych; drugie rozszerza jej sferę aż do zetknięcia się z anielstwem i boskością.

Kropla i ocean.

Nadużywał słów Słowacki, nadużywa ich i p. Przybyszewski. To również zdaje się upodabniać ich do siebie. Ale nikomu chyba na myśl nie przyjdzie wznosić autorowi

«Złotego runa» pomnika z jego słów, z napisem *Patri Patriae* — jak to roiło się Krasińskiemu o Słowackim.

O ideałach narodowych, społecznych i religijnych, filantropijnych, altruistycznych, czyli wprost: chrześcijańskich, tych dwóch pisarzy nawet nie wspomnę, gdyż musiałbym porównywać: zero z nieskończonością.

Tak więc żadna wspólność ideowa, ani artystyczna nie mogła przyjść z pomocą p. Przybyszewskiemu, gdy pisał o Słowackim.

Może go jednak nawiedziła intuicja? Ona często wspomaga ludzi z talentem, a p. P., bądź co bądź, do takich ludzi należy.

Zobaczmy.

P. Przybyszewski wydał niewielki tom p. t.: «Poezje prozą». Tego rodzaju utwory już wielu przed nim pisało — często z niemałym powodzeniem. Dość przypomnieć «*Petits poemes en prose*» Baudelairea, istne klejnoty, przypominające owe flakoniki, które w epoce Medyceuszów noszono zatknięte za pas wraz ze sztylblem, a w których mieściły się albo przedziwne pachnidła, albo trucizna. Aby jednak tego rodzaju «poezje» (nigdyż nie rozstaniemy się z tą śmieszną liczbą mnoga?) były godne swego tytułu, musi w nich mieścić się przedewszystkiem poezja. A pod tym względem zdarzają się częste nieporozumienia.

Wiadomo, że poezji nie tworzą rymy; wiadomo jednak, że nie tworzy jej również bylejakie zestawienie słów tak zwanych «poetycznych», czyli, jak dawniej się wyrażano: «górných».

Znam jurystę, człowieka dziś zupełnie statecznego, który w młodości, jak tyłu innych, popelniał «poezje» (w liczbie mnogiej). Ten sługa Temidy wyobrażał sobie wówczas, że poezja polega na używaniu przesłicznych i najprześlicniejszych wyrazów, oraz wogóle wszelkiego rodzaju śliczności i przesłiczności. Wiec w jego wierszach dzwoniło nieustannie «złoto» i «srebro», płonęły «brylanty», «szafiry», «rubiny»; kwitły «róże», «lilje», «chryzantemy», «nenufary»; grały «lut-

nie» i «harfy»; śpiewali «cherubowie» i «serafowie»... Zgrozą był przejęty, że jego bigos, z tak przednich rzeczy przygotowany, nikomu nie smakuje.

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym p. Przybyszewskiego, literata wielostronnie wyrobionego, porównywał z owym dyletantem, a jednak w jego sposobie pojmowania poezji jest coś, co przypomina ów kult «śliczności». W «Poezjach prozą» i w kilku znanych mi utworach tegoż pisarza, będących poematami bez rymów, panuje wszechwładnie frazes; i panuje rzecz gorsza: nadużycie frazesu. Tembardziej razi to w literaturze, której siłę, ozdobę i odrębność stanowią tacy poeci, jak: Kochanowski, Trembecki i Mickiewicz, prawdziwi czarodzieje słowa, których Muza, doskonale piękna i doskonale zdrowa, nie potrzebuje pokrywać braku zdrowia i urody różem i bielidłem, wymyślnym krojem szat, przepychem klejnotów kupnych, a tak często fałszywych...

Ale wracam do głównego założenia, którym jest, otwierający omawianą książkę utwór p. t.: «Pamięci Juljusza Słowackiego».

Jak autorowi «Złotego runa» przedstawia się autor «Balladyny?»

«Bogatemi rękami rzuciłeś perły, złoto i drogie kamienie wokół siebie, a tłum wil się i skłębiał się u nóg twoich; szarpał, rozrywał się i wydierał sobie to, coś z twego nadmiaru i w pysze twego bogactwa sypko rozrzucił»...

Oto początek apostrofy, ciągnącej się przez kilka stron.

Widzimy tu Słowackiego, jako rozrzutnego bogacza — co stanowi określenie trafne, — i jako otoczonego dobijającym się o jego skarby tłumem — co znów zupełnie zgadza się z rzeczywistością.

Prawda, że płomienny, iście wschodni koloryt poezji Juljusza nęci wzrok młodego pokolenia, jak każde cacko błyszczące — dla «tłumu» jednak, po wyłączeniu zeń garstki poetów, artystów i estetyków, na tem upodobaniu wzrokiem wszystko się kończy...



„POŻEGNANIE“. KARTON A. GROTT-GERA. ALBUM „KRAJU“.

Ale i p. Przybyszewski pojęcia tłum nierozciąga na cały ogół czytający. «Skrzętnie chowali—szydzi—dochciwych skrzyń i szpiżarni twoje bogactwo, a co było dla ciebie rozrywką ciężkich chwil, stało się ich pożytkiem. Twojami perłami nasadzili swe brudne lachmany; twoje złoto i klejnoty przetopili i przekuli w okragłe blaszki, a nawet ze strzępów twych złotych tęczy wysnuli nitki, którymi dziergali swe zebracze szmaty».

Czytelnik pyta mimowoli: o kim tu mowa? Najprędzej nasuwa mu się przypuszczenie, że o naśladowcach Słowackiego, o jego literackich epigonach. A w takim razie przedstawiciel «prawdziwej Młodej Polski» piętnuje ironją—«prawdziwa Młoda Polska»... Jest to dość dziwne—choć nie ze wszystkim niesprawiedliwe.

Idźmy dalej.

Słowacki p. Przybyszewskiego kroczył wskroś «ciemnych pustyń», «smagany przez jakąś wścieklą rękę», straszny i okrutny, bo—«tak chciało jego przeznaczenie». Wyłączywszy «straszność» i «okrutność», i to określenie jest trafne. Ale w dalszym ciągu dowiadujemy się rzeczy niespodzianych: że poeta «niszczył wszystko naokół siebie», «wbijał nóż w serce tym, których najbardziej ukochał», «zginał karki tym, których chciał widzieć we wzniosłym majestacie», «wywyższał na trony nędznych niewolników», «broczył w krwi»—a gdy chciał spocząć, znów, jak Ahasverusa, gnał go okrzyk fatalny:—Idź dalej! *niszczy* dalej, bo tak chce twoje przeznaczenie...

Tak więc, nazywając rzeczy po imieniu, twórca «Beniowskiego» został przedstawiony, jako—niepoczytalny szaleniec. Szaleniec—bo jego czyny nie są w zgodzie z istotnymi zamiarami (dręcenie ukochanych, wywyższanie nędznych, deptanie godnych wywyższenia); niepoczytalny—bo popychany do szaleństw przez silniejszą odep «wścieklą rękę», «piekielną pięść»...

Potem idzie ubolewanie nad niesprawiedliwością sądów, jakie naród rzekomo wydał o Słowackim. Poeta temu narodowi «rozwiązał najzawilsze zagadki», «z grubej pleśni odgrzebał ukryte znaki», «przez nieprzebyte gąszcze drogę utorował», a on go za to—*zmięna*widził. Poeta «niszczył wszystko, co narodowi było przeskodą w królewskim pochodzie», «deptał ludzi, co mu zapory i wały sypali», «hojną, przemozną dłonią bogactwo mu sypał», a on mu za to powiedział:—*Jesteś zbrodniarzem!*...

Kto, kiedy objawiał Słowackiemu nienawiść? Kto, kiedy oskarżał go już nie o «zbrodnię» (!), lecz o ja-

kąkółwiek niegodziwość? Sam Słowacki, jeśli kiedykolwiek skarżył się, to tylko o to, że ziomekowie byli dla niego obojętni, i że go nie rozumeli. Jakże daleko od tego do tamtego!

«Gromy przekleństw, obelg, złożeń—sofistykuję dalej p. Przybyszewski—spadały na twą głowę, i ty, wielki, potężny, ty mocny, czuleś się małym i niskim, żeś się chciał w ziemię zagrzebać...»

Teraz znów przeto mamy Słowackiego pokornego, zwątpiałego o siebie, do ziemi przybitego... Nowe oświetlenie i nowa niespodzianka. W prawdziwym zdumieniu zapytujemy: gdzie autor to wszystko wyczytał? zkąd wyszał? Słowacki pokorny, pod ziemię się chowający!... Wiele nadwyzajności możemy sobie wyobrazić—tej nigdy.

Utwór kończy się apoteozą Słowackiego. Szmermele, race kongrewskie, młynki ogniste i także fontanny zamyka: fajerwerkowy wybuch wulkanu.

Słowacki był dumny, niekiedy nawet po szatańsku pyszny—gdyby jednak usłyszał, co o nim głosi uniesiony krasomównym zapalem p. Przybyszewski, uciekłyby pewnie z twarzą, rumieńcem wstydu pokrytą...

«Genjusz», «Czciciel Słońca», «Duch przepotężny»—te tytuły nie rażą. Ale zaraz przy nich spotykamy takie zestawienia: «Potępieniec-Prorok... Światłodajny i Duch Ciemności... Święty i Zbrodniarz...» To już jest niepokojące. Nareszcie pęka bomba:

«Świat, Bóg, Natura rozwiązuje w TOBIE swe własne zagadki i swych losów tajnie. W TOBIE uświadamia się przyczyna, rozum i treść wszechbytu...»

Tu już nie może być wątpliwości: Słowacki jest dla p. Przybyszewskiego — Bogiem. Aby zaś nie brakło nawet «kropki nad *i*», autor zwraca się zaraz potem do poety ze słowami: «Przyjdź, *Paraklecie*, przyjdź!»

Wiadomo, że Nowy Testament mianem «Paraklet» oznacza trzecią osobę Trójcy Świętej: Ducha Świętego. Tak wielkie bluźnierstwo nie mogło pozostać bez kary. Jakoż ona nie daje czekać na siebie ani chwili. Fajerwerkowa, górnotna, o zagadki wszechbytu potracająca apostrofa kończy się: najpospolitszą śmiesznością...

P. Przybyszewski żegna ubóstwionego poetę okrzykiem: *Evoe*, odwieczny Królu-Duchu! «*Evoe*, Czcicielu Słońca, co zabija i wskrzesza!»

Zapomniał, że «*evoe*» to okrzyk rozpustny, używany wyłącznie na bachanaljach (*vox Bacchantis*), i że można wołać «*evoe*, *Bacche!*», ale nigdy: «*evoe*, Królu-Duchu!»...

Chciałbym na tem zakończyć smutną powinność mówienia przykrych prawd człowiekowi z talentem—nie wolno mi wszakże zamilczeć o jednym jeszcze: o językowej stronie utworu. Ta strona, niezmiernie ważna u polskiego pisarza, w «Poezjach prozą» przedstawia się rozpaczliwie. Mówiąc poprostu a szczerze: p. Przybyszewski nie umie pisać po polsku.

W omawianym utworze, wypełniającym pięć niewielkich stronnie, krytyk postawić musi wykrzykniki lub znaki zapytania przy następujących wyrazach i zwrotach stylistycznych:

Tłum «rozrywał się». Rozrzucano «sypko». Bezdenne «zatory» (zator tworzą na wodzie bieżącej kamienie, lód i t. p., jest to zawada, w którą nikt «rzucić się nie może»). «By je odnaleźć twe skarby kosztowne, które dla ciebie były i t. d.». «Pycha barw». «Chciwe» skrzynie. Chowali (perły, złoto, tęcze) do «szpiżarni» (w Polsce chowa się do szpiżarni tylko zapasy żywnościowe). «Smagała cię wściekła ręka i wyla za tobą... chwytala cię piekielna pięść i skowyczała...» («pięść skowycząca» — bardzo trafny odpowiednik do «wyjącej ręki»). «Z tych złotych tęczy» (zamiast: tęczy). «Kolce ciała rozdzierało». «Broczył w krwi» (po polsku: broczył krwią) i t. d.

Znajdują się też tam zdania z logiką zgola niepochwytą. Naprzykład: «ciskałeś z wysokich skal w głębokie oceany czarowne klejnoty, by cieszyć się ich dźwiękiem, gdy padną na skaliste dno.» Cóż to by musiało być za ucho, żeby tego rodzaju *dźwięk* usłyszeć—i to jeszcze z wierzchołka wysokiej skały!..

O «przeznaczeniach, co same sobie położą kres», to tylko mogę powiedzieć, że ich ani trochę nie rozumiem.

Pisarzowi polskiemu nie wolno dziś źle pisać po polsku. Na to zgodzić się musi nawet «najprawdziwsza Młoda Polska».

Wiktor Gomulicki.

Z ROZMÓW I WRAŻEŃ.

Czy będziemy mieli elektryczność?

Warszawa, spragniona od lat wielu światła elektrycznego, otrzymała w ostatnim miesiącu, nie instalację jeszcze oczywiście centralnej stacji, ale przynajmniej jakąś blizką i realną obietnicę. I to nawet nie jedną. Dwie. Pierwsza miała postać wiadomości o podpisaniu nareszcie kontraktu pomiędzy przedstawicielami naszego miasta a przedstawicielami firmy Schükerta i Spółki—która, od chwili dość już jednak odległej utrzymania się na licytacji, aż do dnia dzisiejszego nie jeszcze nie uczyniła dla

Z WYSTAW MIĘDZYKRAJOWYCH.



KWIAT OHRYZANTEMY. Obraz E. Kiesel'a.

miasta, oprócz ozdobienia sztydem swoim jednej z ulic śródmieścia. Druga zaś obietnica wygląda, dla nas co z Warszawy chcemy być dumni, jak królowa z czarowanej bajki, we wszelkie bogata wdzięki. Oto jakiś szkot przyjechał do Warszawy, ofiarowując jej bagatelkę: 30 do 40 milionów rubli na urządzenie światła elektrycznego, bulwarów, teatru, bydłobójni—jednym słowem wszystkiego, czego tylko nam potrzeba. 40 milionów? W dzisiejszych czasach? i z wyczerpanej wojną Anglii? «Wszystko to być może — lecz ja tymczasem między bajki włożę».

W parę dni po podpisaniu kontraktu pomiędzy miastem a Towarzystwem Schükert i Sp., los zetknął mnie z inżynierem Bolesławem Suwaldem, dzielnym specjalistą i zamaszystym mówcą, którego uwagi, ogłoszone niedawno w sprawie oświetlenia miasta elektrycznością, prawdopodobnie dodały kierownikom firmy Schükerta nieco, że tak powiem «odwagi» do tak ważnego aktu, jak podpisanie kontraktu, od czego jakoś tak długo wstydlawie stronili.

— Więc ostatecznie, panie inżynierze, zapytałem—czy my będziemy mieli elektryczne oświetlenie?

— Ostatecznie, nie — odrzekł p. Suwald w tym samym tonie, w którym zaadresowałem moje zapytanie.

— Panie inżynierze, ja pytam jako dziennikarz, dla zaspokojenia ogólnej, a nie własnej tylko ciekawości.

— To co innego, w takim razie odpowiem panu to samo, tylko znacznie dłużej. Najprzód parę słów o klasyfikacji wielkich firm «elektrycznych». Jedne

ten jest dziś trudny w całym Niemczech, w całej nawet Europie. I wreszcie jeszcze jedna okoliczność, która kredytu tego wcale nie ożywi na korzyść naszego interesu — Schükert i Sp. podjęła się instalacji warszawskiej na bardzo niskich warunkach. Odstąpiła ona znaczny procent od najniższych ofert firm tak potężnych, jak Siemens i Halske, ofert, które już były możliwie niskie. Przy ożywionym ruchu interesów, napływie gotówki, odwadze kapitałów—możnaby było z tego wybrnąć. Ostatecznie stopa procentowa u nas ciągle jest wyższa, aniżeli zagranicą, i można operować na fundamencie tej różnicy właśnie. Ale kapitały stały się lekkie i poszukują gwarancji zupełnych.

— Cóż więc będzie?

— Firma Schükert i Sp. ma trzyletni termin. Kawał to czasu. Może rysunek interesów ogólnych zmieni się jakoś. Jeżeli zaś krzyż dzisiejszy przeciągnie się, to ostatecznie i firma nie będzie mogła nic uczynić, pomimo swoich najlepszych chęci.

— A wtedy?

— Wtedy dotrzyma koncesję do możliwie najdłuższego terminu i puści ją w końcu.

— Tracąc kaucję?

— Oczywiście. Wprawdzie ta kaucja wynosi pół miliona rubli, ale lepiej jest stracić pół miliona, niż dwa albo trzy miliony.

— Miastu więc będzie coś na otarcie łyzy?

— Nie umiałbym mu tego powinszować. Elektryczność jest nam przy obecnym rozwoju potrzebna, jak woda i po-

wietrze. My przecież nie posiadamy wcale komunikacji odpowiednich z okolice mi Warszawy. Mamy naprzykład 20 kilometrów linii tramwajowych, powinniśmy mieć 200, 300, 400, nawet pięćset. Zład nagromadzenie ludzi w śródmieściu, drożyzna mieszkań, bieda w klasach średnich, zład ciągle zastój okolic podmiejskich, bliższych i dalszych. Tramwaje elektryczne w możliwie największej obfitości, to dla nas chleb powszedni, bez którego będziemy ciągle chudeuszami, bladymi i anemicznymi, pozbawionymi muskulów. Zna pan przecież wielkie miasta europejskie: Paryż, Londyn; kiedy się wjedzie do nich, to niewiadomo gdzie się one zaczynają, bo już na godzinę przed czasem przybycia pociągu, oko spotyka całe gromady zabudowań o pozorze miejskim. To też, panie, nigdzie na świecie mieszkania nie są tak drogie jak u nas, i nigdzie na świecie urzędnik, rzemieślnik, drobny kupiec, literat nie wydaje na komorne 33 proc. swojego budżetu. Krzyczy się u nas na życie nad stan. Ale dajcie naprzód ludziom mieszkanie tańsze, a potem—zobaczmy.

Po chwili zwrócił na inną stronę tej sprawy moją uwagę:

— A teraz — przemysł drobniejszy. Przecież u nas całe galezie, kwitnące zagranicą, nie mogą się rozwinąć dla braku taniego motoru. Obecnie postawienie motoru i kosztowne i ciężkie, z powodu różnych wymagań technicznych. To też drukarnie, intrologatornie, masarnie, cukiernie, pracownie galanterji, albumów i t. d., nie mówiąc już o większych warsztatach, które są małymi fabrykami—wszystko to posługuje się siłą ręczną, kosztowną i niestosowną. Cóż dziwnego, że nie jesteśmy w stanie, nawet przy protekcji cel, sprostać zagranicznej konkurencji. *Elektryczność stanowi największą, najpilniejszą, najdonioślejszą naszą potrzebę*—proszę pana, niech pan to napisze i podkreśli — i to nie tyle ze względu na oświetlenie miasta jeszcze i ile ze względu na rozwój przemysłu, komunikacji. Nie idzie więc tu o drobne ulepszenie w systemie oświetlenia, jak to wielu sądzi, ale o najgłębsze i najistotniejsze interesy materialne całego miasta.

— Jeszcze jedna informacja, panie inżynierze. Czy w kraju posiadamy dość wykwalifikowanych zawodowców, którzyby—choć przy pomocy obcych kapitałów—podołali takiemu zadaniu, jak urządzenie elektryczności w Warszawie?

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Posiadamy siły zupełnie pierwszorzędne, i nawet teoretyków nam nie brak. Przed rokiem w Towarzystwie popieranym przemysłu i handlu wygłoszono cały szereg odczytów z zakresu elektrotechniki i wtedy przekonać się można było, jak poważnych zawodowców posiada nasze miasto. Oświetlenie elektryczne hotelu Bristol i Filharmonji ostatnio, a niedawno teatru Wielkiego—dokonane wyłącznie krajowymi siłami, a dokonane bez zarzutu—najwymowniej jest świadectwem naszego uzdolnienia i gotowości na tem polu.

Varsoviensis.

Warszawa.



Agenor hr. Gołuchowski (ojciec), w 1859 r. minister spraw wewnętrznych, w 1860 r. minister stanu (prezes ministrów).



Alfred hr. Potocki, minister rolnictwa (1867 — 1869), prezes ministrów (kwiecień 1870 r. do lutego 1871 r.).



Kazimierz Grocholski, minister dla Galicji, 1871.



Florjan Ziemiański, minister dla Galicji (kwiecień 1873 r. do października 1888 r.).



Juljan Dunajewski, minister skarbu od czerwca 1880 r. do lutego 1891 r.



Filip Zaleski, minister dla Galicji, 1888 — 1893.



Stanisław Madejski, minister wyznań i oświaty, 1894 — 1895.



Apolinary Jaworski, minister dla Galicji 1893 — 1895; obecnie prezes Koła polskiego w Wiedniu.



Kazimierz hr. Badeni, prezes ministrów od września 1895 r. do listopada 1897 r.



Agenor hr. Gołuchowski (syn) od maja 1895 r. minister spraw zagranicznych.



Leon Billiński, minister skarbu 1895 — 1897.



Edward Rittner, minister oświaty i minister dla Galicji, 1895—1897.



Baron Loeb, minister dla Galicji, 1897 — 1898.



Adam Jędrzejowicz, minister dla Galicji, 1898.



Kazimierz Ohtędowski, minister dla Galicji, 1899.



Seweryn Kniżatowski, kierownik ministerstwa skarbu, 1899.



Leonard Piętak, od stycznia 1900 roku minister dla Galicji.

TYMKO PADURA.

Dnia 21 grudnia minionego roku przypada setna rocznica urodzin Tomasza (Tymka) Padury, zmarłego d. 20 września 1871 roku w Koziatynie, na pograniczu Podola i Ukrainy. Poeta nasz pisał stosunkowo mało, a drukował za życia jeszcze mniej; dopiero po jego zgonie wyszło obszerne wydanie «Pism» w roku 1874 we Lwowie. Utalentowany pieśniarz «ukrainek» urodził się w Ilińcach na Ukrainie, z ojca Jana i matki Anieli z Paszkowskich, mazurki z Płockiego, ojciec zaś był komornikiem braclawskim i trudnił się pomiarem gruntów w dobrach Tomasza Ostrowskiego i ks. Hieronima Sanguszki, od którego otrzymał na dożywocie dworek z gruntami ornymi w Ilińcach. Był to dworek nie bez pewnej tradycji, gdyż w roku 1786 wojewoda Sanguszko przyjmował w nim podwieczorkiem przejeżdżającego tędy króla Poniatowskiego, biesiadował więc w nim ostatni król z ostatnim wojewodą. W tychże samych Ilińcach urodził się w r. 1803 największy poeta ukraiński, Seweryn Goszczyński, z którym nasz Tymko uczył się razem w szkółce parafjalnej przy probostwie, razem służyli do mszy, a nawet łączyło ich pewne powinowactwo, gdyż ojciec Tomasza był chrzestnym ojcem Seweryna. Szkoły ukończył w Winnicy, a liceum w Krzemieńcu, gdzie oddawał się najczęściej studjom historycznym i poezji, i gdzie już w r. 1823, słuchając Józefa Jaroszewicza wykładu historii prawa polskiego, powziął myśl zamknięcia w pieśniach w narzeczu krajowym dziejów Ukrainy, czego jednak nie urzeczywistnił;

pierwszy zaś raz wystąpił publicznie ze swoim utworem «Lyrnyk», a wślad zatem pojawił się drugi jego utwór: «Kozak», ze wszystkich poezyj Padury najbardziej wzięty i rozpowszechniony, gdyż do dziś dnia śpiewa go młodzież na Rusi Czerwonej, rzadko kiedy wiedząc, z czyjego wyszedł pióra. Utwór ten przedstawia nam kozaka w całej kozackiej swawoli, swobodzie i prawdzie. Trzeci z rzędu poemat: «Ruchawka», który napisał po ukończeniu liceum, świadczy po części, jakimi zasadami przejęty wyszedł z tej szkoły. Jakże zaś wogóle prądy nurtowały ówczesną dorastającą młodzież «czerwoną», mamy stwierdzenie w polskim wierszu młodego Padury, zatytułowanym: «Czapka». Następnie widzimy Padurę przez lat kilka, przesiadującego w różnych miejscach bez pracy stałej, ani stałego zajęcia, przepędzającego czas albo w Sławucie u ks. Sanguszków, gdzie z młodym ks. Romanem, rówieśnikiem co do wieku, łączyła go nawet ściślejsza zażyłość, już to w domach hetmanowej Rzewuskiej w Konstantynowie, lub u hr. Potockich w Humaniu, gdzie go wszędzie mile widziano, do czego, oprócz ułożenia zewnętrznego i reputacji poety, przyczyniła się zapewne i pamięć na ojca, komornika braclawskiego, którego wszędzie wysoce szanowano. Padura korzystał z tych szczęśliwych dla siebie okoliczności, a mając dosyć swobodnego czasu, wertował archiwa familijne, biblioteki i rękopisy, zwiędzał bliższe i dalsze okolice kraju, badał lud osobiście, podsluchiwał tętno jego wspomnień, przeszłości i wnikał głębiej w ducha dziejów. Najobfitszego połowu dostarczyły mu w tej mierze bogate zbiory metropolity kijowskiego, Eugenjusza Bołhowityna, męża w swoim czasie bardzo uczonego i niepospolitego znawcy i zbieracza starych pa-



Tomasz Padura, według fotografii ze zbiorów p. M. Wasiatyńskiego.

miątek, który rad przyjmował u siebie młodego Padurę. Gościł go w domu swoim po kilka tygodni i udzielał mu z rękopiśmiennych zbiorów swoich różnych wiadomości, które z czasem wyrobiły w Tomaszu własny, samodzielny pogląd na dzieje Ukrainy, Polski i Słowiańszczyzny, a na którym oparł dalsze swoje utwory, jak dumy: «Konasewycz», «Muraszka», «Rożyński», «Sierko», «Tetera» i «Roman z Koszary», ostatnie wzięte wprost z podania ludowego. Ze wszystkich tych dum

technie jakiś smętny żal za ubiegłą a tak świetną przeszłością Ukrainy, jakiś istny «jęk liry ukraińskiej».

Tak tu było — jak menuło;
Pytajcie witra stepom;
Jak dywluś sam — zdajnt sia nam
I dii i prawda snom...

W tym samym czasie zetknął się nasz poeta z osobistością, która przeważny wpływ na nim wywarła, porwała go niejako za sobą i popchnęła pod wpływem swoim do śmiałego przedsięwzięcia, które się wszakże nie powiodło, i niebawem, po latach kilku i po złożeniu tak świetnych prób talentu poetyckiego, odebrało mu dotychczasowy jego połot i zlamano na duchu prawie zupełnie. Osobistością tą był Wacław hr. Rzewuski, zwany «Złotą Brodą», z którym znał się Padura jeszcze kończąc nauki w Krzemieńcu i zaliczył się do jego przyjaciół. Przekonywa nas o tem list własnoręczny Rzewuskiego, pisany do Tomasza z Sawrania, w którym «sługa i przyjaciel Wacław Rzewuski» pisze do «kochanego Tomasza», do Pustochy pod Machnówką: «Zaraz przyjeżdż do mnie do Sawrania, dla ciebie jest pokój przygotowany, nowe dzieła gotowe czekają cenzury... Czasu nie trać i przyjeżdżaj, czekam, prędko, bo inaczej paż będzie z kontroli wymazany». Otóż bawił on często na dworze w Sawraniu lub Kuźminie, w charakterze nadwornego poety, robił konno wycieczki z Rzewuskim w dalsze strony, a znając wiele melodii ukraińskich, przyuczał drużynę nadwornych kozaków do śpiewania swoich dumek i pieśni. Piękny i charakterystyczny obraz poety z tego czasu pozostawił nam A. T. Olizarowski, szkolny przyjaciel poety, w wierszu:

Był u grafa pan Padura,
Niebardzo świecił zdrowiem,
Ale zwinny, jak winn, chmura
Nie tak metka.—Cóż powiecie
A do konia jakby dziecię!
Lecz jak sładzie na dywanie
Śród pokoju z kozakami,
Jak pociągnie po torbanie
Białą ręką, a oczami
Jastrzębiami, jak po strunach,
Po całunach i piotunach,
Po kozackich twarzach mignie,—
To niech w tobie serce stygnie!
Od wieczora nie zastygnie
I do rana.—Gdy dwanaście
Piersi silnych dumkę huknie,
I rąk silnych gdy dwanaście
Po torbanach razem stuknie. etc.



Stary domek w Koziatynie, w którym umarł T. Padura.

Na takim życiu przeszło Padurę kilka lat; przesiadując na dworach możnych panów, czasami u metropolity Eugeniusza, rozpatrując rękopisy, pisząc dumy; najczęściej zaś przebywając w Sawranii, przylgnął całym sercem do emira Rzewuskiego i widział w nim i jego drużynie, w całym sposobie życia, typ dawnych atamanów tej tak świetnej kiedyś, dawnej Ukrainy. W 1829 r. widzimy go już w postaci wędrownego lirnika, przebiegającego wzdłuż i wszerz ziemię dawnej kozaczyzny, a żyjąc i przebywając między potomkami kozaków, o których od dzieciństwa marzył, stworzył w tym czasie resztę najpiękniejszych swoich ukraińskich, jak: «Lejstrowyj», «Koszowyj», «Zaporozec», «Czornomorec» i dum, jak: «Hordijenko», «Barabasz», «Mazepa», «Swirczowski» i wiele, wiele innych. Te ukraińskie, jak i dumy treścią swoją i żywością kolorytu, a przytem rzewną jakąś smętnością i żalem za ubiegłą przeszłością, jak też płaczem nad obecną niedolą ludu—przewyższają wszystkie utwory Padury i dają nam zarazem, dzięki przypisom do nich, dosyć wierny obraz przyciśniętego w tej wędrowności. W parę lat później emir i Padura są na polach Daszowa, gdzie zginął bez wieści Rzewuski, przyjaciel zaś jego Tomasz ocalał, lecz z dniem tym wszystkie jego nadzieje rozwia-



Tablica pamiątkowa w kościele w Białopolu (gub. kijowska, pow. berdyczowski).

ły się, wszystko prysło, jak bańka mydlana—i dla Padury przyszłość istnieć przestała. Z roku 1832 zakończył Padura cały wielki i ważny dla siebie w wypadki okres tak życia, jak i twórczości. Ani dalsze jego życie, ani reszta pism jego nie budzą już interesu. Odtąd mamy przed sobą przez cały prawie lat 40, aż do śmierci poety, człowieka złamanego na duchu, który za młodu, obdarzony niepospolitym talentem, zabawił się na chwilę w loterję i postawił cały swój spryt młodzieńczy i talent poetycki na jedną kartę, a gdy ta nie dopisała, stracił wszystko razem ze stawką. Na starość osiadł w Machnówce, lecz częściej przesiadywał u przyjaciela swego M. Wasiatyńskiego w Koziatynie, gdzie też życie zakończył. Pochowano go na cmentarzu katolickim w Machnówce, a tablica pamiątkowa z powodu różnych okoliczności, wmurowana została w kościele w Białopolu. Podług Wójcickiego, Winc. Pola i W. Przyborowskiego jest Padura «poetą ludowym w całym znaczeniu tego wyrazu. Pieśniami swymi rozkrzewiał on wielką myśl na Ukrainie, aby zbudzić w niej pamięć świetnej przeszłości; wiele z nich przeszło na wieczną pamięć w usta narodu i ludu, a w dalekiej przyszłości powtarzać będą późniejszych pokoleń usta pieśni tego wieszca, choć nie będą wiedzieć o ich twórcy. W śpiewnych dumach, które tak chciwie chwyta każde ucho, co lgną do serca, skreślił on cały żywot kozaczy, zamknął w nich sławę bitnego pokolenia i schwytał zarazem charakterystykę rodową. Pieśni jego proste i dumy mają to znaczenie w literaturze naszej, powiedzmy w dziejach piśmiennictwa słowiańskich wogóle, co poczęje Hezjoda w literaturze greckiej».

L.

WYDAWNICTWA URZĘDOWE.

Dawny Wileński okręg naukowy.

Ministerstwo oświaty wydaje zacierpnięty z archiwum własnego «Zbiór materiałów do historii oświaty w Rosji». W czwartym tomie tego wydawnictwa znajdujemy obszerny wstęp, napisany przez docenta uniwersytetu petersburskiego p. A. Pogodina i dający ogólną charakterystykę wileńskiego okręgu naukowego w czasie od r. 1803 do 1831. Praca ta z rozporządzenia ministerstwa oświaty wyszła też w osobnej odbitce (Petersburg, 1901 r.).

Na treść książki składają się następujące rozdziały: Społeczno-pedagogiczne poglądy ks. Adama Czartoryskiego i je-

go pomocników; Wyższe zakłady naukowe; Gimnazjum i liceum krzemienieckie; Szkoła średnia i niższa; Ruchy społeczne w szkole.

Rozbierając działalność ks. Adama Czartoryskiego, autor nie zgadza się ani z poglądami «entuzjastów» polskich, którzy upatrywali w nim bohatera wolności, ani z oskarżeniami strony przeciwej, według których «wychowanie publiczne dla Czartoryskiego miało na celu nie oświatę i dobrobyt ludności, ale tylko było środkiem spolszczenia ruskiego kraju». Zarzucając dawnemu kuratorowi wileńskiego okręgu naukowego stronność w ocenianiu charakteru rosyjskiego, wyrażoną w zdaniu: «Panować, uciskać, rozkazywać jest potrzeba dumy narodowej rosjan», autor uznaje w Czartoryskim człowieka, odznaczającego się głębią myśli, wielkością duszy, głębokim przywiązaniem do kraju rodzinnego i własnego społeczeństwa, do którego nie przestał tęsknić, stojąc na szczycie stosunków przyjaznych z cesarzem Aleksandrem I, oraz zupełną szczerością przekonań i śmiałością w ich wypowiedzianiu. Czartoryski—mówi dalej p. Pogodin—obrał sobie za dewizę uczynić oświatę dostępną wszystkim, bez różnicy stanu i stopnia zamożności, w myśl postanowień Komisji edukacyjnej z r. 1783, dążąc do tego, aby szkoła przygotowywała przedewszystkiem obywateli kraju, przywiązanych do ojczyzny i rozumiejących jej potrzeby. To też owoce jego działalności były wielkie: uniwersytet wileński za jego kuratorstwa stał się ogniskiem oświaty polskiej, na Wołyniu powstało Liceum krzemienieckie, nauczanie w szkołach powiatowych i parafjalnych opierało się na podstawach szerszych.

Tadensza Czackiego autor przedstawia jako siejącego nienawiść i niezgodę fanatyka, który po za własnym systemem wychowawczym żadnych innych systemów nie uznawał, ale zarazem ma i dla niego słowa pochwały: «był on tak niepodzielnie oddany drogiej mu idei, do systemu wychowania tak szeroką wprowadził zasadę poszanowania dla osobistości ucznia i nauczyciela, że — mówi p. Pogodin—nie mogę rzucić nań kamieniem potępienia za to, iż, propagując ideę polską na Wołyniu, stał na gruncie fałszywym, i przeskądzał zlanu się odwiecznie ruskich prowincyj z Wielkorusją».

Przechodząc dalej do innych pomocników ks. Adama Czartoryskiego, autor nazywa ks. Hugona Kollataja gorącym stronnikiem idei polskiej i kierunku narodowego w wychowaniu młodzieży, i z wielkim uznaniem odzywa się o Janie Śniadeckim. Według jego słów, był to człowiek uderzający jasnością poglądów i szlachetnością uczuć; uczony europejski, wykształcony encyklopedycznie i w sprawach oświaty wnoszący się ponad ciasny nacjonalizm, filozof, nie wierzący w żadne przewroty niespodziane, odróżniający sprawy naukowe od politycznych, humanista, dla którego drogiemi były interesy młodzieży bez względu na jej pochodzenie—słowem, godny pomocnik ks. Czartoryskiego, do którego wieloma rysami był podobny. I jego również głównym zadaniem życia była polonizacja uniwersytetu wileńskiego.

Wspomniałszy jeszcze o rektorach uniwersytetu: Malewskim i Twardowskim, autor rozdził pierwszy kończy słowami: «W osobach: Czartoryskiego, Czackiego i ich współpracowników Polska wydała z siebie znakomitych działaczy politycznych, którzy z zadziwiającą zgodnością dążyli do wspólnego celu. Jakkolwiek cel ten był fałszywy, gdyż opierał się na przekonaniu, że Litwa, Białoruś i Ukraina jest właściwą Polską, czego w istocie rzeczy nie było, w każdym jednak razie niepodobna im odmówić tego, co powinni mieć na względzie wszyscy reformatorzy szkoły. Mianowicie, zrozumieli oni, że szkoła średnia przedewszystkiem wychowuje średniego obywatela, który wieku swego nie prześciga, ale żyje poglądami, zdobytymi w szkole. Zrozumieli też, że cały system wychowania publicznego, od stopni najniższych do najwyższych, powinien być przystosowany do wymagań życia, do jego potrzeb, powinien wspierać się na jednej idei, i że ta idea powinna również ożywiać nauczycieli. Inaczej bowiem żywa sprawa wychowania i wykształcenia zmieniła się w martwy formalizm».

Rozdział, poświęcony wyższemu zakładowi naukowemu, opiera się przeważnie na pracach polskich d-ra Bielińskiego («Uniwersytet wileński») i Żmigrodzkiego (ogłoszonych w «Przewodniku Naukowo-Literackim»). Najciekawszymi tu są poglądy autora na działalność Nowosilcowa. Pierwsze zarodki niedowierzania władz rządowych względem uniwersytetu—według zdania p. Pogodina—były wzniecone w Petersburgu przez profesorów-niemców, którzy intrygowali przeciwko Śniadeckiemu. Później, już pod wpływem Nowosilcowa, zarząd uniwersytetu wydał obowiązujące młodzież akademicką przepisy, których treść «wywiera—według słów autora—wrażenie przygnębiające. Tu bowiem co chwila daje się poznać studentom, że stanowią oni niebezpieczny pierwiastek fermentu. Ale i to nie pomogło. W r. 1824, z powodu wykładów prof. Gołuchowskiego, Nowosilcowa oświadczył Twardowskiemu, że rząd do tego stopnia nie dowierza uniwersytetowi, iż prawdopodobnie przystąpi do jego reorganizacji». Nastąpiła nominacja rektora Pelikana, którego autor uważa za karierzystę i dyplomata, umiającego zastosować się do każdej zmiany w widokach rządowych. Nowosilcowa dążył do rusyfikacji kraju, wprowadził język rosyjski do kancelarii uniwersyteckiej, usunął ze szkół średnich wykład prawa naturalnego i nauk politycznych, nakazał profesorom uniwersyteckim składać władzom szczegółowe programy wykładów i przytrzymać się ich dosłownie. Nastąpiło powstanie i uniwersytet został zamknięty d. 1 maja r. 1832. «Ogień liberalizmu litewskiego zgasił»—dodaje autor.

Polocką Akademię Jezuitów p. Pogodin nazywa «dość zabawnym naśladowaniem uniwersytetu wileńskiego» i w krótkich słowach opisuje jej historję. Wspomniałszy o rabunku bogatych jej zbiorów, gdy Jezuiti zostali wydalenii z Rosji, autor pisze: «Tym sposobem prawie jednocześnie zgasiły oba ogniska polonizacji kraju: jedno z nich wywierało wpływ na oświeconą mniejszość, drugie zaś, tępiąc wśród społeczeństwa wszelką

dążność do samodzielnego myślenia, opłatywało w swoje sieci tłum, w którego oczach sprawy religijne były związane z kwestją istnienia narodowego. Pozostawał tylko jeszcze południowy ośrodek propagandy polskiej, mianowicie Liceum krzemienieckie, które jednak przeżywało już także ostatnie dni swego istnienia».

Właśnie tej szkole autor poświęcił III rozdział swej pracy, zaznaczając na wstępie, że «fanatyczna działalność Czackiego z jednej strony cieszyła się gorącym poparciem, z drugiej zaś—wywołała energiczny opór; tym sposobem w historii szkoły krzemienieckiej—mówi autor—widzimy walkę dwóch partyj: silnej—polonońskiej i rosyjskiej, która dopiero co się rozdzieliła nie miała jeszcze oparcia w rządzie». Charakterystykę Liceum p. Pogodin zawiera w następujących słowach: «Niewątpliwie Czacki, ten frazesowicz i projektowicz, jak go określa Kulzinskij—umiał rozwiązać bardzo trudne zadanie: stworzył szkołę, w której związek między ciałem nauczycielskim a uczniami był bardzo żywy, dla której społeczeństwo nie było żywołem postronnym, obcym, ale stało się opiekunem tego zakładu naukowego i jego tradycji. Społeczeństwo utrzymało szkołę, a władze szkolne ze swej strony zapewniły mu uczestnictwo w wewnętrznym życiu szkoły, w egzaminach i t. d. Zjednoczenie rodziny i szkoły było tu osiągnięciem w sposób najdoskonalszy».

Mówiąc o szkołach średnich, autor wysoko podnosi zasługi Śniadeckiego, za którego inicjatywą szkoły klasztorne zmieniły się do niepoznania, i niektóre z nich, np. grodzieńska Dominikanów uważana była wręcz za wzorową. Autor zarzuca jednak tym szkołom, że dawały efektywne, ale zbyt powierzchowne wykształcenie oraz uznaje w nich, zarówno jak i w szkołach wyższych, ogniska polonizacji i katolizacji kraju. «Daleki jestem od myśli—pisze autor—że powstanie listopadowe objaśnia się przede-wszystkiem współdziałaniem szkoły, ale wątpliwości nie ulega, że szkoła odegrała wybitną rolę w smutnych wypadkach późniejszych, które w warunkach normalnych prawdopodobnie wcaleby nie zaszły».

Ostatni rozdział, piąty, poświęcony jest «społecznym ruchom w szkole» i zawiera opis znanego śledztwa w sprawie filaretów i filomatów. Autor pisze, że niezupełnie uświadomione dążności młodzieży skrytalizowały się dopiero pod wpływem surowych zarządzeń Nowosilcowa, który przez to oddał bardzo złą usługę sprawie rosyjskiej na Litwie, sprawując to, że naród, który dotychczas zapatrywał się na Rosję, jako na opiekunkę swoją, i nie myślał o oddzieleniu się od niej, stał się odtąd wrogiem ku niej nastrojonym.

Charakteryzując całą tę pracę p. Pogodina, dochodzimy do wniosku, że autor, potępiając polityczne dążności ówczesnych głównych kierowników na niwie oświaty publicznej, zarazem rozumie pobudki, które nimi rządziły, i objaśnia je psychologicznie wpływami historii. Opracowany zaś przez polaków zasadom wychowania szkolnego, średniego i wyższego, p. Pogodin oddaje wielkie pochwały, zaznaczając, że szkoły ówczesne posiadały takie cechy dodatnie, jakich

w niejednym kraju nawet dotychczas nie posiadają.

J. Ł.

Z CATTARO DO CETYNJI.

NOTATKA TURYSTY.

Kto nie był w Bocca di Cattaro, ten wyobrazić sobie nie może uroku tej zatoki morskiej, trzema odnogami głęboko wrzynającej się w skaliste brzegi Dalmacji.

Zewsząd piętrzą się dzikie skały, prostopadle niekiedy nad lazurową tonią wzniesione, a tam dalej, w głębi wierzchołki gór niebotycznych, śniegiem pokrytych.

Nad samą zatoką wążutką pasek zielony, pnący się gdziegdzie między skał szczytów. Białe, wesole domki, czerwona dachówka kryte—to mieszkania sławnych na świat cały marynarzy z Bocca di Cattaro.

Setki i tysiące najdzielniejszych kapitanów okrętowych z tej miejscowości pochodzą. Znałem ich kilku na statkach rosyjskiej floty handlowej. «Dalmatyńscy słowianie», jak ich tam powszechnie nazywano, uchodzili za najlepszych oficerów. I cóż dziwnego? Tu od dziecka każdy jest marynarzem.

Kapitan statku, na którym płyniemy, również ztąd pochodzi. Ojciec jego, przed kilku laty wypłynawszy z zatoki w czasie burzy, już więcej nie powrócił. Jemu wszakże na chwilę nie przyszło na myśl, by mógł być czem innym, jak marynarzem. On morze kocha, to jego żywioł.

Przybywamy do Cattaro późnym już wieczorem. Nazajutrz rano puszczam się do miasta w poszukiwaniu koni, któreby nas zawiozły do stolicy Czarnogórze, Cetynji, którą dawno już odwiedzić pragnąłem. «Nie patrz pan na konie, mówi stary *Cameriere* okrętowy, ale na furmana. Wybierz pan starego, statecznego». Jakkż Hajdukowic, którego wybrałem, znalazł uznanie pocziwego *Cameriere*. Przekonałem się w następstwie, jak dobrą była jego rada.

Zaledwieśmy Cattaro minęli, droga piątą zaczęła do góry w sposób tak zastraszający, że mimowoli kilkakrotnie oczy zamykał. Co prawda, świetnie wytknięta i znakomicie utrzymana, w ciągłych zygzakach się wznosiła, na zawrotach wszakże, niby w powietrzu zawieszonych, cofaliśmy się z początku w głąb powozu, by nie widzieć przepaści, otwierającej się przed nami. Niebawem dojechalibyśmy do domku strażnika, na wysokości 600 metrów.

Przed nami jechały dwie młode angielski, które od paru miesięcy zwiedzały Dalmację, następnie zaś do Grecji się wybierały. Jedna z nich, wcale ładnie rysująca, zbierała szkice po drodze. Druga od paru lat pracowała nad językami łacińskim i greckim, a poznawszy je jako tako, puściła się w podróż. W Sebenico, w Spalato kopjowała starożytny napis, obecnie zaś na statku odczytywała Homera, przygotowując się do podróży po Grecji.

Towarzyszył im do Cetynji młody dr. Sir Karry Stead, którego przed kilku dniami w Sebenico poznały. Człowiek bardzo wykształcony, nadzwyczajnie wesoły, zwiedzał pieszo Dalmację od trzech miesięcy. Zachwycony krajobrazami, pamiątkami, a szczególnie ludem słowiańskim, o którego gościnności nagadać się nie może. Jakkolwiek wybrał się z angielskimi do Cetynji, ani chwili go nie widziałem siedzącego w powozie. Co chwila spotykaliśmy go drapiącego się na jakiś odłamek skały, lub klusem drogę przebiegającego. Nie siadł do powozu na przestrzeni 45 wiorst, dzielącej Cetynje od Bocca di Cattaro.

Droga, świeżo zwirom usypana, stawała się coraz cięższa. A słońce piekło niemiłosiernie. Furmani posiadali z kózłów, by koniom ulżyć nieco. Ale gdy nasz stateczny Hajdukowiec uważnie śledził ruchy swych koni, batem lub głosem je prowadząc, furman angielski pozostał w tyle o kilkanaście kroków, wcale się o nie nie troszcząc. Raptem widzimy z przerażeniem jak konie panienek, sploszone widokiem próżnej beczki, nad drogą leżącą, uniosły powóz i w pełnym galopie na następnym skrzyżowaniu zwracają. Szczęściem kola powozu wpadły na kupę mialkiego zwiru i zaryły się w nim głęboko, co dało możliwość nieogłębionemu furmanowi dopędzenia i zatrzymania koni. A działo się to na wysokości około 700 metrów, nad brzegiem przepaści.

Podziękowałem w duszy camerierowi, tembardziej, gdy mi nieco dalej wskazał Hajdukowiec miejsce, gdzie w roku przeszłym całe towarzystwo angielskie stooczyło się do przepaści.

«Ludzie—powiada—tylko się pokaleczyli, ale powóz w drzazgi poszedł, a konie się pozabijały na miejscu. Za tańce wino u nas w Dalmacji. Muje doktor zabronił pić. I mnie z tem dobrze, i tym, którzy ze mną jadą».

Niebawem wjeżdżamy w gęste chmury, które zakrywają nam zupełnie widok zatoki, błyszczącej jakby na dnie studni głębokiej. Spotykamy ogromne wozy, naladowane skórąmi lub próżnemi beczkami. Płochliwe koniki strzygą uszami, idąc nad samym brzegiem urwiska. Na wysokości 900 metrów dwa słupki kamienne w ziemię wkopane, wskazują granicę między państwem austriackim a Czarnogórzem.

Niestety, nietylko słupki granicę państw oznaczają. Droga równie świetnie jak i w Austrii wytknięta, nierównie gorzej jest utrzymana. Zamiast wmurowanych słupków, kamienie w nieladzie nad brzegiem przepaści rzucane, zwir świeży, mało gdzie ubity. Niektóre mosty kamienne, świeżo zniszczone przez potoki z gór spływające, zastąpiono drewnianymi, wiszącymi, które jakoś nie wzbudzą zaufania. Chętnie bym nieraz wysiadł z powozu, lecz wstyd mi przed córką, która mi towarzyszy w podróży, a na którą widok niezgłębionych przepaści najmniejszego nie sprawia wrażenia.

Po czterech godzinach ciągłego w górę wspinania się, dojeżdżamy do wioski montenegryńskiej, zwanej «Krstac». Tu mamy popasać.

Kilkaścian domków kamiennych, dachówką krytych, wśród wąskiej polany, ciągnącej się między skałami — oto i



Wiesniaczki czarnogórskie przy pracy.

cała wieś. Przed jednym z tych domków stajemy.

Wychodzi młody, przystojny montenegryńczyk w malowniczym swym stroju, składającym się z szerokich granatowych spodni, ujętych w białe obcisłe kamasze, z kurtki malinowej, złotem haftowanej, i z czapki czarnej o malinowym denku, na którym nad galonem złotym, wyszytym w półkole, widnieją haftowane litery K. I.

Na nogach rodzaj pantofli z grubej skóry, szerścią pokrytej, przytwierdzonych do nóg rzędem nicianych sznurowadł. Z za szerokiego skórzanego pasa, krwawnikami wysadzanego, wystaje kolba rewolwera wielkiego kalibru. Na ramionach zwieszona nader malowniczo tak zwana «struka», rodzaj grubego, z niefarbowanej ciemnej wełny tkanego szala, na półtora łokcia zaledwie szerokiego, a którego ciężkie i pięknie wiązane frendzle do ziemi prawie spadają.

Gospodarz zbliża się do nas i uprzejmie do domu zaprasza.

Dokładnie strój jego opisałem, gdyż jest to strój narodowy, noszony przez wszystkich czarnogórców, od księcia panującego do ostatniego górala. Różni się tylko bogactwem haftów i tem, że po wierzchu, w chłodne dni, ludzie zamożni nakładają rodzaj kontuszów z przypinanymi rękawami, przeważnie z sukna zielonego, bogato haftowanego złotem, ubożsi zaś białe sukmany wełniane, czarna taśmą wyszyte.

Wojsko regularne nosi identycznie taki sam strój, z tą różnicą, że po wierzchu mają żołnierze czarne szynele, a na nogach buciki skórzane przy białych kamaszach. Oficerowie, jakoteż bogatsi mieszkańcy noszą długie, lakierowane buty.

Wchodzimy do brudnej stancyjki, gdzie zastajemy dwóch pięknych wieśniaków, tak zazarcie w domino grających, że na nas najmniejszej nie zwracają uwagi, stukając kostkami o stół z całej siły. Jednemu z nich gra nie idzie, bo stukta coraz wścieklej, a oczy błyskają złowrogo. Przez wzgląd na córkę pytam Hajdukowica, czy między graczami do bójki nie przyjdzie. Ten mnie zapewnia, że mogę być najzupełniej spokojny, nie-

tylko tu, ale w całym Montenegro, wśród dnia i nocy.

Wchodzi trzech popów. Ubiór niczem nie znamionuje ich godności. U każdego rewolwer za pasem. Tylko wysokie, w mosiadz okute palki, brody i po ramiona włosy, godność ich oznaczają. Klaniają się nam grzecznie, siadają za stołem. Wchodzi olbrzymi czarnogórczyc w kontuszu zielonym, widocznie bogacz i elegant miejscowy. Gracze nie zwracają na niego uwagi, ale popi ceremonjalnie powstają i całują się z nim. On spogląda protekcjonalnie w okolo. Klania się nam z elegancją, nieco zabawną, głośno mówi, stukta pięścią o stół, widocznie goni za efektem. Gospodarz stawia przed nim i popami cztery szklanki z winem i kwarę z wodą. Goście popijają, wodę wciąż dolewając. Poczem całują się znowu, klaniając się nam grzecznie i wychodzą. Gracze na chwilę gry nie przerwali i walą w stół dębowy dziwnie mocnym domino. Gospodarz zapalił na kominie, by nam jaj ugotować. Robi się duszno. Przytem wolę nie widzieć, jak układa palcami na talerzu cienkie plasterki «prosciuto» (wędownej szynki, prasowa-



Żołnierze czarnogórscy.

nej między kamieniami), tej nieuniknionej na całym wybrzeżu potrawy. Siadamy na dworze przed domem. Przybiegają dzieci z bukietkami fioleków i prymulek. Ale nie są natrętne. Rzucają kwiatki na stół i uśmiechając się, stają opodal. Kilka głodnych psów otacza nasz stół. Zbliża się jakiś dziwny człowiek, ubogo ubrany. Długie siwe włosy spadają na ramiona z pod filcowego kapelusza. «Idę przed siebie—mówi nam po francuzku,—idę z mojego kraju, z mojej Bretanii. Bo niema już Boga, niema tam ludzi, niema nic! Idę przed siebie przez góry wysokie, a gdy ludzi napotkam, palcami do ust pokazuję. Ten mnie nakarmi, ten mnie napoi, a ja idę dalej, dalej, bo już nic nie ma». I biedak, wdziesięcznie przyjąwszy drobną monetę, pośpiesznie ścieżką w skaliste góry podążył. Hajdukowiec od koni smutnie głową kiwa. «Pierwszy raz w życiu—powiada—widzę prawdziwego francuza, i to biedny warjat».

Konie popały, jedziemy. Droga wciąż pnie się do góry. Mijamy malutką wioskę Njegus, gniazdo panującej rodziny książęcej. Chatki kamienne, cieniutko słomą kryte, a tylko jeden dworek pod dachówką; to pałac książęcy. Kilka drzew figowych i kawaleczek łąki. U stoku gór skalistych małe poletki, starannie obmurowane, by ziemia, z wielkim trudem przyniesiona, nie spłynęła z wodą śniegową. Oto i całe bogactwo. To mi tłumaczy, dlaczego tytuł montenegryńczyków widziałem nieraz pracujących w portach Konstantynopola i Azji mniejszej. Który tylko zbiera nieco grosza, wraca do orlego gniazda; lecz gdy zagra pobudka wojenna, wzywająca do walki z bisurmanem, tym wrogiem odwiecznym, wszyscy, jak jeden człowiek, wracają w swe niedostępne góry, chwytają za oręż i zwyciężają lub giną.

Przybywamy nareszcie do najwyższego na naszej drodze punktu. Tak zwane Kriwackie Zdrzelo wznosi się na 1,300 metrów po nad powierzchnią morza.

Przed nami, jak okiem sięgnąć, pasma czarnych skalistych szczytów. Rzekłbyś olbrzymie fale świeżo zastygłej lawy. Śniegiem pokryty Lowcen (Święta góra czarnogórców) dumnie się wznosi nad niemi. Tam w oddali, niby olbrzymia tafla lustrzana, zawieszona wśród skal ponurych, jezioro Skutari, nad którym miasto tureckie tegoż nazwiska, siedziba nieprzejednanych muzułmanów i napół dzikich albańczyków.

Za nami wszystko tonie w gęstych chmurach, które, rzekłbyś, iż nas gonią, nieprzejrzystą mgłą zalewając świeżo przebytą drogę.

Od Kriwackiego Zdrzela droga wciąż na dół już biegnie. Koniki klusują rażno, na skrętach powóz się zatacza, ale przywykliśmy już do widoku przepaści, przytem poczciwy Hajdukowiec pozyskał zupełnie nasze zaufanie. W niespełna godzinę z wysokości paruset metrów widzimy już Cetynje, stolicę Czarnogórze, tego walecznego państewka, które swą niepodległość zawdzięcza hojnie na polach bitew rozlewanej krwi dzielnych swych synów.

DN

J. Jodko.



KSIĄŻĘ WALJI, następca tronu angielskiego.

DOKOŁA TRONÓW.

Z niebywałym przepychem ma odbyć się za miesiąc kilka, w lecie, koronacja króla Edwarda VII. Przygotowuje się do tej uroczystości nietylko dwór angielski, ale Anglja cała. Dziś już odbywają się pod okiem kilku mistrzów ceremonji próby przedwstępne rozmaitych epizodów koronacyjnego programu, bo odwieczny ceremonjal ma być do najdrobniejszych szczegółów ściśle zachowanym. Chciano też wznowić najbardziej tradycyjne stroje dla świty królewskiej oraz dla uczestników i uczestniczek koronacyjnych recepcyj. Gdy jednak przesłano wzory damom ze sfer wysoko urodzonych lub wysoko wyniesionych, damy za nie zgodzić się nie chciały na wystąpienie w taletach, okrutnie admwowanych za czasów—Tudorów i Stuartów. Tedy zgodzono się na pewne modyfikacje, a szkoda; ścisłość historyczna w historycznym kostjumie rzecz piękna i ciekawa, a przysłowie nie na wiatr powiada, że: «pięknej twarzy—wszystko do twarzy». Jedno z drugiem, obliczając asygnowane kwoty, kosza ogólne koronacyjne wyniosą oficjalnie, licząc na ruble, przeszło 30 milionów.

Wcześniej, niż król angielski, bo mniej więcej za trzy miesiące włoży koronę na głowę szesnastoletni król hiszpański i samodzielnie pocznie rządzić. Matka młodego króla, ciotka infantka Izabela, oraz ci wszyscy, pod których kierunkiem uczył się aż dotychczas i wychowywał Alfons XIII, opuszczają zaraz po koronacji pałac królewski, ażeby pozostać swobodnie, a zarazem usunąć podejrzenie co do jakiegokolwiek wpływu z ich strony na kierunek rządów. Tylko najstarsza siostra króla, następczyni tronu wraz ze swoim małżonkiem infantem Don Carlosem, pozostaną nadal w zamku królewskim, ponieważ według tradycyj hiszpańskich następca tronu musi się stale znajdować u boku króla.

Bo zawsze i wszędzie dookoła tronów—tradycyjna etykieta unosi się jak woń dookoła kwiatów. Oto np. odbył się świeżo w wiedeńskim Burgu ślub wnuczki cesarza z księciem Ottonem Windischgraetzem. Ponieważ matka jej arcyksięż-

na-wdowa Stefania, wskutek poślubienia hr. Lonyay, pod względem rang i tytułów nie należy już do rodziny cesarskiej, ponieważ własnej córce odjął król Leopold belgijski tytuł królewskiej wysokości, że na ślubie arcyksiężniczki Elżbiety, matka jej, hrabina Lonyay mogła być tylko w charakterze zaproszonego gościa—tedy do d. 27 stycznia arcyksiężniczka Elżbieta, wnuczka cesarza, zajmowała wśród dam dworu pierwsze miejsce. Ale z chwilą, gdy została żoną księcia Windischgraetza, utraciła to pierwsze miejsce i obecnie zajmuje—ostatnie wśród «królewskich wysokości» (bo tytuł ten został przy niej). Co zaś do małżonki austriackiego następcy tronu, hr. Chotkówny z domu, nadany jej tytuł księżnej Hohenberg nie upoważniał do zajmowania miejsca np. u stołu przy cesarzu, obiadującym w kółku rodzinnym. Dopiero w ostatnich czasach niepospolite jej przymioty umysłu i serca uczyniły wyłom w etykiecie, i dziś małżonka następcy tronu, aczkolwiek «unebenbürtig», ma miejsce wśród rodzinnego grona cesarskiego. Ale, rozumie się, ustępuje kroku małżonce arcyksięcia Ottona, Marji-Józefie królownie saskiej, która w chwili obecnej, po zamążpójściu wnuczki cesarza, pierwsza jest co do rangi damą na dworze Habsburgów.

Tymczasem zaś królowna włoska Jolanta, przeżyła jaknajpomyślniej siedm pierwszych miesięcy życia i zagadała «papa» i «mama». Uciecha ztąd wielka w Kwiryale, ale też zarazem powód do pocieszenia scyjsi między niańką królowny, angielską, miss Dickens i mamką królowny, włoską Cinti. Pierwsza utrzymuje, że to ona nauczyła wymawiać królowę pierwsze słowa; druga, nie bez racji, utrzymuje, że «papa» i «mama» nie są bynajmniej angielskimi wyrazami. A rzecz w tem, że obyczajem tradycyjnym, w dniu, w którym dziecko królewskie wymówi pierwsze słowo, mamka lub niańka otrzymuje wspaniały prezent. «Papa» i «mama» królowny Jolanty nie rozstrzygnęły kwestji. Ubawieni emulacją król i królowa, oraz grubo zainteresowane miss Dickens i signora Cinti, wyczekują niecierpliwie: w jakim też języku wymówi pierwsze wyrazy mała Jolanta. Jeżeli po angielsku—górą miss Dickens; jeżeli po włosku—otrzyma prezent wspaniały signora Cinti. W Rzymie kilku amerykańców założyło się już o znaczne sumy.

Sam król Wiktor-Emanuel, podobnie jak król belgijski, jest zapalonym automobilistą. I nie chce być dyletantem. Ostatnimi dniami złożył król jegomość formalny egzamin na palacza (chauffeur) przed komisją techniczną, i po wykonaniu arcyskomplikowanych manewrów automobilem, otrzymał patent cum *eximia laude*. Ma teraz «prawo» osobiście kierować automobilem po wszystkich szosach i drogach własnego państwa.

Do innego egzaminu przygotowuje się w New-Yorku członek japońskiej rodziny panującej, książę Yoszito-Yamanito. Pracuje tam w warsztatach kolejowych, jako zwyczajny robotnik, i z rozkazu mikada odbywa praktykę. Następnie przejdzie całkowity kurs inżynierskich nauk, aby, wróciwszy do Japonji, objąć stanowisko dyrektora departamentu robot publicznych. Mikado często gęsto

przywodzi na myśl Piotra Wielkiego. Przy całej jednak postępowości swojej, tradycyji rodzinnych pilnie przestrzega. Przed dwoma miesiącami składał uroczyste miecz w ręce 2-miesięcznego swego wnuka, księcia Michała, domniemanego następcy tronu, a obecnie z wielką uroczystością spożył tenże wnuk mikada pierwszą łyżkę ryżu. Obyczaj bowiem każe, aby następca japońskiego tronu był w stanie, mając dwa miesiące udźwignąć miecz, a mając miesiące cztery, zacząć jeść ryż. Otóż książę Michał z obu prób wyszedł zwycięsko. Udźwignął miecz przy bardzo tylko lekkiej pomocy obu mamek, a ryż spożył najakuratniej w obecności całego dworu.

Panna Alicja Roosevelt... Nie wiem czy na tem miejscu wypada o niej wspominać, bo, jak wiadomo, prezydent Roosevelt — rządzi, ale nie panuje — ale niech w przenośnym znaczeniu o «tronie amerykańskim» będzie mowa. Otóż panna Alicja ukończyła lat siedmnaście i wprowadzona została uroczystie — w towarzystwo. Pan prezydent wydał w wielkiej sali Białego domu przepyszny bal, na którym debiutowała piękna panna prezydentówna. Wypadek to dla amerykańskiego «high-liftu», bo ostatni taki debiut odbył się aż w 1873 r., gdy na widowni salonów występowała panna Nelia Grant. Przez lat prawie trzydzieści nie było balów i zabaw w rezydencji amerykańskich prezydentów. Debiut panny Roosevelt otwiera ponowną erę wielkich przyjęć, ugaszczą i fet. A że wspaniałe będą, obwieścił bal, o którym mowa. Prezydent Roosevelt wie, że w oczyma miljarierów byle jak wystąpić nie wypada.

Alf.

POLACY NA KRECIE.

W „Miejscach Katolickich“ zamieszcza ks. M. Czerwiński ciekawy opis swojej podróży na Wschód. Z opisu tego wyjmujemy niektóre ustępy o polakach na Krecie.

„Z Kanei — pisze ks. M. Czerwiński — powozem w niespełna pół godziny stanąłem w Halippa, miasteczku, leżącym u podnóża gór Akrotiri. Wśród ogrodów, pełnych zieleni i kwiecia, widać piękne domki piętrowe, a także pałacyk ks. Jerzego greckiego. W jednym z nich, u pułkownika Urbano-wicza, gdym przybył, aby się pożegnać i podziękować za ułatwienie w spełnieniu mej misji, znalazłem nader miłe przyjęcie. Chociaż ożeniony z francuzką i w służbie wojskowej, nie zapomniał ani języka, ani tradycyji polskich, gdyż na me przyjęcie ukazały się jeszcze świąteczne polskie placiki i „baba“, z Odessy mu przysłała.

„Przed wyjazdem z Kanei, chcąc zatłoczyć jakiś sprawunek, w sposób zupełnie przypadkowy poznałem „rodaka“. Wskazano mi sklep p. Simboul, w którym mogłem znaleźć to, czego szukałem. Dziwnie mi brzmiało w uszach nazwisko owego kupca, wiele przypominające polski wyraz: Cymbał. Toż pół żartem, pół na serio, po polsku zapytałem: „Panie Cymbał, czy nie masz pan u siebie w składzie tego i tego przedmiotu?“ P. Simboul zrobił wielkie oczy i odpowiedział: „Nu, czemu nie! A żądam do jegomości przibit!“ „Żądam ja przybyłem, to mniejsza o to, ale żądam pan dostał się na Kretę?“ „Nu, ja ze Zbaraża“.

Tak więc nie zmyliło mnie przecucie, że pan Simboul był żydkiem Cymbałem z Galicji“.

Z Kanei ks. M. Czerwiński udał się do Retymno.

„Stanąłem w rezydencji oo. Kapucynów, mieszkających przy pięknym małym kościółku. Przełożonym, a zarazem jełnym kapłanem katolickim w Retymnie był o. Gwido, kapucyn sycylijski. Niezmiernie ucieszył się moim przybyciem, mówiąc: „Bóg ojca do nas zesłał; mam tutaj wielu polaków, przybyłych z wojskiem rosyjskim, pragną się spowiadać, a ja ich nie rozumiem. Proszę zostać z nami parę dni i wysłuchać ich wielkanocnej spowiedzi“.

Ks. M. C. zgodził się i uzyskał na spełnienie obrządków pozwolenie z komendy wojskowej.

„Ledwie powróciłem z domu komendy do mieszkania oo. Kapucynów, gdy oto przyszedł jeden z żołnierzy, rodem z guberni lubelskiej. Przyniósł mi w podarunku od swoich kolegów chleb biały i, zrzucając się do nóg, zapłakał, że może ze mną w swoim języku porozmawiać. Niebawem drugi przyszedł i z radości również zaczął jak dziecko płakać: „Ojciec! wybaczenie, ale już nie mogłem dłużej zwlekać, aby was nie powitać i nie pogawędzić po naszymu“. Ten był z guberni warszawskiej. Za nim trzeci przyszedł, młodzianutki chłopczek, któremu za ledwie meszek zaczął się pokazywać na twarzy. Przyszedł pożalić się, iż od matki



ZAMKNIĘCIE DYSKUSJI.

Z prośbą o zamieszczenie otrzymujemy następującą: Odpowiedź p. Zdziańskiego na jego replikę w N-rze 48 „Kraju“ (str. 566) z r. 1901.

„Ponieważ wyczerpującej odpowiedzi mojej na zarzuty, czynione przez p. Zdziańskiego [recenzji o dziele „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej“, „Kraj“ z powodu jej obszerności drukować nie mógł — odpowiadając w kilku słowach. Myli się p. Z., twierdząc, iż nie przytoczyłem „żadnych argumentów“ co do pierwszego zarzutu (patrz str. 532, tam 1: trzy dowody). Kolessa bynajmniej nie przypisuje listowi L. Szymy w *„Dziejach odrodzenia naszej poezji większego znaczenia niż rozprawy Brodzińskiego, lecz stara się tylko dowiedzieć, iż list ów więcej wpłynął na kierunek twórczości B. Zaleskiego, niż rozprawa Brodzińskiego (i tu jednak niestety tylko „stara się“). Por. „Zapiski Tow. Szewczenki“, t. I, str. 134—145). Co się tyczy poglądów Arabażina na Brodzińskiego, to nie wytrzymują one ścisłej krytyki naukowej. P. Chmielowski w swej recenzji „uogólnienia“ Arabażina zalicza do takich, „które się robią pod chwilowym wrażeniem, nie zaś po dojrzałym namyśle“ i twierdzi, że „musimy (je) jeśli nie odrzucić, to znacznie w wielu miejscach zmodyfikować“ („Kwart. Historycz.“ VII, str. 668 i n.). Moje więc poglądy na list L. Szymy i rozprawę Brodzińskiego — *contra* p. Z. — są w zgodzie z poglądami tak Chmielowskiego (patrz też „Hist. lit. polskiej“, „Ad. Mickiewicz“, jak i Kallenbacha („Ad. Mickiewicz“, 1897, t. I, str. 85), hr. Tarnowskiego („Hist. lit. polskiej“, 1900, t. IV, str. 218), Brücknera („Geschich. der Poln. Litterat.“, 1901, str. 318) i in., nie są to więc „osobiste“ poglądy, jak mi to zarzuca p. Z. Zresztą też same zarzuty czyni p. Z. — mu i p. Wasilewski w recenzji jego „Pierwiastku“, w „Kurj. Warsz.“ (Nr. 16, 1902). Błąd popełnił p. Z., nie cytując w swej książce prac Kolessy i*

niema żadnego listu, choć dwa razy do niej pisał. Pocięzłem biedaka, iż matka z pewnością go kocha i o nim nie zapominała, tylko, że listy mogły nie dojść i t. p. Poczęli wypytwać, co się na świecie dzieje, co u nas w kraju, czy to sam Ojciec św. wyobrazi sobie, co działo się musiało w sercu, gdy się słyszało tak pocziwych rodaków daleko za morzami! Nader miłą rozmowę musiałem przerwać, bo zaanonsowano wizytę ośesera, przychodzącego z polecenia komendanta. Był nim nader sympatyczny litwin, nadporucznik Pisani, który tylko nazwisko nosi włoskie, zresztą nic w sobie nie ma włoskiego“.

„Gdy potem od ołtarza przemówiłem do obecnych po polsku, jak bobry poczęli płakać z radości i wzruszenia. Po nauce, jedni przycgotowywali się do spowiedzi św., inni głośno odmawiali litanję, nucili pieśń znaną „Serdeczna Matko“, lub w cichości modlili się po kątach. Żołnierze, korzystając z pozwolenia swej władzy, która ich zwolniła na czas ćwiczeń duchownych od ćwiczeń wojskowych, dzień cały przesiadywali w kościele. Od wczesnego ranka do południa, po obiedzie aż do wieczora w murach kościelnych rozlegały się pobożne śpiewy lub głos z serca płynących wspólnych modlitw“... B.

Arabażina, a zatem, wydając ich poglądy (odosobnione w naszej literaturze) za swoje.

Dla braku miejsca udowodniał me zarzuty tylko co do „Pożegnania“ Pola. P. Z. twierdzi np., iż ustęp: „Ale prędzej z szarej przędzy Srebrna nić wyplynie, Niż we swaty Do tej chaty Staś kiedy zawinie“ — „okazuje widoczną analogję pod względem myśli przewodniej z następującą strofą ruskiej pieśni ludowej: „*Vošny sestro pisku žmieniu, Posij jogo na kameniu... Koly sestro pisok žide, Todi brat twij z vijska pryjde*“ (str. 348). Zgoda, że to są „analogje“, ale czy to dowód, że przytoczona lub podobna jej pieśń ludowa, wpłynęła na odnośny ustęp utworu W. Pola? Jakże manato p. Z. dowody? Dlaczego ów ustęp nie ma być parafrazą powszechnie używanego przysłowia: „Prędzej mi na dłoni włos wyrośnie, aniżeli...“ Zdanie Chmielowskiego o książce p. Z., że „zestawienia są wogóle trafne i ogledne“, jest w zupełnej zgodzie z wypowiedzianem przeze mnie: *wogóle...* analiza akcesorjów... przeprowadzona została nader starannie i krytycznie i t. d. (str. 542, tom 3). Co się tyczy terminu „porównawczy“, to proszę porównać treść „Literatury powszechnej“ z treścią „Literatury powszechnej porównawczej“, zresztą wytlómaczenie terminu „porównawczy“ wogóle patrz w Baudouina de Courtenay: „*Nieskolko slow o sravnitelnoj grammatike...*“ („Zurn. Min. Nar. Pr.“, 1881, grudz.). Tenże sam zarzut czyni p. Z. — mu i prof. Brückner w swej recenzji („Przegląd Polski“, 1901, listop.). Nigdzie też p. Z. jednego poeę z drugim nie porównuje.

Co do tłumaczenia się z opuszczeń, to wygląda ono na *lapsus calami*: „zresztą ci ostatni (opuszczeni poeci) znajdują uwzględnienie w *uzupełnieniu...*“ jakie ukaże się w roku przyszłym“. Jak dziwnie brzmi owo „uzupełnienie“ wobec: „*żaden*“ z poeędz naszych „nie został pominięty“ (str. VI przedmowy)!

Henr. Ułaszyn.

Lipsk.

KARTON GROTGERA.

(Nasza Karta Albumowa).

Nie wszystkie jeszcze kompozycje rysunkowe Grotgera popularyzowane zostały za pośrednictwem wiernych odtworzeń... Wiele jeszcze rysunków „z pomiernej teki“ leży w zbiorach prywatnych lub spoczywa w muzeach, gdzie oglądać je mogą jedynie mniej lub więcej liczni zwiedzający. Między innymi, posiada kilkanaście kompozycyji Artura Grotgera Muzeum narodowe w Krakowie; niektóre z nich, sfotografowane, weszły już w skład mnogich „Grotgerowskich albumów“, inne nie wyszły dotąd nigdy za chleb muzealnej sali. Karta albumowa niniejszego numeru „Kraju“ otwiera jeden z kartonów Grotgera, przechowywanych w Muzeum krakowskim. Same stroje dwojga osób: „jej“ i „jego“ objaśniają, z jakich lat pochodzi kompozycja. Pamiątkowe to dziś dzieło sztuki posiada najcharakterystyczniejsze cechy Grotgerowskich utworów.

Ex libris

Wielkie biblioteki, a i mnodzy ludzie prywatni używają z dawien dawna, bo mniej więcej od jakiejś połowy XV-go wieku, dla znaczenia książek swoich: nie odcisków pieczęci, ale etykietek. Taki, nalepiany na kartę tytułową, albo na wewnętrzną stronę okładki, obrazek winietkowy, z emblematami, herbem i t. p., nosi tradycyjnny napis łaciński „*Ex libris...*“ takiego to a takiego pana, pani lub instytucyji“, to znaczy: „Z książki takiego to a takiego właściciela“. W ostatnich czasach poczęto z wielkim zapalem sporządzać sobie co najwymyślniejsze „*Ex librisy*“. Najznakomitsi malarze układają dziś takie etykiety dla wybrednych a zamożnych właścicieli księgozbiorów. Ten i ów zakłada u siebie bibliotekę jedynie dlatego, aby mieć arcy-artystyczne lub pomysłowe „*ex librisy*“. Inni znowu kolekcjonują *ex librisy*; np. hr. Westenberg w Monachjum posiada już kolekcję przeszło 18 tysięcy egzemplarzy. Jednym słowem: jesteśmy świadkami odrodzenia i tryumfu *ex librisów*. Czasopisma artystyczne pełne wzorów lub kopij przeslicznych etykietek książ-



kowych. Znaleźliśmy niedawno odtworzenie *ex libris'a* M. Kochańskiej, wykonanego dla niej przez prof. Hildebrandta. Kładziemy tu w małym zmniejszeniu ów charakterystyczny znaczek. Taką etykietkę noszą książki znakomitej — naszej — śpiewaczki.

NOTATKI.

Naukowe.

+ Korespondent nasz z Point-Loma (Kalifornia) pisze nam: „Oświata rozwija się bójnie na gruncie komercjalizmu amerykańskiego. Jednym z najnowszych jej objawów jest darowizna pani Stanford w sumie 25 milj. dolarów dla uniwersytetu w Berkeley w Kaliforniji. Wskutek tego uniwersytet berkeleyjski stanie się najbogatszą w swoim rodzaju instytucją na świecie i będzie wyglądać jak duże miasto — tyle w nim oddziałów, budynków, parków, ulic, tarasów kwiatowych i t. d., obejmujących całe wzgórze i całą przyległą dolinę. Wogóle Kalifornia teraz staje się niby ogromnem królestwem oświaty i poczyną sobie na wielką skalę. Ale i na wschodnim brzegu Ameryki rośnie potęga oświaty. Rockefeller prawie corocznie dodaje po milionie do skarbów uniwersytetu w Chicago. Słynny Carnegie dał 5 milj. w tym roku na szkołę politechniczną w Pittsburgu, w Pensylwaniji, i teraz ofiarował 10 milj. dla uniwersytetu w Waszyngtonie, który będzie miał obszerne laboratorja pracujące wspólnie z laboratorjami rządowemi. Samując razem wszystkie dary Carnegie'go dla szkół i bibliotek, w tym jednym 1901 r. otrzymały one 42 miliony dolarów z rąk jednej osoby. To przewyższa kilkakrotnie budżet państwowego na cele oświaty w wielu państwach europejskich. Og.“

+ Docent uniwersytetu petersburskiego, p. Stanisław Ptaszycy, zdał sprawę petersburskiej Akademiji nauk z poszukiwań naukowych, przedsięwziętych na zlecenie Akademiji w bibliotekach polskich. Ze sprawozdania tego wyjmujemy ciekawsze szczegóły: w Archiwum w Nieświeżu p. P. między innymi znalazł wydaną w 1564 r. książkę p. t.: „*Popis wojska ziemskiego wielkiego kniazstwa Litowskiego, kotoryje zbieralisia za ufałtoju sojuu gorodienskogo...*“ piered jego miłostiju panom getmanom panom Grigorijem Aleksandrowiczom Chodkiewiczom... czeresz służebnika jego miłosti Stefana Jakimowicza spisano“. Pominik ten p. P. uważa za bardzo ważny i zasługujący na najwyższe ogłoszenie. W bibliotece nieświeżkiej znajduje się też nieznaną dotychczas redakcją wierszowanej kroniki Strykowski, oraz kopia dziennika Samuela Maskiewiczza, ważna ze względu na spalenie się rękopisu tegoż dziennika w Petersburgu i zniknięcie innego egzemplarza z biblioteki Raczycyńskich.

+ Na ostatniem ogólnem posiedzeniu petersburskiej Akademiji nauk ogłoszono nazwiska

nowowyzbranych członków honorowych tej instytucyji naukowej. Należą do nich: król włoski Wiktor Emanuel, ks. Gustaw szwedzki, J. A. Zinowjew, poseł rosyjski w Konstantynopolu, E. Süss, prezes Akademiji nauk w Wiedniu, oraz profesor uniwersytetu berkeleyjskiego Scholler.

+ W Londynie ma być założona Akademia brytańska. W tym względzie złożona już została rządowi petycja, podpisana przez najwybitniejszych uczonych, z zakresu teologii, filologii, prawa, historii i t. d. Osoby podpisane mają zostać pierwszymi członkami Akademiji, która ma dzielić się na dwa wydziały: filozoficzny i nauk politycznych.

+ Aeronauta francuzki Castillone zamierza puścić się balonem przez Sacharę. Poprzednio jednak pragnie zbadać kierunek prądów powietrznych nad pustynią i dlatego z Algieru wypuści kilka próbnych balonów, opatrzonych automatycznym przyrządem do wyrzucania balastu, gdy balon dotknie ziemi.

Literackie.

+ Z Kurytyby piszą do nas: Niema miasta większego w Brazylii, któreby dziś nie znało nazwiska H. Sienkiewicza. Nawet tak niepokojna miejscina, jak nasza Kurytyba, mająca zresztą trzy wcale okazałe księgarnie, rozbrzmiewa pochwałami dla naszego mistrza, a okna wystawowe w księgarniach zapełnione są tylko naszymi poeędziami. Pierwsze miejsce zajmuje, jak wszędzie, „*Quo vadis?*“, dalej „*Cavalheiros do cruz*“, „*Com ferro e com fogo*“, „*Vamos com Elle*“ i t. d., a świeżo przybyła „*Rodzina Polanieckich*“ w języku portugalskim, bo we francuzkim widzieliśmy ją już dawniej. Wydawcą jest H. Garnier, nakładca i składnik w Rio de Janeiro na całą Brazylię i w Paryżu mający swój skład i drukarnię. Biel.

+ Z Poznania piszą do nas: Poseł Bernard Chrzanowski wygłosił dwa piękne odczyty o Wespiańskim w poznańskim Towarzystwie wykładów ludowych im. Mickiewicza. Prelegent w gorących i wymownych słowach scharakteryzował twórczość poeędy, podnosząc wysoko jego talent. Odczyty posła Chrzanowskiego wywarły silne wrażenie na słuchaczach i przyczyniły się bardzo do spopularyzowania nazwiska i dzieł twórcy „*Wesela*“ w naszym mieście. G.

+ Zagrzebski tygodnik ilustrowany „*Prosvjeta*“ rozpoczął druk powieści H. Sienkiewicza „*Potop*“. Tłomaczem tego utworu jest członek Akademiji południowo-słowiańskiej i znany pisarz August Harambasić, który również przetłomaczył „*Quo vadis?*“ i „*Krzyżaków*“. Przekłady te również nakładem „*Prosvjety*“ wyszły w roku przeszłym.

+ Czasopismo wiedeńskie „*Dr. Bloch's Oesterreichische Wochenschrift*“ Centralorgan für die gesamten Interessen des Judenthums“ (1901, №№ 14—21) umieściło bardzo staranny i dokładny przekład powieści „*Ismael*“ pani Janiny Baudouin de Courtenay. Przekład dokonała panna Mal-

wina Blumberg. Ta sama powieść w przekładzie rosyjskim ukazała się przed dwoma laty w czasopiśmie petersburskim „*Woschod*“.

+ W nowem czasopiśmie warszawskiem „*Naokoło Świata*“ podaje p. Aleksander Janowski ciekawe szczegóły o „*Meczezie tatarskim*“ w Winksznupin, pod Kalwarją, w gub. suwalskiej“. Z czasów, gdy osadnictwo tatarów na ziemiach polskich i litewskich od wieków przysporzyło wielki zasymilowanej ludności, powstały rodziny, nazwiskami swoimi po dziś dzień wskazujące swe pochodzenie, jak: Azulewicz, Achmatowicz, Ułany, Kryczyński; należą do nich i rodziny o czysto polskich szlacheckich nazwiskach, np. Jasiński, Baranowski, Smółscy lub Wilczyński. Zachowawszy, skutkiem odrębności religijnej, typ rasy, przyjęli nowi przybysze całą kulturę od braci szlachty, język, obyczaje i tradycję, czyli spolonizowali się zupełnie. Z pomiędzy kilku, przed wiekami wzniesionych meczetów, doskonale zachował się wspomniany właśnie meczet w Winksznupin. „*Ściany tej świątyni* — powiada p. Janowski — ozdobione są napisami z koranu, przylegają do siebie, wyhaftowane napisy wskazują, czyje zwłoki spoczywały w tych cawnach. Czytamy tam więc: s. p. Helena z Azulewiczów Smółska, um. d. 13 stycznia 1871 roku, lub s. p. Helena Achmatowiczowa — d. 1 października 1883 r.“. Na niewielkim omentarzu okazalsze groby zamężnych rodzin kryją szczątki Zuzanny z Ułanów Wilczyńskiej, rady dyrakcyi szczegółowej Aleksandra Ułana, Chadydy z Ułanów Kryczyńskiej, radcy i wielu innych. Przypomnijmy, że w tomie I „*Powiatu Oszmiańskiego*“ Cz. Jankowskiego znajduje się obszerna wiadomość o tatarach na Litwie.

+ „*Kraj*“ wśród gór Libańskich. Jeno nie ów „*Kraj*“, co go w ręku trzymasz, szan. czytelniku. Mamy potroszę wszędzie prenumeratorów i czytelników, ale w górach Libańskich — nie. Tylko zaczął tam właśnie imiennik nasz wychodzić, arabski „*El-Arz*“ (Kraj). Bo gdyż Libańskie zamieszkuje już dziś ćwierć miliona arabów, podległych Turcji, ale mających prawa autonomiczne, a jak obecnie i gazetę własną.

+ W wiedeńskim Związku pracy zagranicznej, na walnem zebraaniu z d. 10 stycznia, wybrani zostali do zarządu na r. 1902 ponownie pp. Alfred Szczepański („*Kurjer Warszawski*“), dr. Horowitz („*Daily Chronicle*“) i H. Greiml („*Hamburger Nachrichten*“). Delegatem związku na kongres r. 1902 został wybrany Alfred Szczepański.

Artystyczne.

+ W Zakopanem (d. 31 b. m.) zmarł rysownik i malarz, Ksawery Pilatti. Obrazy jego mniej były znane niż rysunki, zwłaszcza ilustracje do powieści, któremi przez długi szereg lat zasilał czasopiśma obrazkowe warszawskie. Mnóstwo wyszło z pod jego ołówka scen, ilustrujących wypadki chwili bieżącej, typów ludowych, wi-

zerunków, kompozycyji alegorycznych; nawet szkice humorystyczne dawał czasopismom Pilati. Między rokiem 1860 a 1880 nie było u nas, po za Andriolli'm, płodniejszego i popularniejszego ilustratora. Malował przeważnie obrazy treści religijnej lub kopie dzieł mistrzów. Pracowitym był niezmiernie; życie miał ciężkie; dusza to była zacna, ideałom holdująca najszlachetniejszym. Zeszedł ze świata w sile jeszcze wieku, w 62 roku życia.

+ Artysta-malarz Antoni Strzałcki wystąpił z wnioskiem, aby urządzić wystawę obrazów zmarłego niedawno Feliksa Sypniewskiego, z przeznaczeniem dochodu z niej na pomnik dla zmarłego i na założenie schroniska dla artystów. Na tenże cel p. Strzałcki gotów jest ofiarować 15 obrazów Sypniewskiego i 300 rb.

+ Niedawno w Londynie koncertował z wielkim powodzeniem rodak nasz, p. Leopold Godowski. Sprawozdawca londyńskiego czasopisma „Athenaeum“ z wielkim uznaniem odzywa się o grze artysty.

+ Posiadacz bogatych zbiorów pamiątkowych, p. Mathias Bersoten, ofiarował sekcji Chopina autograf walca (Op. 34 Nr. 1), własną ręką Chopina przygotowany do druku i licznym opatrzony poprawkami. Również z tych samych zbiorów sekcja otrzymała w darze list znanego muzyka Kalkbrennera, pisany do Chopina.

+ Znana pianistka Wanda Landowska kilkakrotnie wystąpiła z powodzeniem w Paryżu i zamierza tam jeszcze dać wielki koncert kompozytorski w połowie lutego.

+ Znany wydawca muzyczny w Medjolanie, p. Edward Sonzogno, ogłasza konkurs międzynarodowy na operę włoską w jednym akcie. Nagroda wynosi 50 tys. fr. Termin konkursu upływie z d. 31 stycznia 1903 r.

+ Zmarł we Włoszech Filip Marchetti, twórca oper: „Romeo i Julia“, „Ruy Blas“ i in.

+ W Saint-Cloud wybudowana będzie niebawem 45-metrowa wieża z porcelany, która ma przedstawić w bogatej polichromji motywy, zaczerpnięte z życia zwierząt.

+ Znany portrecista węgierski, który dawniej stale mieszkał w Polsce, Leopold Horowitz, maluje obecnie portret Franciszka Józefa.

+ Czasopismo medjolańskie „Lettura“ podaje wyciągi z listów Verdiego. Jeden z nich z r. 1876 w następujący sposób odzywa się o Mendelssohnie, Gounodzie i Chopinie: „Dopiero wtedy młodzieńcy zaczęli tworzyć rzeczy dobre, kiedy zrozumiał, że ci trzej ludzie nie byli genialni. Bo czyż to nie jest rzecz dziwna, że tylu kompozytorów odbiera sobie za wzór muzyki dramatycznej to, co wcale dramatycznym nie jest? Czy słyszeć, że w „Faucie“ Gounoda choć jedną nutę dramatyczną? Jest to piękna muzyka—niewątpliwie, jednak tylko dla salonu, nie zaś dla teatru“.

Teatralne.

+ W teatrze krakowskim wystawiono po raz pierwszy trzyaktową sztukę Gabr. Zapolskiej

„Mężczyzna“. Bohaterem jest cynik, uwodziciel, którego autorka odmalowała w najczarniejszych barwach. Sprawozdawcy dziennikarscy uznają tę sztukę za dzieło talentu, ale niektórzy zastrzegają się przeciwko tendencji utworu.

+ Malarnie i dekoratornie teatrów warszawskich rozpoczęły przygotowanie dekoracji i efektów scenicznych do fantazji choreograficznej p. t.: „Święta ognia“, M. Prażmowskiego. „Kurj. Teatr.“ donosi, że do tego utworu ś. p. Julian Maszyński wykonał pięćdziesiąt kilka oryginalnych planów kostjumów, przedstawiających typy polskie i węgierskie z XVI stulecia, nadto przeważną część postaci fantastycznych, zaczerpniętych z legend o nocy Świętojańskiej. Według tych artystycznych wzorów pracownia kostjumów przygotowuje zewnętrzną oprawę dla „Święta ognia“.

+ Wystawione w teatrze czeskim w Pradze „Karykatyry“ J. A. Kislewskiego, znalazły tam gorące przyjęcie wśród publiczności.

+ Śpiewaczka Janina Łukaszewska na scenie opery w Trjescie występuje z powodzeniem w rolach Amneris („Aida“) i Ortrudy („Lohengrin“).

+ W paryżkim Odeonie wystawiono po raz pierwszy napisaną przed 30 laty sztukę Anatola France „Narzeczona z Koryntu“, gdzie autor obrał sobie za cel nareklamować realną tragedię niezgodności dwóch światów: chrześcijańskiego i pogańskiego. Autorowi obecnemu w teatrze publiczność urządziła gorącą owację.

+ Nowy utwór sceniczny H. Sudermanna wystawiony został temi dniami w berlińskim „Deutsches Theater“. Tytuł: „Niech żyje życie!“ Jest to uszczeniowany romans, nawet mocno sentymentalny, z mnóstwem tyrad, rozwlekających akcję. Rzecz rozgrywa się w sferach arystokratycznych, w które wtargną stronnictwa parlamentarne. Powodzenie sztuki było dość mierne, ein Achtungserfolg, jak przyznają najżyczliwszą nawet krytycy berlińscy.

+ Dramat Pawła Heysse'go: „Maria von Magdala“, osnuty na tle biblijnym, zabroniła wystawić w Berlinie—cenzura.

+ Znana całemu światu, zarówno z piękności jak z przebogactwa toalet, tancerka Ottero, słynna la belle Ottero, pojechała z Paryża na gościnne występy do rodzinnego miasta swego—do Bolonji. I... wygwizdano ją niemilosiernie. W przyjęciu tem brał bardzo czynny udział rodak pięknej Ottero, Gabriel d'Annunzio. Nikt nie jest prorokiem między swymi—nawet piękna Ottero.

Nowe książki.

Wincenty Kosciakiewicz. „Poezje“. Warszawa, 1902, str. 104. J. Sikorski.

Tylko niepowodzone talenty pisarskie zdolne są wyrażać tego rodzaju niepodziękani. Jednemu z najwybitniejszych dziś beletrystów naszych, a zarazem publicyście hors ligne, przyznał nagłe chęć pisania—wierszem. I napisał tom poezji. Tom napisał nie tylko nie gorszy od bardzo dobrych poezji, ale napisad—bez prób, bez zaprawiania się, bez erogrywania się—rzeczy wprost zdumie-

wające, zwłaszcza wyrobieniem techniki poetyckiej. Toć przecie cały odrębny kunszt, który wyjątkowo tylko organizacje pisarskie z dziś na jutro opanować są w stanie. Bo że w poezjach Kosciakiewicza jest werwa, uczucie, dowcip, lub myśl głębsza wyrażona z miarą artystyczną—tego należało się spodziewać. Nie są to wcale aprygodne wierszyki, wokolicznościowe; to z głębi duszy tryskająca pieśń, rwąca się do poetyckiej formy i znajdująca odpowiednią. Dziwić się nie będziemy, gdy Kosciakiewicz na tym pierwszym tomie urwie pisanie poezji; ale też i dziwić się nie będziemy, gdy jako poeta zasłynie.

Jerzy Żuławski. „Prolegomena“. Uwagi i szkice. Lwów, 1902, str. 170. Nakład Tow. wydawn.

Jak sam tytuł pozwala się domyślać, szkice te mają głównie charakter filozoficzny, jakkolwiek autor znany jest ze swej działalności na niwie poetyckiej. Żuławski jednak, po za swymi utworami poetycznymi, jest umyślnym filozofem o zakresie metafizycznym, jest autorem monografii o Spinozie. W niniejszej książce, przedstawiając w ogólnych zarysach swój pogląd na świat, uczynił przed czytelnikiem „niejedno wyznaczenie wiary“, a ta wiara da się streścić w następujących słowach: Między poezją a filozofią nicma w istocie zasadniczej różnicy. Tak poezja jak filozofia jest wydobyciem z głębin ludzkiej duszy tego, co ona w sobie stworzyła lub przetworzyła, z tą atoli odmianą, że poezja powinna być odczuć, a filozofia, ponieważ się posługuje formą ściślego myślenia—rozumianą. Ale może być i naodwrot: można filozofię odczuwać, a poezję rozumieć. W poruszonych przez autora zagadnieniach prym trzymają kwestie literackie i artystyczne, a więc takie, jak znaczenie symbolizmu w sztuce, teoria „nagiej duszy“, etc. Palmę pierwszeństwa należy przyznać rozprawie o „Król-Duchu“, z porównaniem teorii Słowackiego z filozofią Nietzschego.

Jerzy Żuławski. „Opowiadania proza“. Warszawa, 1902, str. 221. Nakład T. Paprockiego i S-ki. Cena 1 rb. 20 kop.

Niepodobna streszczać zawartych w tym wytwornie wydanym tomiku opowiadań, gdyż jest ich aż siedmnaście; wystarczy ich ogólna charakterystyka, która bezwarunkowo wypada na korzyść autora. Opowiadania nie tylko wyróżniają się szlachetną formą, pięknym stylem i polączyną bez zarzutu, ale i treścią głębszą, przeważnie poczerpniętą z tajników duszy ludzkiej, z dziedzin walk sercowych, z „zatrutych kołaczów“ literatury i artystycznej doli—a raczej niedoli.

Kazimierz Wróblewski. „Kornel Ujejski“ (1823—1893). Tow. wydawnicze. Lwów, 1902, str. 306. Cena 2 rb.

Choć dopiero kilka lat upłynęło od śmierci twórcy „Skarg Jeremiego“, niniejsza książka jest monografią o nim względnie wyczerpującą: obejmuje ona w sposób naukowy i krytyczny całość życia i twórczości poety. Osnują autor na niedrukowanym materiale, poczerpniętym głównie z archiwum rodzinnego Ujejskich, z których rodzina wiązała go węzły pokrewieństwa. Zjad pierwszorzędną interes, jaki dla historyków literatury przedstawia ta książka, bo znajdują w niej niemało ciekawych a nieznanych szczegółów i do innych Ujejskiemu współczesnych postaci ze świata literackiego. W dodatku zamieszczono garść listów Ujejskiego, Szajnochy i Bohdana Zaleskiego.

Ks. dr. Stan. Narajewski. „Moralność chrześcijańska a etyka najnowsza“. Studjum. Lwów, 1901, str. 280. Gubrynowicz i Schmidt. Cena 2 rb. 20 kop.

Obalid moralności chrześcijańskiej, a na jej gruzach zbudować etykę niezależną, oto—zdaniem autora—hasło ruchu umysłowego w dobie najnowszej. Racjonalizm, a po nim materializm i ewolucjonizm przygotowały umysł ludzki do walki tego rodzaju, a dziś etyka najnowsza unicestwia wszystko i chce być „cieniem tego, czego naucza Kościół Chrystusowy“. Studium niniejsze, w którym autorowi chodziło o korzyść po-danie nauki moralności chrześcijańskiej odnośnie do etyki najnowszej, jest apologją nauki kościelnej, przyciem autor—profesor nadzwyczajny uniwersyte-

tu lwowskiego—stara się „sprzedmiotowo“ poddać krytyce hipotezy, przeciwnie moralności chrześcijańskiej.

Sewer (Ignacy Maciejowski). „Ponad siły“. Powieść. Warszawa. Nakład Tow. art.-wydawn. 2 tomy. Cena 2 rb.

W ostatnich powieściach swoich obrał autor „Nafity“ przeważnie motywy z życia współczesnej Galicji. Niniejsza powieść osnuta jest na tragicznej historii Stanisława Szczepanowskiego i słynnego procesu z powodu nadużyć w lwowskiej kasie oszczędności. To też, dla wrażliwych, wszystkie postacie powieści tej, malowane z natury, mają urok dobrych znanych.

Teresa-Jadwiga. „Krzywousty“. Powieść historyczna dla młodzieży, z 4-ma rycinami M. Kotarbińskiego. Petersburg, 1901, str. 403. K. Grendyszyński. Cena 1 rb. 20 kop.

Jak sam tytuł wskazuje, akcja tej powieści rozgrywa się za czasów Bolesława Krzywoustego, który też jest w znacznej części głównym jej bohaterem. Osią akcji jest walka z Niemcami na zbuntowanym Pomorzu, a jak wszystkie powieści Teresy-Jadwigi (panny Papi), tak i ta odznacza się wszystkimi cechami, które ją dla młodzieży naszej czynią wysoce zajmującą i pouczającą. Szczególniej to dziełowe i charakter epoki odmalowane tu zostały bardzo starannie i trafnie.

Barry Pain. „De omnibus by the conductor“. London. Fisher Union.

Oto pełna humoru książka. Zawiera ona obserwacje i psychologiczne uwagi konduktora, który nieco przecenia swoje znaczenie i pełen jest głębokiej pogardy dla ludzkości, reprezentowanej przez pasażerów omnibusowych. Konduktor posiada dużo dowcipu i jego wnioski o ludziach na zasadzie drobnych okoliczności, które obserwuje podczas sprawowania swoich obowiązków, posiadają dużą trafność i nie pozbawione są pewnego sensu filozoficznego. Utwór napisany jest z wielkim talentem.

N. Kariejew. „Istoria zapadnoj Jewropy w nowoje wremia. Tom IV. Pierwaja tret' XIX w. Kon-sulstwo. Imperia i restauracja. Izdanie 2-oe. Petersburg, 1901, in 4-o, str. 645.

Imię autora i szybko wyczerpanie wydania pierwszego niniejszego dzieła, wyobchodzące obecnie w powtórnym wydaniu, mówią same przez się o wartości niniejszej pracy, zawierającej opis zdarzeń historycznych pierwszych trzydziestu kilku lat ubiegłego stulecia. Niezmiernie zajmująca swoją opowieścią, obfitująca w mnogie nieznane dotąd szczegóły, autor rozspociera na szerokim tle politycznym i socjalno-ekonomicznym, poświęcając specjalną uwagę robotowi kwestji włóściańskiej, zmianom w produkcji, kapitalizmowi, pauperyzmowi, sprawie robotniczej i teorjom socjalistycznym w objętym przez się okresie czasu.

Pp. wydawców i księgarzy, nadsyłających nam książki, prosimy o oznaczenie na nich ceny.

KARYKATURA POLITYCZNA.



Takich tylko, bez względu na „pocho-dzenie“, lubią Niemcy przybywających do nich obokrajowców! („Humorist. Listy“, Praga).

czytelnia

„Kraj“

Petersburg, 25 stycznia (7 lutego) 1902 roku.

№ 4

TREŚĆ:

LILI. Przez C. M. Marwicza.
JENÓY. Lucjana Rydla, streszczenie Stanisława Sierostawskiego.
ROK 1809. Powieść historyczna przez Wacława Gąsiorowskiego. (DC).
MIEOZ I ŁOKIEĆ. Powieść z wieku XVII, przez Wiktora Gomułickiego. (DC).
EUGENJUSZ ONIEGIN. Romans wierszem Aleksandra Puszkina, przekład Leo Belmonta. (DC).
DROBIAZGI.

C. M. MARWICZ.

L I L I.

Le Séraphin des soirs passe le long
des coeurs...
Les vierges au balcon boivent l'a-
mour des brises;
Et sur les fleurs et sur les vierges
indécises
Il neige lentement d'adorables pâ-
leurs.
Toute rose au jardin s'incline lente
et lasse,
Et l'âme de Schumann errante par
l'espace
Semble dire une peine impossible à
guérir...
Alb. Semain.

Wyrosła z niej—mawiała matka i ojciec i siostry i bracia—dziwna dziewczyna.

Nic tam tak dziwnego w niej nie było; miała szesnaście lat, zielonkawo oczy, włosy czarne, rumieńce żywe i pleć niezwykle białą; po przez alabastry te świeciło się coś, błyskało raczej, niby płomyk: jej dusza.

Tylko tyle.

Oto wieczorem pali się duża lampą nad dużym stołem w jadalni; pannie siedzą dookoła stołu, z robotką każda.

Lili tylko oddawna porzuciła swoje wyszywanie, chodzi po sali, nie mówi nic i latwo by spostrzedz, że «jej coś jest»—tylko, że nikt na nią nie zwraca uwagi.

Jej tak często «coś jest»—i ona sama nie wie co.

— Lili, ty nic nie robisz... chodź tu i potrzymaj mi z tej strony...

niepodobna tu odpuścić!—odzywa się Zosia.

— Rzućcie wy tę robotę!

— Dobraś! ty swoją rzuciłaś i już się nudzisz...

— A tak.

— To weź coś do roboty.

— Kiedy ja się i tak dosyć nudzę.

Marcia roześmiała się; Zosia wzruszyła ramionami:

— Nie rozumiem.

— Oczywiście; wszyscy zawsze nic nie rozumieją. Każdy rozumie siebie... tylko. A ja to nawet...

— Moja złota!—odzywa się pani Ludwika—tybys ot lepiej zamknęła okno w salonie... tam co chwila drzwi otwierają, a Jerzus śpi.

Lili idzie, nic nie mówiąc, do sali i nie wraca.

— Cóż? zamknęłaś?—pyta głośno z jadalni pani Ludwika.

Cisza.

Tam do sali przez okno otwarte wpływa noc ze światłem księżycowym, cisza i świeżość. Słowik śpiewa i zamierać zdaje się w tym śpiewie. Kwiaty pachną i zdają się splywać wonią, jak krwią człowieka, któremu żyły otwarto.

— Lili!—wola raz jeszcze pani Ludwika.

I nadstuchawszy chwilę:

— Mój Boże!—mówi, wstając—mówiłam wyraźnie: okno w salonie. Jerzus śpi; pewnie spotniały...

I pani Ludwika idzie sama zamknąć okno.

W otwartym oknie tam, w ciemnej dużej sali, siedziała Lili. Siostra z gotową na ustach wymówką a frazesem o śpiącym Jerzusowi, narażonym na przeciąg, szła ku niej—lecz poczęła wolno iść, stanęła i nie rzekła nic.

Księżyc oświecał błękitnawo profil Lili, która w tej chwili była ogromnie piękna. Właściwość tę miała piękniejsza—nie na godziny—lecz na chwile. Nagle gasła w niej ta piękność i znów była taka, że nikt nie dopatrywał w niej ani piękności, ani brzydoty.

— Co tobie, Lili?—innym głosem spytała siostra.

Lili nie odpowiedziała nic; oczy pani Ludwiki spotkały się z jej sze-roko rozwartymi źrenicami—a spojrzenie szklanych oczu Lili było bez wyrazu, bo wewnątrz szło.

— Co tobie?—powtórzyła pani Ludwika.

Jednym rzutem Lili znalazła się po tamtej stronie okna. Chwyciła się obiema rękami za głowę; postać jej w kręgu księżycowego światła zarysowała się jasna jak duch, a cień czarny, splywający z niej smugą nieskończenie długą, zdawał się realniejszym od niej i barwniejszym.

— Ach! jacy wyl!...—zawołała biegnąc w sad. — Jacy wyl!... Taka noc...

I Lili wybuchnęła łkaniem; znikła w ogrodzie; tylko przez chwilę jeszcze pełzł po żwirze czarny jej, długi cień.

Zamknawszy okno, pani Ludwika wróciła do jadalni.

— Lili dziś znowu taka—rzekła krótko i zrozumieli ją wszyscy.

Lili tymczasem okrążyła ogród i, blada nieco, usiadła na stopniach dużego ganku, na froncie domu.

Cień jej położył się teraz przed nią, a ona siedziała cicho, z tym swoim na twarzy wyrazem skupienia kogoś, co słucha niedosłyszalnych, wewnętrznych głosów.

Puszczyk odzywał się z ogrodu, sowa kwiliła w spróchniałej lipie i śpiewał słowik.

Cicho, bo prawie bez turkotu zatoczył się przed ganek mały kabrylecik—i wysiadł zeń człowiek młody i piękny, wyrafinowaną ową pięknoscią ludzi inteligentnych, o twarzy delikatnie rzeźbionej a wyrazistej, co to się przysnąć może, co to jakby zbyt wyrazista i rozumna.

A Lili wstała jakby odruchowo, poszła wprost do konia i nie podnosząc oczu, poczęła głaskać po szyi swojskie zwierzę.

— Dobry wieczór, panno Lili! A to dla konia mego dziś wszystkie laski? Taak...

Mówił do niej tonem, jakim przemawia dobry znajomy do faworytów domu.

Lili nie odrzekła nic. On zbliżył się ku niej z ręką wyciągniętą do powitania, z uśmiechem na ustach.

Wówczas Lili zwróciła się ku niemu twarzą i podniosła oczy, oczy nieobecne, które na ludzi patrzy, jak w próżnię — i mówić poczęła szybko, szybko giestykulując nie rękami, ale paluszkami tylko, bo trzeba jej było powiedzieć coś subtelniejszego, niż słowa mowy ludzkiej, coś, czego dość dobrze wyrazić nie umiała.

— Niech pan powie, czy bywa kwiat... taki kwiat w pączku, zamknięty, bez woni... słońce grzeje, a on nic... ale od księżycy, od ciszy, otworzy się nagle i zakwitnie i rozplacze się sam od rosy, a za nim wszystkie kwiaty... i — czy od księżycy rozkwitają kwiaty, niech pan powie?

Pan Stefan dalekim był w tej chwili zarówno od kwiatów, jak od księżycy. Często tak wieczorem wpadał na parę godzin pogawędki z sąsiadkami. Znał Lili i jej «dziwactwa»; miał ją za «gorzkie» dziecko, lubił, ale dziś nie czuł się usposobionym do gawędy z «małą».

— Pani, panno Lili, jest właśnie najlepszym dowodem, że kwitnąć mogą w księżycowym świetle bardzo piękne kwiatki — zażartował. — Gdzie są panie?

Więc nikt z nią dziś mówić nie będzie — nikt? Jak zawsze. Coś jakby odruch gniewu przemknął po jej duszy i rzekła:

— Wszyscy w jadalni. Pan myśli, że ja «takie dziecko», że ja — nie wiem!

Oczy Lili zwróciły się znów na wewnątrz i błysły.

Służący zabrał konia i okrycie gościa, który za Lili przez ogród i werandę szedł do pań.

— Wiem, wiem, wiem — mówiła Lili wyciągając rękę w stronę parku, zalaną czarnymi cieniami i bladym światłem księżycy — wiem, co robią kwiaty w noc taką... wiem o czym śpiewa on... wiem wszystko. Noc po cichu gada, a ja słucham, słyszę i rozumiem! To nie żart, to prawda. Ja dziś, jak kwiat rozkwitłam od księżycy... i od tego wszystkiego... Ja wiem, co we mnie jest, ja wiem... i co w panu jest, panie Stefanie, wiem też.

A słowa ostatnie mówił już przez usta jej i oczy drwiące — szczery lobuz.

— Nie może być! — zaśmiał się gość, ubawiony tym zwrotem.

— Wiem, wiem! Pan kocha się w Zosi. Pan ożeni się z Zosią. To jest zupełnie zwykła rzecz.

W tonie ostatniej uwagi była spora doza lekceważenia. Nie trudno było przeniknąć zamiarów młodego panicza, co od kilku już mie-

sięcy wyraźną odprawiał asystę przy jednej z dorosłych panien domu — ale panu Stefanowi Lili wydała się teraz daleko bardziej interesująca, niż gdy przed chwilą mówiła o kwiatkach, co budzą się w noc księżycową.

Spojrzał też na nią uważnie i ciekawie:

— Prorok z pani — rzekł — tylko czy się proroctwo spełni?

— Spełni się, spełni! Niech pan tylko raz jeszcze spyta wyraźnie Zosię, bo mnie już to nudzić zaczyna!

Byli u schodków, prowadzących na werandę. Lili zwróciła się nagle i odeszła w stronę alei. Pan Stefan wszedł do sali.

«Dziś oświadczę się» — powiedział sobie, wyjeżdżając z domu, i powtórzył to sobie teraz po raz może dziesiąty. Ożenić się chciał i wydawało mu się rzeczą najstosowniejszą i najmilszą ożenić się z tem miłym, ładnym, serdecznym stworzeniem, jakim była Zosia. Wierzył święcie, że jej z nim będzie dobrze i — jemu z nią.

Więc też oświadczył się tegoż wieczora — i Lili, wracająca do salonu z przechadzki po ogrodzie, trafiła na scenę familijną.

Przybycie jej obniżyło uroczysty nastrój chwili, czemu rad był pan Stefan niezmiernie.

Ale Lili miała nicobecne oczy i była blada.

— A panna Lili przyjmie mnie za brata? — zwrócił się do niej wesolo. Obudziła się, jak ze snu.

— Al.. zenią się. To zwyczajna rzecz!.. zawołała, jakby z urazą, do całego świata, że był «zwyczajny». — Czyż nie kochacie się? — spojrzała badawczo — o! nie tak jak kwiaty na łące... wy... Ach! jabym nie tak, zupełnie nie tak kochała!

— A jakżeby kochała panna Lili? — Brednie! — burknął Tadek, strzepując popiół papierosa.

— Jakżebyś ty kochała? — spytała Zosia, biorąc ją pod ramię i patrzając jej w oczy z uśmiechem. Była szczęśliwą i musiała być dobrą.

— Jabym poszła sobie daleko, daleko, gdzie niema nikogo... i nie szlabym za męża, broń Boże!

— Roześmieli się wszyscy. — Dlaczego? — spytała dość naiwnie Zosia.

— Bo to mitręga. Któż kwiatom daje ślub w noc taką? A jednak ja się domyśliłam dziś, że one też kochają. I — jeśli był gdzie taki duży kwiat, coby mnie kochał... Szkoda!

— Znajdzie się, znajdzie taki kwiat — zażartowała Janka — bądź tylko cierpliwa, poczekaj latek parę.

— A tak! umrze we mnie to wszystko, co dziś się obudziło, umrze i będzie zapóźno! — ożywiła się Li-

li. — Będzie zapóźno! Pszczoła nie czeka, miód zbiera — i dobrze robi. Dobrze i jej i kwiatowi, że słodycz nie idzie na marne. Ja czuję, że mnie teraz kochać warto i trzeba — bo kwiaty kwitną, bo tam noc... bo ja tak wszystko wiem... tylko powiedzieć nie umiem i powiedzieć niema komu... — dokończyła ciszej.

Pan Stefan słuchał jej — tylko nie miał czasu zastanawiać się nad tem dziwnym otworzeniem się duszy dziewczęcej, która, zbudzona, buchnęła tęsknotą i oglądała się za tym, któremuby słodycz swą, jak kwiat, oddała...

STRESZCZENIA.

LUCJANA RYDLA

„JENOCY“

[Autor «Zaczarowanego koła» wykończył nowy dramat trzechaktowy, który niebawem będzie wystawiony na scenach teatru krakowskiego i lwowskiego. Dramat pojawi się także w najbliższym czasie w wydaniu książkowym, nakładem krakowskiej księgarni D. E. Friedleina. Nowy dramat, osnuty na ła walk słowiańsko-niemieckich w X-ym wieku, obejmuje trzy akty i napisany jest wierszem. Streszczamy go z rękopisu.]

Po przez kratę drewnianej bramy, zamkniętej warowne grody margrafa Hadona, tęsknie wyglądają dwie niewolnice, kneziowski córki, w daleką puszcę, otaczającą gród dookoła, na dymy pożarne, buchające tu i owdzie na widnokręgu. Od kilku lat patrzy tak tęsknie w kraj swobodny, uwieczony w margrafowskim dworze, zmuszone do posług wszelakich, narażone na srogość swego możnego pana i jego pacholków.

Jeszcze nie zapomniali chwil, spędzonych w rodzicielskim domu, nie zapomniali owej strasznej nocy, kiedy orężni Niemcy, od stóp do głów w stalowe zbroje zakuci, napadli biały dwór, wyrznieł w pień obrońców, rozniecił luno pożarów, a biedne dzieci powlekli w niewolę: na lzy, na żnój i głód. Nie zapomniali! W oczach młodziej, Wichny, wciąż jeszcze tkwi ten straszny obraz, wciąż bluzga czarna krew, a płomienie pną się po ścianach w dymów zawierusze. I teraz, gdy w zgrzebnych koszulach, od samego rana przykute łańcuchem, który w ciału się wpija, muszą obracać żarno i warzyć strawę wojownikom, myśl ich wraca znowu do wspomnień przeszłości. — Młoda Wichna na nowo przeżywa ból i strach, z obłędem w oku wpatruje się w dalekie pożary, bo o bliższych, które widziała, zapomnieć nie może. Napróżno pociesza ją starsza Swityna i cudny obraz roztacza przed jej oczyma, obraz kraju, kiedy bóg Światowid powiódł smętne duchy, w on dzień wyszły z ciał. Tam dąbrowy wiecznie się zieleńią, tam duchy z lukiem, z pękiem strzał, pod wodzą boga o czterech twarzach, idą na łowy, tam czeka wiecznie zastawiony stół i «złocista rzeka, słodkie miody cieka, tam urodne dziewczki i białogłowy z kądziela w rękę wiecznie się weselą».

„a wśród nich Marzana,
bogina zadumana,
siedzi milcząca, niema,
między córkami dwiema
i włos im czesze płowy...
To kraj Dziw-Cud! Kraj nowy.

A kiedy Wichna słyszy, że to kraj, kędy Niemców niema, radaby biegnąć ku niemu. Swityna uczy ją, że droga do niego daleka; trzeba w pierw zmartwić i zgorzeć na stosie, aż duch uleci w dymie. Wtedy dopiero pójdzie w daleką drogę po przez dolinę wiecznych snów, gdzie nawet wicher drzemie, przez siedem cichych wód i siedem gór, przez morze wielkie, gdzie Wodnice śpiewają, a stary Nija, przewódca dusz skrzydlaty, wiedzie je po młóście z jasnej tęczy. Tam dopiero leży kraj Dziw-Cud, a przodkowie i ród cały witają przychodnia.

Tak rozmawiają dwie siostry, pocieszając się w niedoli nadzieją przyszłego szczęścia. Ale czujne oko srożej żony Hadona dostrzegło już karygodne próżniactwo i rozmowy; Gerta wybiega z dworca, a pas rżemienny świszczy, siekąc ciała niewolnic. Równocześnie grzmia z oddali trąby, zbliża się głuchy tupot końskich kopyt, wreszcie brona podnosi się zwolna. Wjeżdża garść rycerzy niemieckich, pokrytych krwią i kurzawą, u siodła Hadona, przytroczony na pętli za szyję, wlece się siwowłosy ślepiec, lirnik Dembiec. Zmęczony Hadon pokrępił się napojem i chce zdjąć ciężką mu zbroję. Zbliżyła się Wichna i przykłęka, aby odpiąć nagolenniki, ale na widok krwi jęk wydobywa się z jej piersi. Hadon odraca ją brutalnie, odpycha też Switynę, która biegnie zastąpić siostrę, i odchodzi do wnętrza dworzyszca.

Siostry znowu zostają same. Nagle w piersi Swityny zbiera boleść, kłęka, chwytając garść ziemi, obiema rękami wznosi ją wysoko ponad głowę, a z ust wydzierają się straszna klątwa. Ze zbiełała twarzą i rozplamionymi oczyma, ochryplym głosem wyrzuca te słowa:

Ciebie wołam, Pioruna-Bożyca,
na ich głowy czerwoną rzucię grom:
Słysz, Pomoro, śmiertelna Bogina,
trupa rękę swą kładź im na lice!
Słysz Martwico, nocna Upiorzyca,
przyjdź i serca ich wyrzeź, o sina!

I dalej płynie straszna klątwa, a ostannie jej słowa powtarza stary lirnik Dembiec, rzucony przez zwycięzców na ziemię w głębi, u bramy. Dziewczęta na głos jego obracają się, chciałyby może pobiedz ku niemu, ale rozkaz pana, który rycerzy do jada przyzywa, wola je do pracy i posługi.

Po chwili (akt II) dziewczyny powracają na podwórze i, pozierając ciekawie ku starcom, zaczynają sobie powoli przypominać, że kiedyś już widziały tego lirnego starca, jego zwiędłe lice i rozwichrzoną siwą brodę. Tak, to on, ten sam, który przychodził niegdyś do rodzicielskiego dworca, radośnie witany, kiedy gorzała sobótka, a powietrze rozbrzmiewało okrzykami: O Łado, Koldo, Kupalo! Ten sam, który smętne pieśni śpiewał na lirze.

— Pamiętam i lirę i dziada — mówi Wichna. — Myślałam, że w lirze tej drzewie zamknięta jest dusza, co smutek i

ból srogi cierpi, a dziad, kiedy gra — to ją męczy.

Podchodzą do dziada, podają mu napój w glinianem naczyniu, aby pokrzepić jego siły, a potem pytają: Kto wy, starośku biały? A dziad zaczyna opowiadać o kolejach swego życia. Do krwi schodził bosa nogi w długiej wędrowce po światach, nie bacząc na deszcze, ni spieki; wszędzie witają go mile, a on śpiewa i śpiewa, i płacze i śpiewa to, co lud w swem sercu czuje. Pieśń jego potężna brzmi, jak szum puszcz, to znów jak głos jakiś wysniony, to jak płacz sierot i jęk niewoli. Wspomina knezia Olszana, ojca dziewcząt, co kneziował moraczanom sławnie i na którego dworcu niejedną miłą chwilę przepędził.

Opowiadanie przerywa Hadon, który, sklasyfikawszy pacholki z drugiego dziedzińca, każe wlec lirnika do szopy, aby męką i torturą wydobyć z niego zeznania. Obie branki tulą się strwożone do siebie, potem Swityna skrada się ku szczylinie w chruście i długo patrzy do wnętrza. Widzi straszne męki. Niemcy położyli starca na ziemi, powiesili za ręce i ciągną w górę na sznurach. Kość każda w nim zgrzyta i trzeszczy, ale starzec wciąż milczy, chociaż krwi czarnej krople wystąpiły mu na usta, a twarz skostniała od bólu. I Wichna zbliżyła się do szopy, a choć siostra odciąga ją i ostrzega, że «nie trza przyglądać się męce», ona wpatruje się długo, a potem jak szalona, z oczami otwartymi od grozy, biegnie na oślep przed siebie.

Hadon przekonał się, że ni słowa nie wydobydź z ust starca, a chociaż ważne są to dla niego wieści, zkał i jacy wojowi ruszą się do boju, musi zaprzestać męczarni. Zemdlącego starca rzucają niemcy u studni i powracają do biesiady.

Pokrzepiony wodą przez dziewczęta, Dembiec dźwiga się i znowu opada, a potem nagle myśl jakaś budzi się w jego duszy, straszny okrzyk z ust się wyrwa. Życ chce, żyć, jeśli nie dłużej, to do wieczora, kiedy z borów rykną surmy bojowe, gdy w mroku zaśnie bronia i prysnie brona, chroniąca ciemiężców. A gdy dziewczęta pytają, co zna czy ta niezrozumiała mowa, podnosi się i zrazu stłumionym głosem, potem coraz głośniejszym zaczyna opowiadać.

Przez dżikie bezdroża puszcz, cicho, chyłkiem śpieszą, płyną, jako morze, mnogie oddziały słowian. Ruszyły się ludy hobolanów i sprewian z lesistej, jeziorami oblanej ziemi, od zachodu ciągną wojowie nieletyczów, od południa, od białego grodu Budziszyna idzie płowy ród milczanów, od wschodu lud zórawian chrobry. A na czele, zjednoczwszy mnogi lud, jak orzeł białopióry, niby jasny, świetlany miesiąc, wiedzie Mieszko polańskich wojowników «od Mogiła, ode Kniezna i z nad Gopla od Kruswicy». W Radogoszczy dali znak widuny, a na przybicy boga Radogosta wojenny ptak trzepoce, w rękach boga lśni topór w dzień i w noc, a święty jego łuk sam gnije się i rozpręga.

Dziewczęta z przerażeniem słuchają jego mowy, oczy ich boją się widoku rzezi, serce dygoce na myśl o mordzie.

Ale Dembiec nie skończył jeszcze. Teraz dopiero przechodzi do najważniejszej sprawy:

Idzie, idzie godzina
Wyczekana, jedyna...
Grojca-ż nikt nie podpali?

Waleczność słowiańskich narodów złanie potęgę wroga w otwartem polu, ale dworzyszca nie zdobędzie nigdy, zaś gdyby ktoś rozniecił o wieczorze ognie w dworzyszczu, podpalił tyny i brony, noga żywa nie uszlaby zagłady. W ręku cór Olszanowych pogrom wroga. One mogą to uczynić i dopomóż braciom swoim do zwycięstwa.

W sercu Swityny rodzi się wewnętrzna rozterka. Zrazu porwała ją żądza pomsty; teraz powoli budzi się strach o ukochaną siostrę i rośnie z każdą chwilą. Sama nie boi się śmierci, ale ta biedna Wichna czyż także musi ginąć tak młodo? Przypomina sobie, jak narażona była na wszystkie trudy i męki, na głód i niewygodę, byleby ukochanej siostrze zapewnić życie. Darmo Dembiec przedstawia jej własne cierpienia, opowiada o długiej tulaczce. Swityna ma jedną odpowiedź:

Nad rozwalony grojce on,
nad tej niemieckiej garści zgon,
milsza mi krew siostrzyni!

i wydziera się z rąk dziada, aby nie kusił jej, bo ona tej ukochanej siostry zabić nie może, ni wydać jej na mękę wśród pożaru.

Dzień coraz bardziej chyli się ku zachodowi. (Akt III). Pod studnią na ziemi leży Dembiec zrozpaczony, że dla oporu dziewczęcy przeminie oczekiwana godzina zemsty. Rozmawia z Wichną, która podbiegła ku niemu, stara się w jej sercu zbudzić pragnienie pomsty, z jej pomocą uzyskać cel upragniony. Ale Wichna na samą myśl o pożarze, przerażona zasłania oczy.

Z ust Demba płynie dalej dzika pieśń zemsty i nienawiści, wspomnienie lat dawnych, kiedy wrogowie nie rozpuszczali jeszcze swych zagonów po ziemi bujnej, mlekiem i miodem płynącej. I opowiada o cudach tej ziemi, gdzie na pastwiskach liczne pasły się trzody, a śpiczrze do syta przepełnione były zbożem, gdzie pieśń brzmiała przy żniwie i na łowach, i tęskna pieśń w długie wieczory zimowe.

Wichna zadumana się, marząc o tych wszystkich cudach, dopiero niespokojny głos Demba budzi ją z zamyślenia.

Mów słońce-l wysoko!
może zachodzi już?..

pyta starzec — a kiedy usłyszał, że nie zaszło jeszcze, zwolna przesuwa rękę po twarzy stojącego obok dziewczęcia i, czując świeżość i młodość, zaczyna wspominać o swej własnej córce, którą mróz śmierci zwarzył, zabrała Marzana do siebie.

W głowie starca zrodziła się już myśl jakaś straszna, słowa stają się niejasne, ale jeszcze walczy ze sobą. A kiedy Wichną roi dalek marzenia, jak we troje ze Swityną i dziadem pójdą na wolny świat, żyć w złotem skapanych lasach, kiedy pieszczotliwie tuli się do jego piersi, Dembiec nagle cofa się, twarz mu się mieni i wykrzywia, z oczu spływają wielkie lzy. Znowu zemsta gra w jego piersi, a z nią powraca pytanie, czy słońce jeszcze wysoko, czy nie czas do czynu.

— To już?! to już?!—szepce zdławionym głosem, kiedy usłyszał, że słońce, niby kula rozpalona, zapada się w puszcę. Stoi zdrętwiały i ostupiały, wodzi ręką po czole, poczem nawpół kłęcząc, nawpół siedząc, zwraca się ku Świtynie, która właśnie wyszła na podwórze, z ostatnią, rozpaczliwą, groźącą prośbą:

W tych rękę przeznaczanie—
Tam nasi... chwyć zarzewie...
czy w uszach masz kamienie?
czy ich nie słyszysz?... Pall!

Miej moc... miej moc...
Na niemców padnie strach,
to ich ostatnia noc,
śmierć na nich zwal!
W tych rękę przeznaczanie...
leć w ogniach, w skrach,
ciskaj płomienie
pod każdy dach...
pall! pall! Śwityna—pall!

A gdy Śwityna dalej wzbrania się uczynić zadość jego prośbie, Dembiec podnosi się straszny, z twarzą wykrzywioną wściekłością, chwytając za gardło siedzącą obok Wichnę, prawicą podnosi w górę ciężką lirę i całą siłą uderza w jej głowę. Wichna pada bez życia na ziemię, a Śwityna z rozpaczliwym jękiem rzuca się na ciało siostry. Potem, rozszalała bólem, idzie ku Dembcowi, rzuca mu się do gardła i dławii starca, który tylko zdławionym głosem szepce: «idź... pal grodyście... idź!...»

Równocześnie dokoła grodu rozlega się ogromny, tysiągłosy okrzyk wojenny. Dembiec, słysząc go, porywa się, chwytając Świtynę za ramiona i znowu powtarza swoją rozpaczliwą prośbę. Ale Śwityna, rozszalała śmiercią siostry, odrzuca go z przerażeniem od siebie i nie słucha jego słów błagalnych.

Zdała od ostrokołów dochodzi odgłos coraz żywszej walki, Hadon bez pancerza i hełmu rozstawia wojowników, którzy bezładnie tłoczą się ku ostrokołom.

Jeszcze raz Dembiec powtarza prośbę, nóż wpycha dziewczynie do ręki, aby krwią jego pomściła śmierć siostry, a potem z grodu stós pogrzebny jej zrobita. Śwityna porywa się teraz nagle i chwyciwszy płonąca żagiew, przebiega podwórze, ogarnięta szalem zniszczenia.—Dworzyszcze goreje z trzaskiem i hukiem, oblegający radosnym okrzykiem witają pożarną łunę, nareszcie Niemcy wypadają za bramę, aby się przetrząnąć przez nacierające tłumy. Wtedy Śwityna podnosi ciało siostry i wchodzi z niem powoli do gorejącego dworzyszcza, a równocześnie w rozwartej bramie staje Mieszko, młody kniaź polan nadgoplańskich, z dobytym mieczem w dłoni, a za nim wojownicy słowiańscy.

Stan. Sierostawski.

Rok 1809.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Wacława Gąsiorowskiego.

— Po co wam!... Nie lepiej doma siedzieć przy piecu... a nie na stare lata na mrozie się włóczyć!...

jemnie zdziwiony niespodziewanem spotkaniem.

— Widzisz waćpan! Góra z górą!... Weselisko, słyszałem!... che! che!...

— Tak... właśnie!...
— Ba! I cóż tu waćpan w tych stronach...?

— Pilne sprawy wypędziły mnie! Mus!

— Wierzę, wierzę!... Z lada powodu młodej zony-by się nie odbiegło! Rozumiem! Che! che!... Rudzki umie zmiarkować!... No! no! Teraz mi się waćpan nie wykrećisz!... Do licha, przecież przebiec do siebie pozwoleń!... Tyś wzrósł na personala! Phi... A ja skromny człek, ot ledwie się trzymam! Jeden w górze, drugi w dole!... Che! che!

Rudzki śmiał się sucho, ironicznie, mrugał mdłymi, świdrującymi oczkami i zapraszał Zabielskiego na poczęstunek. Panu Tadeuszowi nie sporo było. Rudzkiego znał dawno, lecz jakąś niewytłómaczoną niechęć do niego żywił. Rudzki był nawet podobno pilnym i zdolnym kancelistą, miał wielkie zachowanie u austrjaków, przeszedł wielu kolegów, a mimo to zginął był nagle z bruku lubelskiego. Powiadano wówczas, że jakiś ważny niezmiernie zajął przed nim otworem. Nikt wprawdzie nie umiał nie pewniejszego się dowiedzieć. Rudzki przepadł, zniknął bez słowa pożegnania. A że wogóle był nielubianym, więc nie troszczono się o kolega, ani nie starano się zajmować domysłami.

Pan Tadeusz odpowiadał oziębło na zapraszania Rudzkiego, lecz ten nastawał uporczywie:
— Nic nie pomożesz!... Gratka się trafiła!...
— Zdrożony jestem!... Do zajazdu pora!...

— Doskonale! Idę z waćpanem! Ja przecież także popasam tylko! A gdzie waćpan myślisz?...

— Ja do karczmy przy trakcie warszawskim.
— U Dzieciola?!... Che, che! Więc nie ma targów, bo i ja tam nocuję!

Tadeusz powlókł się niechętnie z Rudzkim. W drodze ten ostatni jął wypytywać Zabielskiego, zagadując niby niedbale:
— Więc... waszmości sprawa pilna dokuczyła tak?!

— Aha!... Po niewoli musiałem! Psi czas!

— Z Ostrowia do Radomia! Szmatał drogi!... Może wam wygodzić czem? Znam tu niejednego!

— Dziękuję!... Ja w okolicę!...
— Ja także!...

Pan Tadeusz zmierzwił niepewnym okiem Rudzkiego. Ten ostatni ciągnął dalej:

— A wy w którą stronę?
— Na lewo i potem przed się!— rzucił niecierpliwie Zabielski.

Rudzki zaśmiał się sucho.
— Che... che!... Coś jakby i ja.

Tadeusz zbył milczeniem odpowiedź Rudzkiego i przyspieszył kroku, aby prędzej zdążyć do karczmy. Rudzki wciąż dogadywał i rechotał półgłosem:

— Che... che... Burmistrz dobrodzieju! Gdyby nie dawna znajomość, myślałbym, że wam nie po myśli moja kompanja... Che... che!... Ja to rozumiem! Rudzki wie... Żona młoda, a tu bałamuctwo urzędowe... Co?... Ciężko było odjeżdżać... Co?... Che... che!... Znamy się na tem!... Ale, przecież macie komisarzem Molskiego. Da sobie radę! Daliż pan, nie w ciemę bity.

Zabielskiego ręka świerzbiała. Lecz chcąc uniknąć zajścia, usta zaciął i udał, że nie rozumie przy mówek.

Ale od Rudzkiego nie było tak łatwo się odczepić, jak mu się zdawało z początku. W karczmie dawny kolega przysiadł się na dobre do Tadeusza i na chwilę go nie odstępował. Zabielskiego to natręctwo zaczęło bawić w końcu. Coraz lepiej odcinał się Rudzkim. Ten znów zawsze miał na ustach ten sam śmiech nerwowy, nieszczerzy.

W karczmie było gwaro. Stoły obsiadały gromadki ubogiej szlachty, rozprawiając półgłosem. Kilku mieszczan kiwało się apatycznie nad dzbankami piwa—w rogu izby, na lawie; rozparło się trzech oficerów austriackich i hałaśliwą wiodło rozmowę. Niemczyzna raz po raz głużyła wszystkich. Szlachta niechętnie zerknęła ku mundurom oficerskim, mieszczanie poglądali z podłeba. Oficerowie nie zwracali na to uwagi i zachowywali się coraz wrzaskliwiej; każdy ich ruch, każdy wyraz mówili—my tu jesteśmy panami, my rządymy, my rozkazujemy.

Pana Tadeusza podrażniło to.
— Tamtych zdaje się, jakby byli sami!—zauważył niechętnie.

— Che... che!... Mości burmistrzu! Są tu jak u siebie... Prawda?... Czas na nich!...

Zabielski chciał przytwierdzić, lecz pochwyciwszy świdrujące spojrzenie Rudzkiego, umilkł.

Tymczasem z pod szynkwasy wysunął się na środek izby opasły tyk, i z oznakami zadowolenia zbliżył się do stołu Zabielskiego i Rudzkiego.

— Ja tu waszmościów szukam, a waszmość panowie akurat razem siedzą!...

Pan Tadeusz teraz dopiero poznął w przybyłym tyku, którego był się rozpytywał o konie.

— Za godzinę będzie bryka.
— To bardzo dobrze!—mruknął obojętnie Zabielski.

— Waszmość panowie...
— Ja tylko jeden!—przerwał Tadeusz.

— Kiedy bo... proszę waszmości... ten pan także przepytował się o konie do granicy... i wcześniej jeszcze. Bryki nie opłaciło mi się i dla dwóch wytaczać... ale kiedy znalazło się jeszcze dwóch innych...
— Nic nie rozumiem.

— Che... che!... Mości burmistrzu... Więc wy dokąd?

— Pod Warkę, w pilnej sprawie.
— Pod Warkę?... Patrzaj!... więc pojedziemy razem...

— A tamci dwaj jeszcze co za jedni?

— E!.. Biedota sobie... Zabielski chciał się wymówić, lecz Rudzki nie dał mu przyjść do słowa. Umowa stanęła, że za godzinę czekać będzie na rynku z końmi.

Po oddaleniu się lyka, Rudzki jął baczniej poglądać ku Zabielskiemu, a gdy ten zbywał go wciąż półsłówkami, odezwał się poważnie:

— Panie Tadeuszu! Coś mi waćpan krzyw? Dlaczego? Ja cieszę się wielce z kompanji takiej... Więc trzeba wam?...

— Pod Warkę!
— A może—dodał ciszej Rudzki—chcielibyście uniknąć na granicznej rogatce?...

— Uniknąć, czego?—odparł pewnym głosem Zabielski.

— No... widzisz waćpan. Czasy takie... Teraz może trudniej wyostać się. Żadają papierów...

Pan Tadeusz otworzył szeroko oczy.

— Waszmość dworujesz sobie ze mnie!

Ta prosta odpowiedź jakby zbiła z tropu Rudzkiego. Schylił głowę i z odcieniem uszanowania spojrział na pana Tadeusza.

— Darujcie—szepnął potulnie.

Zabielski machnął ręką obojętnie. Rozmowa potoczyła się dalej, lecz wolna już od żarcików Rudzkiego. Dyżma mówił teraz cicho, spokojnie, a szyderczy jego uśmiech zginął w skurezonych dziwacznie ustach.

Pan Tadeusz nie słuchał prawie wynurzeń Rudzkiego o ciężkich czasach, o krnąbrności szlachty, a o biernem zachowaniu się chłopstwa, które jedno bodaj umie ocenić dobrą wolę namiestnika austriackiego.

Noc już zapadła, gdy pan Tadeusz z Rudzkim usadowili się na bryce, szczelnie otulając się kożuchami. Przed nimi, około woźnicy, rysowały się dwa skulone cienie. Konie ruszyły. Bryka potoczyła się, zgrzytając łańcuchami i piszcząc obmarzniętymi piastami. Pan Tadeusz pogrążył się w zadumie. Rudzki

ważnie wpatrywał się w sylwetki nieznajomych. W końcu mruknął niecierpliwie:

— Ciekawy jestem, co to za jedni?

— A ci!... Cóż waćpanu po tem?
— Ba! Różni się teraz włóczą! Jeszcze pod granicą! Czasem dobrze wiedzieć!

W Jedlińsku, na popasie, podróżni wygramolili się z bryki, aby w przydrożnym zajeździe rozgrzać się i pokrzepić. Pan Tadeusz i Rudzki ruszyli żwawo naprzód i zasiedli do grzanego piwa w izbie gościnnej. Ledwie że się zdołali rozejrzeć, a z rozspania otrząsnąć, gdy weszli dwaj nieznajomi towarzysze podróży. Rudzki zerknął ciekawie ku obcym, lecz ci zasunęli się w przeciwny kąt i półgłosem zagadali z karczmarzem, nie rozpinając opiętych szczelnie kubraków i nie odwijając postawionych kołnierzy.

Pan Tadeusz mimowolnie spojrział ku obcym i zdumiał się. Twarz starszego wydawała mu się być uderzającą podobną do twarzy dziada, z którym przyjechał z Hły. Chciał się być właśnie swoim domysłem podzielić, lecz Rudzki ozwał się pierwszy:

— No, dałbym sobie rękę uciąć, że tym nie po myśli byłoby spotkać się z patrolem!

— Może!...

— Nawet zdaje mi się, że ja tych jegomościów zkaćdzi znam!

— I mnie także!

— Widzisz waćpan! Pozwól! Dowiedzmy się, z kim mamy do czynienia!

Tu Rudzki podniósł głos:

— Czołem waćpanom! Dokądże to panów ziąb taki pędzi?...

Starszy z nieznajomych poruszył się niespokojnie, a po dłuższej pauzie bąknął pod nosem:

— Ziąb, bo ziąb!

— Waćpanowie z daleka?

— Nie bardzo!

— Waćpanowie dokąd?

— Jedną bryką z waćpanem!...

— Może piwa z nami!...

— Bóg zapłać, mamy swoje!...

Rudzkiemu oczy zatliły się pono.

— Przysięgłbym, że to nielada ptaszkuwie!—szepnął do pana Tadeusza.

— Co nam do nich! W drogę nie wchodzą!

— Hm! Tego mało!... Pozwólcie... Muszę ja im zajrzeć w oczy!



W dwóch wielkich izbach stołowych, dwie kapele przygrywały naprzemian uczującym. Gdy jedna zmilkała, natychmiast odzywała się druga. Mury i okna na chwilę drzeć od hucznej muzyki nie przestawały.

Biesiadnicy, choć na starszyznę i młodzież podzieleni i przy dwóch stołach siedzący, mieli też samą wygodę. Pod dachem Drewny nikt z gości nie był pośledni.

W izbie wyższej uczującym zajmował się sam Melchjor z żoną; izba niższa była pod opieką brata Melchjorowego, Łukasza.

Oba stoły były zastawione złotem, srebrem i kryształami—cyny nawet na szarym końcu nie widziało. Olbrzymie serwisy zajmowały środek każdego stołu. Serwis na stole górnym wyobrażał świątynię z kolumnami alabastrowymi. Nakrywała ją kopuła złota w karpia łuski, nad kopułą rozciągały się białe skrzydła wielki srebrny orzeł ze «Snopkiem» królewskim w dziobie. Pomiedzy kolumnami stały ofiarnicze trójnogi szczerolote; na nich kryształowe naczynia na sól, cukier, pieprz, imbir i różne tłuczone korzenie. Wielkie, również kryształowe, amfory mieściły w sobie ocet i oliwę. Podstawę serwisu, na lwich łapach ze srebra opartą, stanowiła olbrzymia tafa szkła zwierciadlanego.

Serwis na stole niższym był nieco skromniejszy. Cały srebrny, przedstawiał altanę, której słupki schodziły się u góry, służąc za podstawę dużemu koszowi, pełnemu pomarańcz i cytryn. I ten serwis miał kopułę, na której, zamiast orła, królowała Syrena.

Drewno «Bogacz», a bardziej jeszcze jego dumna żona, zapragnęły owego dnia pokazać światu swe wszystkie skarby. Była w tem niezawodnie próżność, ale była przedewszystkiem chęć ucieśnienia siebie i innych widokiem rzeczy pięknych, kosztownych, trudem wielu lat zgromadzonych. Więc, zwyczajem owoczesnych krezusów, pootwierano drzwi wszystkich szaf, napełnionych drogocennymi naczyniami. Prócz tego na schodkach, umyślnie w głębi obu izb ustawionych, porozkładano wielkie misy, dzbany, puhanry, talerze, oraz cacka przeróżne, wszystko z drogiego kruszcza, wielce misternej roboty.

Drewno pewnie połowę fortuny w te «porządki» włożył, a fortuna jego była niezmierna.

Gdy oczy opatrywały i szacowały wystawione na pokaz bogactwa, myśl zwracała się mimowoli ku tej, co w przyszłości będzie ich dziedziczką. Ona była właściwą bohaterką dnia. Rodzice synów dorosłych biedzili się nad pytaniem: komu się dostanie ten kasek królewski, ta córka jedyna bogacza nad bogacze?

Hanusia tymczasem siedziała cicha, zamysłona, najzupełniej obca całemu widowisku, wszystkim żądzom, projektom, wyrachowaniom.

Sliczna, bladziuchna, ubrana białą, miała również białe na czarnych włosach róże. Inne dziewczęta zwiędziały się fijołkami, różami pasowemi—jej nawet do kwiatków różowych matka namówić nie mogła.

Czemś klasztorzem i czemś żalobnem tchnęła smukła, świetlana postać dziewczeczki.

W tłumie biesiadniczym niejedno oczy iskrzyły się, patrząc na Hanusię. Ale nikt pewnie tak pilnej i stałej nie miał na nią uwagi, jak gość dostojny, posadzony na pierwszym zaraz miejscu po doktorze Klementynie z Radziwia, któremu prym w zebraniu należał się *ex officio*.

Obecność tego gościa niejednego by zdziwiła. Wszakże to był we własnej osobie imię pan Zboiński, posektor z Węgrzynowa, niedawny adwersarz Melchjora Drewny!

Zkąd on wziął się na tem miejscu? Jakże prawa zdobył do atencji?

Nie animusz rycerski dziwy te sprawił, lecz—dyplomacja. Nie napróżno stary szlachcic spędził długie lata w służbie Boboli...

Zaledwie doszła do Węgrzynowa wieść o zjawieniu się Hanusi i ocknięciu Melchjora, natychmiast Zboiński zrozumiał, że sprawie inny obrót nadać należy.

Po krótkim namyśle, rozłożone na pulpitach foljały i kwartanty pozamykał, z szuflad powyciągał używane przeciw Drewnie kondemnaty, oraz wszelkie akta procesowe—związał to wszystko razem, ubrał się odświętnie i dosiadłszy konia, z pakunkiem swym ruszył do Starej Warszawy.

Konia zostawił w gospodzie; z papierami do Drewnów poszedł.

— Bóg was nawiedził, moi państwo — wyrzekł po przywitaniu — i mnie z wami po Bożemu poczynać wypada.

Rozwinął papiery, pokazał plik kondemnat.

— Co ziemskie—ze wzgardą do dał—niech idzie na ziemię!

I cały zwiłek pod stół rzucił.

Potem otworzył szeroko ramiona, uściskał Drewnę, jak przyjaciela, Drewnowej końce palców ucałował, mówiąc, że oboje uważa za

świętych — bo tylko świętym Bóg cuda okazuje.

Wreszcie poprosił, żeby pokazano mu Hanusię. Na czole dziewczeczki złożył ojcowski pocałunek; oświadczył, że do obojga rodziców uderzająco podobna,—żądał, by go uważała za przyjaciela.

Zakończył te wszystkie kordjalności pytaniem: czy kochani sąsiedzi pozwolą, aby im syna swego przedstawili?

Rumieniec oblał twarz Melchjorowej.

— Synaczek waszej wielmożności—rzekła rozpromieniona—spotka się pod dachem naszym z równą, jak jego ociec, przyjaźnią i estymą. Bezpośredniem tych odwiedzin następstwem była obecność obu Zboińskich na bankiecie. Ojciec królował w izbie górnej, między starszyzną; synowi dostało się miejsce nieco pośledniejsze wśród młodzieży.

Wyróżnienie starego szlachcica było dziełem pani Melchjorowej. Pełna próżności niewiasta, dostawszy w dom herbowego, czuła się tak szczęśliwą, jakby «Pana Boga za nogi chwyciła». Było między mieszczanami wielu znacznie przewyższających wartość Bobolinę poufnika—Drewnowa przecie uparła się wywyższyć go, i postawiła na swoim.

Za to przy drugim stole Melchjor okazał się samowładnym. Młody Zboiński posadzony został przezeń nietylko po wszystkich «gminnych», lecz i po obu braciach Dąbkach.

Zymnął się na to, zębami zgrzytnął, oczyma zamigotał. Przez większą część uczył milczał, topiąc wściekłość w kielichu. Potem zjadliwymi docinkami jął drażnić Krzysia.

Ale zatrute strzałki nie szkodziły młodemu mieszczaninowi. Nastrojony poważnie, przejęty smutkiem, nie czuł ich nawet. Od dwóch dni dopiero bawił w Starej Warszawie. Przybył w sprawach zarówno swoich, jak swego przybranego ojca, który miał tu domów kilka, oraz duże składy towarów. Zaliczony do mieszczanstwa warszawskiego, nie mógł się wymówić od uczestniczenia w uroczystościach, z obiorem nowego burmistrza złączonych.

Jadł mało, nie pił wcale—z bratem swym tylko półgłówną wiódł rozmowę.

Tymczasem z każdą chwilą ucsta bardziej się ożywiła. Niebawem można było powiedzieć, że bracia Dąbkowie byli jedyni z biesiadników, którym trunek głowy nie zamroczył. Poeta nie należał do tych, co za kołnierz wylewają, zwłaszcza gdy miał przed sobą wino tak wysokiej cnoty, zwykł był jednak w picie, jak we wszystkim, przestrzegać Horacjuszowej miary.

Drzwi, przedzielające obie izby, stały otworem; gwar jednej przepływał się do drugiej; dwa potoki wesołości mieszały się ze sobą, podniecając się wzajem. Mieszczanie, zwykle trzeźwi i, jak wszyscy handlujący winem, nie lakomący się zbyt na nie, teraz gęsto wychylali kielichy. I to należało niejako do regulaminu obiorczego.

W górnej izbie, mimo obecności niewiast, «pełne» szły za «pełnemi», przyczem stary Zboiński uważał za obowiązek pokazywać mieszczankom, w jaki to sposób należy obchodzić się z puhanem i szklenicą. Obudziło to chęć współzawodnictwa w młodzieży synach Starej Warszawy. Gdy ochota wzrosła, jeden z ostatnich pochylił się do Drewny i z uśmiechem fluternym zapytał:

— Ojcie radny! Pono nie zawadziliby «wiatraczek»?

Dostyszał te słowa Zboiński.

— Waszmoście tak zwać musicie jakowys fortel przy picie?—z nietaną ciekawością zagadnął.

W odpowiedzi Drewno skinął na jednego z usługujących, do ucha rozkaz mu posępnał.

— Za moment — rzekł, do gościa się zwracając—waszmość ów fortel obaczysz. Jest to — skromnie dorzucił — sztuka mieszczaniska; nie wiem przypadnie-li czyli do gustu szlacheckiego?

Gdy to mówił, sługa postawił przed nim wielki srebrny puhan kształtu osobliwego. Zboiński, niezmiernie osobliwoci takich ciekaw, prosił, by mu dano dziwne naczynie do obejrzenia. Do samych oczu je podniósł, przyglądał mu się długo z pilnością niezwykłą.

Puhan miał kształt sporego dzwona.

Na wierzchu dzwona znajdował się nadzwyczaj misternie wyrobiony wiatrak. Z okienka wyglądały głowy: młynarza w szlafmycy i młynarki w dużym czepcu. Oboje byli tłusci, uśmiechnięci. Po schodach szedł w górę młynarczyk, uginając się pod ciężkim worem zboża. Scenka była pełna życia i humoru.

Szlachcic, przypatrzwszy się, kielich oddał.

— Figla-m ciekawy — rzekł — a dojsć go nie moge.

Wiec kielich przeszedł w ręce sławetnego Raczkę, który był z rajców najjowialniejszy. Ten zażądał przedewszystkiem, aby mu przynieiono flaszkę co najprzedniejszej marmazji. Wino do kielicha wylał, potem przyłożył usta do malej rurki na brzegu puhanu. Dmuchał, i zaraz skrzydła wiatraczka obracać się zaczęły z cichym furkotem. Obracający się wiatraczek podał Zboińskiemu.

— Trzeba wino wypić zanim wiatrak obracać się przestanie.

— To potrafimy — zaśmiał się szlachcic. — Co przecie potem?

— Potem ono wypicie odzwonić.

— A czem-że?

— Czemże-by, jak nie dzwonem, co jest we środku.

— Uczyni waszmość *exemplum*—łączniej się pojmie.

Raczek gracko wywiązał się z zadania. Puściwszy w ruch wiatraczek, wino duszkiem wychylił, potem obróconym w dół kielichem potrząsnął i donośnie zadzwonił. Do dna kielicha było przytwierdzone szczerolote serce.

«Wiatraczek» doznał ogólnego powodzenia. Wszystkich wyśmienicie zabawił.

Gdy tak «góra» rozweselała się krotchwilami, na dole zbierało się na burzę.

Wichurze nie wystarczały już docinki. Odsunął się ze stolkiem swym od stołu i, nabrawszy w ręce galek z chleba, zaczął ciskać niemi w młodego Dąbka.

Krzyś chciał jeszcze i to w żart obrócić, ale w bracie jego, który był bardziej porywczy, zakipiał gniew.

Poeta wysunął się również ze stolkiem, zasłaniając sobą Krzysia.

— Dziw—w głos wyrzekł—że w domu sławetnego mieszczanina poczynają sobie drudzy, jak w gospodzie lub na leżach obozowych.

Konrad ucha nadstawił—uchem, rzec można, zastrzygł.

— Nie bakalarzom—przez zęby mruknął—sądzić obyczaje ludzi rycerskich.

— Karcie nieobyczajnych, rzecz właśnie bakalarska—poprawił tamten.

Zamigotały czarne oczy lisowczyka.

— Zapominasz waszmość—syknął, najęzając wąsy—że mówisz do szlachcica...

Petrus Quercus zaśmiał się głośno.

— Szlachectwo bez cnoty—z lyka forboty! — wyrzekł do siebie niby, tak przecie, że był usłyszany przez wszystkich najbliższych.

Wichura rzucił się na stolku, jak nożem żgnięty.

— Lyku! — wrzasnął. — Na cnotę, na klejnot mi następujesz!

Kapela w owej chwili grzmiała, głuszając słowa krzykacza. Inaczej sprawa przyjęłaby pewnie bardzo zły obrót.

Wielka ogląda, na Zachodzie nabyta, wstrzymała poetę od czynienia burdy. Odpowiadając, nietylko, że głosu nie podniósł, lecz owszem zniżył go jeszcze.

— Trunek waści zamroczył. Rozwagi ci brak i pamięci. Zapomniałeś, że gościsz w domu lyka, otoczony lykami; że wino i mięsiwo, któremiś tak hojnie pusty żywot naladował, tyk przed tobą postawił.

Niewiadomo, coby odpowiedział porywczy szlachcic — szczęściem, w teje chwili w obu izbach zrobił się rumor. Starszyzna podniosła się od stołu; młodzież pójść musiała za jej przykładem.

Tum rozdzielił i w przeciwnie strony uniósł zwaśnionych.

Dużo czasu upłynęło, zanim pomiędzy zmieszana drużyna ład zapanała. Każdy szukał właściwej kompanji, odpowiedniej rozrywki. Jednych ciągnęła poważna *de publicis* gawęda; innych krotchwilne przekomarzenie się z niewiastami; inni jeszcze szukali katów ustronnych do drzemki. Starszym białogłowom cisnęły się na usta utyskiwania na frasunki domowe; młodym drgały nogi do tańca.

Już też w obszernej bawialni obie złączone kapele usadowiły się na chórk i słodkimi dźwiękami fletów mile laskotały nerwy. Peki świec z jarzącego wosku rzucaly na wszystko żółtawe, drzące — rzekłby kto tańczące—światło. Podłoga, wodami pachnącemi złana, tchnęła wonią odurzającą.

Matrony zasiadły sznurem pod ścianami; przy matkach tuliły się córki dorosłe, jak kureczka przy kokoszach. Blisko drzwi jednych i drugich stali młodzieńcy, pomuskując czupryny, gładząc wąsa, wystawiając jakby na pokaz zgrabne buki na wysokich napiętkach z czerwonego lub złotego safianu.

Aby stało się zadość zwyczajowi, starzy rajcowie, podawszy rękę poważniejszemu męzatkom, wysunęli się na środek, aby przetańczyć «pieszkiego». Trwało to krótko. Niebawem męzatki znalazły się na dawnych miejscach; rajcowie cofnęli się do izb dalszych — kapela huczniej i skoczniej zagrała.

DCN

ALEKSANDER PUSZKIN.

EUGENJUSZ ONIEGIN.

ROMANS WIERSEM.

Przełożył

Leo Belmont.

31

©

List Oniegina do Tatjany.

Wiem naprzód—to szalony krok!
Wiem, że jest rzeczą nierozumną
Wyjawiać duszy swojej mrok;
Wiem, że jedynie wzgardą dumną
Zabłyśnie dumny Pani wzrok.
Ze gniew wywoła na Twe lica
Odkryta smutna tajemnica.
Choć do złośliwej wesołości
Zapewne tylko powód dam—
Lecz muszę uście dać miłości...
Choć czego żądam—nie wiem sam!

Przypadkiem ongi mnie spotkawszy,
Dałaś mi zairzeć w swoje serce;
Iskrę uczucia tam dojrzawszy,
Jam nie śmiał wierzyć tej iskierce!
Nie mogło być—przed duszą Twoją,
Bym swym zwyczajom folę dał,
A znowu—wolność nędzną swoją
Jam się utracić wówczas bał!
Jeszcze nas jedno rozłączyło:
Ofiarą biedny Leński padł;
Wszystko, co sercu miłem było,
Jam rzucił wówczas... uszedł w świat!
I obcy wszystkim w onej porze
I z niczem wówczas niezwiązany,
Wierzyłem, że do szczęścia zdolność
Zastąpić mogą spokój, wolność,—
Że one—szczęściem!... O mój Boże,
Jakżem za błąd ten ukarany!
Nie!... Iść za Tobą, jako cień,
Módz Ciebie widzieć co minutę,
Do ocz Twoich oczy mieć przykute,
Chwytać Twój uśmiech każdy dzień,
Przy Tobie uczuć własną małość,
Pojmować Twoją doskonałość,
Słuchać, co usta Twoje głomzą,
I każdy dźwięk tych ust pożerać,
I znowu słuchać, znów spojierać,
Przed Tobą pośród mąk zamierać,
Blednąć i gasnąć... to rozkosz!
I ja jej nie mam!... I w obłędzie
Napróżno Ciebie szukam wszędzie,
Dokąd iść każe przecuć głos,
Zawodnie szeptać: ona będzie!
Drogi mi dzień, godzina droga,
Bo dni me już policzyć los,
A mnie tęsknota dręczy sroga!
A ja czas tracę na szukanie!
Wiem: już niewiele pozostanie
Żyć mi... Zbyt ciężko płynie czas...
Lecz abym dłużej żyć był w stanie,
Muszę być pewnym w dnia zaranie,
Że w dniu tym ujrzę Cię choć raz...
Ja drzę, że w prośbie tej błagalnej
Dostrzeże Twój surowy wzrok
Chytrności nędznej zamysł walny—
I gniewem spłonie na ten krok.
O, gdybyś znała tę męczarnię:
Miłości ciągle czuć pragnienie,
Płonać — i myśla swoją karnie
Bez przerwy tłumić krwi wzburzenie;
I pragnąc objąć Twe kolana,
I pragnąc płakać u Twoich nóg,
Pragnąc Ci wyznać, ukochana,
Co tyłkoby wyrazić mógł, —
Wszystko udaniem w sobie zgnieść,
Wplecionym być w męczarne koło,
Chłód włożyć w oczy, w rozmów treść,
Z Tobą rozmowę lekką wieść,
Na Ciebie patrzeć się wesoło!
Więc niech się stanie; takiej męce
Już nie wydołam... Wolę cios!
Stało się: oto w Twoje ręce
Oddaję teraz cały los!

33.

Na list — milczenie... Drugi, trzeci
Śle... Odpowiedzi zawsze brak...
Wyszedł, na bal do klubu leci...
Ona! Wprost idzie... Da-ż mu znak,
Że cierpi?... Boże! jak surowa!
Nie widzi go, nie rzece słowa
Do niego... Chłód jej jeszcze wzrósł...
Z niej trzaskający wieje mróz!...
I powstrzymanem oburzeniem,
Zda się, uparte usta drżą...
On wzrok badawczy wlepią w nią...
Plam łzawych szuka z upragnieniem...
Litości cienia... Nic a nie!
Gniew tylko patrzy z onych lic.

34.

Widoczny gniew, — nie strach tajemny,
By nie zgadł z twarzy świat lub mąż,
Że jako strumień rwie podziemny,
Tak krew się skrycie burzy wciąż...
Oniegin z balu wnet ucieka,
Klnie szal swój, świata się wyrzeka.
Nadzieję stracił, przecie szal
Wciąż w nim głęboko jeszcze trwał.
I w swym milczącym gabinecie
Przypomnił z niezbyt dawnych lat,
Jak spleen okrutny za nim w ślad
Podążył, gonił go po świecie,
Nareszcie go za kołnierz wziął
I — do ciemnego kąta pchnął.

35.

Czyta od rana do wieczora:
Gibbona polknął i Rousseau,
Bichât, Herdera i Chamfort'a,
Manzoni, panią Staël, Tisseau,
Przeczytał sceptycznego Bayle'a,
Utwory cięte Fontenelle'a,
Naszyc autorów kilku zjadł,
O ile który w ręce wpadł,
I almanachów, gazet stosy,
Gdzie dzisiaj nas pouczać chcą,
Gdzie moje pisma strasznie tną,
A gdzieem był ongi pod niebiosy
Wynoszon... w tem stałości brak...
E sempre bene — tak czy siak!

36.

Lecz cóż?... Czytały tylko oczy,
A myśli gdzieś uciekły w dal,
Błąkały w mglistej gdzieś reztoczy,
Ściagały sny, pragnienia, żal...
Napiętej duszy oczy czynne
Śród wierszy druku—wiersze inne
Czytały... I w nich duszą grzeźli,
Wczytywał się w ich skryty sens...
To były dawnych dni podania,
Zamierzchły a serdeczny świat,
Urwane sny i groźby strat,
Wróżby, dziwaczne rozmyślenia,
Wzorzysty długiej bajki haft,
Przecucia niespodzianych prawd.

37.

Myśl coraz mniej się uwyrażnia,
Jakby zapada zwolna w sen...
Rozwija przed nim wyobraźnia
Szeregi fantastycznych scen:
To młodzian leży tam na śniegu,
Jakgdyby śpiący na noclegu,
Bez ruchu... Słychać krzyk: «no cóż?
Zabity!»—wszystko znikło już...
To widzi wrogów zapomnianych,
Potwarców, podłych tchórzów rój,
To młodych zdraczyń modny strój,
To towarzyszy pogardzanych,
To wiejski dom—przy oknie w lżach
Ona... I zawsze Ona!... Ach!...

38.

Szaleńcom więc wizjami sprostał,
Nieomal w obłakanie wpadł,
Poetą ledwie że nie został...
Nie wiem, co na to rzekłby świat!
Zaprawdę: mocą magnetyzmu
Rosyjskich wierszy mechanizmu
Spreżynę skryta chwycił już...
A dawniej w rytmach—ani rusz!—
Gdym uczył go... Dziś, jak poeta,
Gdy na kominku płoną drwa,
W kąciku siada, w dumach trwa,
Lub miauczy: «Idol!» «Benedetta!»
Choć w ogień mu pantofle z nóg
Spadały—dalej marzyć mógł!

DROBIAZGI.

— Przed kilku miesiącami wywołano w Europie porwanie przez rzeźników bułgarskich, na granicy bułgarsko-tureckiej, misjonierki amerykańskiej miss Stone. Rzeźbownicy żądali, jak się okazało, 25 tys. funtów tureckich okupu. Dotychczas jednak miss Stone wykupiona nie została i wiadomo nawet, gdzie przebywa, pomimo pertraktacji, prowadzonych przez legację amerykańską z przedstawicielami rzeźbowników. Wobec tego redakcja dziennika londyńskiego „Daily Graphic” postanowiła zarządzić poszukiwania na swoją rękę i w tym celu wysłała w grudniu do Turcji i Bułgarii specjalnego korespondenta, w osobie p. W. T. Mauda, dzielnego artysty-rysownika i dziennikarza, który odznaczył się już w prasie angielskiej sprawozdaniami ilustrowanymi z kampanji lorda Kitchenera w Sudanie i wojny południowo-afrykańskiej. Obecnie p. Maud ogłasza w „Graphic” listy z wyprawy. Jak się okazuje, miss Stone i towarzyszą jej p. Tsilka porwane zostały nie przez rzeźbowników, lecz przez przedstawicieli starego komitetu macedońskiego pod przewodnictwem znanego agitatora politycznego, Borysa Sarafowa. Suma okupowa, zażądana przez domniemanych „bandytów”, miała wpłynąć do skarbu agitatorów macedońskich.

— W Loebersdorf, pod Wiedniem, wygrała niedawno temu posługaczka na kolei Południowej, niejaka Schribankowa, terno na loterii liczbowej. W parę dni potem zjawił się u Schribankowej nocą „djabeł” i zażądał, pod grozą porwania kobiety do piekła, wydania pieniędzy. Kobieta, przerażona taką wizytą, wyznała „djabełowi” otwarcie, że pieniądze ulokowała w bańduskiej kasie oszczędności. Wobec tego szatan rozkazał, aby Schribankowa pieniądze z kasy podniosła i, nie mówiąc nikomu, przyniosła je do domu—poczem znikł. Posłuszna kobieta udała się istotnie nazajutrz do Baden po pieniądze. Kiedy jednak ją tam spytano, dlaczego włożona gotówkę wycofuje, opowiedziała powiększą przysługę z djabełem. Doniesiono więc o owym wypadku policji, i babina wróciła do domu w tajemnym towarzystwie dwóch agentów, którzy się z nadejściem nocy ulokowali w szafie. Punktualnie o północy zjawił się syn piekielny i zażądał pieniędzy. Schribankowa, przerażona, odesłała go po pieniądze do szafy. Kiedy „djabeł” otworzył drzwi szafy, zamiast znaleźć tam pieniądze, znalazł się w silnych objęciach detektywów, którzy go niebawem w koźle ulokowali.

— Prof. Coy w Pincetown Newjersey, w Ameryce północnej, posiada laboratorium, celem odbywania prób z materjami spożywczymi. Pewnego dnia przyniesiono mu 10 prób masła, do zbadania co do czystości lub domieszki margaryny. Na drugi dzień spostrzegł, że 8 prób było zapoczątkowanych przez myszy, a dwie prawie nie naruszone. Zbadał masło i stwierdził, że w tych dwóch próbach była margaryna, a w ośmiu było masło czyste. Na drugą noc postawił dwie próby: jedną masła czystego, drugą z domieszką margaryny. Znowu się to samo powtórzyło: masło z domieszką margaryny myszy nie ruszyły, poczuwszy w niem olej i tłuszcz obcy. Próby te powtórzył kilkakrotnie i zawsze się przekonał, że myszy doskonale się znały na czystym masle. I powiadają, że margaryny od masła odróżnić niesposób! A oto tak marne stworzenie, jak mysz, doskonale odróżnić potrafi. Rekomendujemy tego eksperta naszym żonom, siostronom, szwagierkom, wszystkim damom, czuwającym nad spżarnianiem zapasami.